

**Carla Kelly**

**Przygoda z pierścieniem**

*Tłumaczenie:  
Ewa Nilsen*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ten powrót do Plymouth miał zdecydowanie różnić się od wszystkich poprzednich. Tak podejrzewał kapitan Ross Rennie, gdy dowiedziona przez niego trzydziestosześciodziałowa fregata nosząca nazwę „Abukir” pewnego deszczowego dnia wchodziła do portu. Zamiast wielkiej radości ogarnęło go jednak dziwne, dojmujące poczucie klęski, które narastało w nim od chwili, gdy dostał rozkaz dołączenia do konwoju eskortującego Napoleona Bonapartego skazanego w roku 1814 na wygnanie na śródziemnomorską wyspę Elbę.

Podczas tej krótkiej podróży kapitan Rennie stawał kilka razy na pokładzie rufowym swego okrętu i obserwował Bonapartego przechadzającego się po pokładzie fregaty „Nieustraszoną” dowodzonej przez kapitana Toma Usshera. Im dłużej go obserwował, tym większy go ogarniał niepokój i tym większe dręczyło go poczucie klęski. Patrząc na Bonapartego, Ross, człowiek zwykle pełen optymizmu, czuł, że ogarnia go coraz głębsze przygnębienie.

Jest taki niski i tęgi, myślał. Taki pospolity. Jak to się mogło stać, że człowiek tego pokroju rządził moim życiem przez dwadzieścia cztery lata? – zadawał sobie kolejne pytanie.

Taka bowiem była prawda. Przez tyle właśnie lat, nie mniej i nie więcej, udawał się dokładnie tam, gdzie zapragnął ten człowieczek, i toczył bitwy z francuskimi i hiszpańskimi okrętami. A poza tym w ciągu tych lat dwa razy siedział w więzieniu i zdążył znaleźć prawdziwą miłość, a także ją stracić.

Służył oczywiście biednemu królowi Jerzemu Trzeciemu, jednak, podobnie jak wszyscy marynarze i oficerowie Królewskiej Marynarki Wojennej, miał świadomość, że gdyby nie Napoleon, nie byłoby wojny, a on najpewniej nie walczyłby na morzu, tylko pływał na statku handlowym.

– Tak, tak. Zniszczyłeś mi życie – mruknął pod nosem, myśląc o Bonapartem, gdy pewnego leniwego popołudnia zbliżali się do brzegów Elby.

Tymi słowami podsumował wszystkie te lata, jednak, zgodnie ze swą naturą, zaczął zaraz rozważać także i dobre strony swej życiowej drogi. Gdyby nie spędził życia na okrętach wojennych, odbywałby najpewniej nudne rejsy z Anglii do Szkocji i od czasu do czasu do dalekiej Ameryki, przewożąc suszone śledzie, buty lub gorsety. Gdyby nie wojna, nie zawędrowałby do egzotycznej Portugalii, nie poznałby nigdy Inez Veimiry i nie zaznał miłości. I nie zostałby ojcem chłopca o oliwkowej cerze, tak różnej od cery Szkotów, i włosach równie ciemnych jak jego własne.

Po tym jak został ranny w nogę pod Trafalgarem, w roku 1805, towarzyszyła mu również pewna doza szczęścia, bowiem lekarz okrętowy zdołał amputować nogę kilka cali pod kolaniem, a to sprawiło, że wciąż nadawał się do służby i mógł dowodzić swoją załogą.

I w końcu prawdziwym błogosławieństwem płynącym z tej idiotycznej wojny Napoleona Bonapartego był fakt, że stał się z biegiem czasu doskonałym przywódcą, człowiekiem twardym jak skała, którego mądre decyzje zaskarbiły mu bezgraniczne zaufanie całej załogi.

Te myśli sprawiły, że gdy zawijali do uroczego portu na Elbie, serce Rossa się uspokoiło. Wojna z Napoleonem zakończyła się, a on sądził, że jako ceniony dowódca okrętu, także podczas pokoju otrzyma w Królewskiej Marynarce Wojennej jakieś zatrudnienie. A poza tym pragnął pojechać do Plymouth i spędzić trochę czasu z synem.

Oba te jego pragnienia się spełniły, choć co prawda powrót do bazy w Plymouth opóźnił się aż do listopada, gdyż fregata „Abukir” wraz z innymi okrętami przez pewien czas nadal

patrowała kanał La Manche.

Ross każdą noc spędzał na wielokrotnym odczytywaniu listów od swego syna Nathana i miał przy tym nadzieję, że Nathan czyta listy od niego. Słał je tak często, jak mógł, a wraz z nimi egzotyczne prezenty, jakie tylko żeglarz mógł sprawić dziecku: pomarańcze i cytryny, dywanik do modłów z północnej Afryki i ser Gouda z Niderlandów przeznaczony dla Maudie Pritchert, wdowy po jego druhu Benie, która wychowywała chłopca.

Co za szkoda, że Ben Pritchert nie dożył chwili zesłania Napoleona na Elbę! Ross dałby za to bardzo wiele, ponieważ Ben – jego serdeczny, choć znacznie starszy przyjaciel – zaproponował mu, by przewiózł swego małego synka z Oporto w Portugalii do Plymouth i oddał go pod opiekę Maudie. Było to w roku 1804, zaraz po urodzeniu Nathana, gdy Oporto nawiedziło trzęsienie ziemi, na które narażone było całe portugalskie wybrzeże. Choć nie było tak groźne jak głośna katastrofa z roku 1755, zniszczyło ono całkowicie rodzinny dom Inez, odbierając życie wszystkim mieszkańcom z wyjątkiem narodzonego przed tygodniem niemowlęcia, które matka osłoniła własnym ciałem.

Opowiedziały o tym Rossowi zakonnice z pobliskiego klasztoru, gdy on, przybywszy do portu w tydzień po tragedii, przeszukiwał ruiny, wołając Inez po imieniu. Wiedział tylko tyle, że podczas gdy on odbywał siedmiomiesięczny rejs na Morze Bałtyckie, Inez urodziła mu dziecko. Właśnie ten niespodziewany rejs sprawił, że musieli z Inez zrezygnować z przygotowań do huczego wesela na rzecz skromnego ślubu, który zawarli pośpiesznie, bo ich dziecko było już w drodze.

Szczęśliwie, dobre siostry, które zaopiekowały się maleństwem, złożyły je w jego ramiona. Chłopczyk został przez nie ochrzczony i nazywał się Nathan Thomas Fergusson Rennie. W trzy miesiące później, gdy fregata „Abukir” wyruszała z Oporto do Plymouth, trafił na jej pokład wraz z kozą.

Na okręcie znalazło się kilku majtków, którzy wiedzieli, jak się doi kozę, i wszyscy gotowi byli opiekować się maleństwem. Niejeden też nieraz spacerował po pokładzie z cierpiącym na kolkę chłopczykiem, zastępując padającego na nos ze zmęczenia Rossa i zamiast kołysanek wyśpiewując niezbyt przyzwoite marynarskie piosenki.

W Plymouth Maudie Pritchert, żona Bena, przyjęła dziecko z otwartymi ramionami. A dwa lata później włożyła wdowie szaty. Wtedy to Ross, któremu udało się zgromadzić spore oszczędności, kupił duży dom dla niej, jej czworga dzieci i własnego syna. Płacił jej też okazałą pensję za opiekę nad małym, którego sam widywał tylko podczas przerw w rejsach.

Teraz wracając do domu po skończonej wojnie, postanowił, że będzie pocziwiej kobiecie wypłacał ową pensję dożywotnio z wdzięczności za to, że uratowała życie jego małemu Nathanowi. Miał też dług wdzięczności wobec jej męża, Bena, gdyż ten – niedługo po tym, jak Ross nauczył się chodzić po pokładzie z drewnianą nogą – zasłonił go własnym ciałem. Było to podczas bitwy morskiej z Francuzami, gdy Ben, w samym ogniu walki, rzucił się ku przyjacielowi.

Tak, tak, myślał sobie nieraz Ross Rennie, dług wdzięczności wobec obojga Pritchertów będą spłacał do końca życia.

Kiedy jego fregata zawijała do portu w Plymouth, Ross spoglądał w stronę miasta. Patrzył na stojące na łagodnych wzniesieniach domy i zastanawiał się, czy jego syn Nathan stoi teraz w oknie, obserwując wybrzeże. Podczas ostatniej wizyty rok temu podarował Nathanowi lunetę, a za kilka lat zamierzał dać mu także sekstans. Maudie twierdziła bowiem, że chłopak ma zdolności do matematyki.

W chwili gdy fregata zarzuciła kotwicę, Ross uświadomił sobie, że ma teraz przed sobą dwa miesiące urlopu, czyli o miesiąc i trzy tygodnie więcej niż kiedykolwiek przedtem od czasu

pokoju w Amiens zawartego w roku 1802.

Szalupa zawiozła go do portu, gdzie czekało mnóstwo dorożek gotowych jechać, gdzie tylko zapagnie. On jednak wybrał spacer i wyruszył z portu do domu Maudie Pritchert pieszo. Choć pierwsze kroki na lądzie po długim żeglowaniu sprawiały mu pewien kłopot, zwłaszcza że drewniana noga stanowiła dodatkowe utrudnienie, znalazł się dość szybko na Flora Street, spokojnej uliczce, wzdłuż której stały ładne domki pomalowane na pastelowe, przyjemne dla oka kolory. Dotarłszy na miejsce, jak zwykle przystanął, zastanawiając się przez dłuższą chwilę, do jakiego stopnia zmienił się jego mający teraz dziesięć lat synek.

Planował, że podczas tego długiego urlopu pojedzie z chłopcem na Boże Narodzenie do swojej siostry, Alice Mae Gordon, która mieszkała w Dumfries wraz ze swym mężem lekarzem. Ross nie widział się z nią od lat, korespondowali jednak regularnie, a w ostatnim liście Alice informowała brata, że w pobliskim Kirkbean jest na sprzedaż majątek z domem, z którego okien „widać morze”.

Mam nadzieję, pomyślał Ross, że Nathan nie zmienił się za bardzo od mojej ostatniej wizyty. Ciekaw jestem, czy będzie mnie pamiętał i czy poznałbym go na ulicy – zanim stanął przed drzwiami, zadawał sobie to samo pytanie, co zawsze.

Odetchnął głęboko i ruszył dalej w górę ulicy, w stronę pomalowanego na żółto domku, przed którym kwitły kwiaty wciąż toczące zwycięską walkę z jesienią.

No tak, pomyślał, na północy, w Szkocji, kwiaty już dawno skapitulowałyby przed zimą, lecz tu, na południu, w pięknym hrabstwie Devon, jest inaczej...

Zwolnił kroku, czując ból w nodze, a także dlatego że jak zawsze zastanawiał się, kto wybiegnie na jego spotkanie. Po raz pierwszy od śmierci Inez zapagnął, aby tym kimś była żona. Przypomniawszy sobie długie rozmowy ze swymi druhami. Zapewniał ich, że gdy skończy się wojna, znajdzie sobie drugą kobietę. Być może, powiedział w duchu, nadszedł już czas, by spełnić tę daną sobie obietnicę...

Przystanął przed numerem szóstym i spojrzał w górę, w okno znajdującego się na piętrze pokoju Nathana. Serce zaczęło mu łomotać, bo zobaczył w nim swego ukochanego syna. W następnej chwili chłopiec zniknął, a Ross skierował wzrok na frontowe drzwi, które po chwili otworzyły się gwałtownie i wybiegł z nich Nathan, wpadając prosto w jego rozpostarte ramiona.

Jestem w domu, pomyślał Ross i wraz z Nathanem wszedł do środka.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Mary Rennie, którą los zmusił przed laty do zamieszkania u swoich krewnych, miała teraz owych krewnych serdecznie dosyć. Być może winna temu była pora roku, a być może, co bardziej prawdopodobne, sprawiło to zachowanie kuzynki Diny. A może po prostu w życiu Mary przyszedł czas na objawienie. Nie takie, na jakich znał się jej dawno zmarły ojciec, duchowny Kościoła szkockiego, ale takie, które może na przykład sprawić, że człowiek nagle zdaje sobie sprawę, że coś cudownie zdumiewającego powinno mu się być przydarzyć już przed laty. Mary złożyła to na karb swojego wieku, bo oto, będąc kobietą dwudziestosiedmioletnią, była wciąż panną. I zaczynała tracić cierpliwość do swych krewnych, a zwłaszcza do Diny. Tak w każdym razie powiedziała swojej jedynej powiernicy, pani Morison, gdy w kuchni obierały razem ziemniaki.

Pani Morison była kucharką i nieczęsto obierała warzywa, jednak dziś pomywaczkę Betty bolał ząb, a poza tym pani Morison zawsze z niekłamaną przyjemnością rozmawiała z Mary. Do obiadu było jeszcze sporo czasu, miały więc okazję pogawędzić.

– Kuzynka panienki, Dina, zaręczyła się z tym angielskim nudziarzem i dlatego jest rozdrażniona – oznajmiła kucharka. – Zawsze mówiłam, że nie wolno ufać nikomu, kto mieszka za granicą.

– To prawda – zgodziła się Mary. – Ale dlaczego ja muszę cierpieć z powodu jej zaręczyn? Ona ciągle narzeka, wciąż jest niezadowolona. A przecież narzeczona powinna być radosna, prawda?

– Sądzę – powiedziała pani Morison, zniżając głos i pochylając się w stronę Mary – że ona boi się nocy poślubnej.

– Ale noc poślubna będzie dopiero za kilka miesięcy – odrzekła Mary szeptem. – A poza tym wydaje mi się... że dla panny, która kocha swego narzeczonego, noc poślubna nie powinna być problemem... A może... – dodała zaraz, doznawszy drugiego tego dnia objawienia – ...może Dina tak naprawdę wcale nie kocha pana Page'a?

Pani Morison w milczeniu pokiwała głową.

– A zatem dlaczego...? – Mary odłożyła nóż. – O Boże! Czyżby się bała, że nikt więcej jej się nie oświadczy?

Zamyśliła się i przyznała w duchu, że to wielce prawdopodobne. Dina Rennie nie była piękną. Mary przypomniała sobie, jak pewnego razu zamiatacz ulic, patrząc na jej długą końską twarz, nie mógł się powstrzymać i zarżał.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie, zaraz jednak się zmitygowała, bo papa uczył ją przecież, że grzechem jest żartować z czyjegoś wyglądu. A poza tym wiedziała, że nikt z rodziny Rennie nie jest zbyt urodziwy.

Jej papa szczęśliwie ożenił się z panną Maxwell ze Spring Hill, dzięki czemu ona sama odziedziczyła po matce usta nieco pełniejsze niż typowa Szkotka, zgrabną figurę, włosy kasztanowate – a nie marchewkowe jak u większości Renniech – i piękne zielone oczy. Niezadowolona była tylko z piegów, jednak jej mama powtarzała, że są one jak dodająca urody kolorowa posypka na cieście.

– Bardzo bym chciała być posażną panną – westchnęła teraz, powierzając pani Morison swą zgryzotę. – Mam już dwadzieścia siedem lat i do tej pory nic ekscytującego w moim życiu się nie wydarzyło.

Leżąc w łóżku tej nocy, Mary myślała o tym, że w wieku dwudziestu siedmiu lat jest

wciąż panną. Uśmiechnęła się w ciemności, przypominając sobie, jak ciotka Martha wyjaśniała jej i jej rówieśnicy Dinie fakty związane z prokreacją. W jak okrężny czyniła to sposób i jak Dina słuchała jej z szeroko otwartymi oczami i ustami.

Ona sama spokojnie słuchała zarumienionej jak wiśnia ciotki, wiedząc swoje, bowiem w wieku piętnastu lat, tuż przed śmiercią mamy, usłyszała potrzebne wyjaśnienia i to sformułowane znacznie prościej. A na zakończenie mama powiedziała:

– Zapamiętaj sobie jedno, kochana córko: pewnego dnia stanie na twojej drodze mężczyzna, który spełni wszystkie twoje wymagania. – Po czym dodała z charakterystycznym dla Maxwellów błyskiem w oku: – Czekaj na niego, bowiem jest tego wart.

W dwa tygodnie później mamie odebrała życie ciężka choroba, a papa, który nigdy nie cieszył się dobrym zdrowiem, w pół roku później dołączył do niej w miejscu lepszym niż plebania w Montrose, gdzie panowały przeciągi i nikomu nigdy nie było ciepło.

– I wtedy przyjechałam do Edynburga – poinformowała Mary sufit w swojej sypialni. – Wszyscy są tutaj dla mnie dobrzy. Nie brak mi niczego, ale stałam się... po prostu częścią umeblowania.

W tydzień później, po dniu Wszystkich Świętych, ciotka Martha zarządziła pieczenie keksów przeznaczonych na Boże Narodzenie.

– Już czas – oznajmiła, wręczając pani Morison recepturę, której strzegła jak oka w głowie, przechowując ją w swojej sypialni z obawy przed złodziejami i nie zdając sobie sprawy, że kucharka już dawno ją przepisała i trzyma w kuchni wraz z innymi przepisami. – W tym roku upieczemy tuzin.

Ta ostatnia uwaga była zbędna, gdyż każdego roku pieczono tuzin keksów, z których cztery miały zostać w domu i zostać podane w okresie świąt po sześciotygodniowym suszeniu, a pozostałe osiem rozsyłano do przyjaciół i krewnych.

Przygotowywanie i pieczenie keksów trwało tydzień i zaczynało się w poniedziałek i wtorek siekaniem kandyzowanych wiśni, kandyzowanej skórki pomarańczowej, rodzynek sułtanek i koryntek. Migdały dzielono na połowę. Pani Morison piekła cztery keksy przeznaczone dla domu w środę, a potem ustawiała je w ciemnym miejscu, żeby dobrze wyschły. Cztery kolejne pieczone były w czwartek, a ostatnie cztery w piątek.

Mary uczestniczyła w tym rytuale dzień w dzień, przez cały tydzień. Dina natomiast nie miała do tego cierpliwości, co Mary przyjęła z ulgą, bo bezustanna płaczliwa gadanina kuzynki przyprawiała ją o ból głowy.

Może jestem zazdrosna, pomyślała, krojąc kandyzowane wiśnie i skórkę pomarańczową. Chciałabym wyjść za męża, bo oznaczałoby to posiadanie dzieci... maluchów, które tak lubię.

Tak więc dzięki keksom Mary przez cztery dni miała od Diny spokój. Jednak w piątek Dina wpadła do kuchni w chwili, gdy ona mieszała właśnie ciasto. Z ogniem w oczach zaczęła chodzić nerwowo w koło, pokazując mały przedmiot, który trzymała w dłoni.

– Powiedzcie mi, czy był kiedykolwiek na świecie bardziej skąpy narzeczony niż Algernon Page?! – gotowała się ze złości.

– Dlaczego tak mówisz, kochanie? – zapytała Mary, wciąż mieszając ciasto.

Dina podsunęła jej pod nos mały pierścionek.

– Ten... ten skąpiec przysłał mi na Boże Narodzenie to nędzne świecidelko! I myśli, że będę je nosiła.

Mary przyjrzała się uważnie. Pierścionek był naprawdę mały, złoty, ale bardzo cienki. A przy tym na złocie widniało coś, co wyglądało jak zadrapania. Mary zmrużyła oczy. Nie, nie, to nie były zadrapania, tylko wzór z gałązek czy liści...

– Hm – powiedziała. – Może to cenna, rodzinna pamiątka?

– Tak... pamiątka... cenna dla rodziny składającej się z samych skąpiradeł – odburknęła Dina. – Czy ty nosiłabyś coś takiego?

Nosiłabym, gdybym kochała mego przyszłego męża, pomyślała Mary, ale nie powiedziała tego głośno.

– Ja tego nosić nie będę – oznajmiła ze złością Dina, a jej długa twarz wydłużyła się jeszcze bardziej.

Wpatrywała się przy tym w surowe ciasto tak, jakby czekała, aż ono jej się sprzeciwi. I nagle, mrużąc oczy, cisnęła pierścionek do misy.

– O! – zawołała. – Poślijcie go komuś, razem z tym keksem!

Po czym wybiegła z kuchni, nie oglądając się za siebie. Mary spojrzała na ciasto, a potem na panią Morison.

– Ona chyba nie mówiła tego poważnie?

– Biedny pan Page – powiedziała kucharka, kręcąc głową. – Będzie z nią miał krzyż pański.

Zaśmiała się i wzięła drewnianą łyżkę, którą kilka razy zamieszała ciasto. Następnie posłała Mary do komórki po kandyzowane wiśnie i skórkę pomarańczową, które kazała dodać do ciasta, a ciasto jeszcze raz porządnie zamieszać.

– Naprawdę mam to zrobić? – zapytała Mary, dziwiąc się odwadze kucharki.

Kucharka kiwnęła głową.

– To niezbyt cenny pierścionek – roześmiała się. – Miejmy nadzieję, że nikt nie złamie na nim zęba!

Mary też się roześmiała.

– Mnie się zdaje, że tak naprawdę to nikt tych ciast nie jada. A pani jak myśli, pani Morison?

– Nie wiem. Ale nawet gdybym wiedziała, że nikt ich nie jada, nigdy bym o tym nie powiedziała cioci panienki.

Gdy dodano wszystkie składniki, pani Morison, korzystając z władzy, jaką jej dawało piastowane w kuchni stanowisko, nałożyła surowego ciasta do czterech foremek, po czym otworzyła piekarnik.

– Na pewno mam je tam wsunąć? – zapytała Mary, wahając się jeszcze.

Kucharka kiwnęła zdecydowanie głową.

– Położę te ciasta oddzielnie – oznajmiła jeszcze pani Morison. – Jeżeli panna Trzpiotka zmieni zdanie, będziemy mogły odszukać pierścionek.

– Ale to jest...

– Marnotrawstwo? Ja sądzę raczej, że to rozrywka. – Pani Morison zmrużyła oczy, po czym wzniosła je do nieba. – Należy nam się ona od kuzynki panienki. Wciąż wysłuchujemy jej utyskiwań. I zapewne będziemy musiały ich wysłuchiwać aż do chwili, gdy zabrzmie marsz weselny.

Mary przypomniała sobie o pierścionku, gdy wieczorem udała się do sypialni kuzynki, by sprawdzić, czy może jej w coś pomóc.

– Nie interesuje mnie to – odburknęła Dina, słysząc sugestię, że wciąż jest jeszcze czas, by odzyskać pierścionek. – Nie zawracaj mi głowy, Mary. I podaj mi narzutę, dobrze?

Mary podała Dinie narzutę, zastanawiając się przez chwilę, od kiedy kuzynka przestała dziękować za drobne przysługi. Zabawne, pomyślała, że nie przyszło mi to do głowy wcześniej...

Zaczekała jeszcze przez chwilę na krótkie słówko „dziękuję”, ale Dina, milcząc, machnęła jej tylko ręką.

Nie pytając już więcej o pierścionek, Mary wyszła z pokoju kuzynki.

Po dwóch tygodniach inkubacji cztery keksy przeznaczone dla domu zostały włożone do pudełek i umieszczone w spiżarni. Kolejna partia keksów została już wysłana pocztą, a gdy przyszedł czas na ostatnią, Mary spytała Dinę, czy zmieniła zdanie w sprawie pierścionka. Kuzynka machnęła lekceważąco dłonią, po czym wyszła wraz z matką do krawcowej. Potrzebowała nowej sukni na wieczór sylwestrowy, kiedy planowano ogłosić jej zaręczyny z panem Page'em.

– W porządku, Dino – powiedziała cicho Mary, po czym wręczyła lokajowi ostatnią partię keksów.

– No i koniec sprawy – mruknęła pod nosem, myśląc o pierścionku.

Wkrótce jednak okazało się, że bardzo się myliła.

Na drugi dzień, siedząc w dylizansie, Mary pomyślała, że pierwszy dzień grudnia 1814 roku będzie długo pamiętany w domu jej krewnych na Wapping Street w Edynburgu.

Tego dnia w związku ze zbliżającym się Bożym Narodzeniem pani Morison dała jej bardzo przyjemne zajęcie. Poleciała jej dokonać dorocznego przeglądu szafki z przyprawami. Ów przegląd polegał na tym, że otwierało się kolejne szufladki i po powąchaniu zawartości każdej po kolei decydowało się, które przyprawy już straciły aromat, a które jeszcze przez następny rok będą się nadawały do kuchennego użytku.

W chwili gdy Mary otworzyła szufladkę z goździkami, do jej uszu dobiegł okropny krzyk. Rozlegał się z sypialni na górze, brzmiał histerycznie i stopniowo narastał.

– Boże kochany! Co to jest?! – zawołała przerażona Mary, po czym, zamknąwszy szufladkę, pobiegła do kuchni, gdzie pani Morison stała oniemiała, wpatrując się w sufit.

Z góry ponownie doszedł je hałas zamykanych z traskiem drzwi, a potem, po kilku chwilach ciszy, rozległ się znowu krzyk. Tak straszny, że pani Morison z przerażeniem przeżegnała się, choć przecież nie była katoliczką.

– My... my... może powinnyśmy pójść na górę... – zasugerowała Mary głosem słabym, przypominającym ostatnie przed zimą ćwierkanie świerszcza za kominem.

Jednak pani Morison postanowiła, że nie ruszą się miejsca, i miała rację, bo po chwili dało się słyszeć kolejne trzaśnięcie drzwiami i ktoś zaczął głośno zbiegać po schodach.

Słyszac owe zbliżające się odgłosy katastrofy, Mary i pani Morison spojrzały zdezorientowane po sobie.

– Czyżbyśmy w czymś zawiniły? – zapytała trwożnie Mary, po czym chwyciła panią Morison za rękę i obie wstrzymały oddech.

W następnej chwili do kuchni wpadły równocześnie ciotka Martha i Dina. Ciotka z ogniem w oczach, a Dina bledsza niż papier.

Mary, widząc, że ciotka ściska w dłoni garść włosów wyrwanych z głowy Diny, omal nie parsknęła śmiechem. Ciotka tymczasem potrząsnęła swoją córką i wręczyła Mary list, który ta zaraz przeczytała. List okazał się próbką wzniosłej prozy narzeczonego Diny, który pisał, co następuje:

*Ukochana wybranko mojego serca, ta drobnostka, którą ci posłałem, została подарowana mojemu praprapradziadowi osobiście przez królową Elżbietę. Jest wielkim pragnieniem mojego serca – zgodnym z tradycją naszej rodziny – zobaczyć ją na twoim palcu podczas uroczystości zaręczynowej trzydziestego pierwszego grudnia.*

– Och, Boże – szepnęła Mary i spojrzała na ciotkę.

– Właśnie usłyszałam z ust Diny nie lada opowieść – stwierdziła rozsierdzona. –

I zjawiam się tutaj, byście zaprzeczyły jej słowom.

– Obawiam się, że nie możemy tego zrobić – odrzekła po chwili wahania Mary.

– No to jesteśmy zgubieni – oświadczyła ciotka Martha, załamując ręce dramatycznym gestem i opadając na krzesło, które Mary szczęśliwie zdążyła jej podsunąć.

Dina tymczasem zaczęła znowu zawodzić. I zawodziła aż do chwili, gdy matka wymierzyła jej siarczasty policzek.

– Ty głupia, najgłupsza na świecie dziewczyno – syknęła. – Jak myślisz, co mamy teraz zrobić?

Zapadła ciężka cisza trwająca aż do chwili, gdy pani Morison, odchrząknąwszy, stwierdziła:

– To proste, proszę pani. Poślemy Mary, by odzyskała te cztery keksy, w których może być pierścionek. Mary wyruszy w drogę jutro i z całą pewnością odzyska klejnot.

Mary oniemiała. Wpatrzyła się w kucharkę szeroko otwartymi oczami. Pani Morison po prostu się uśmiechnęła i poklepała ją po dłoni.

– Moja droga panienko, już dawno powinna była panienka zasmakować jakiejś przygody. Mam rację, prawda?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ross Rennie wolałby podróżować wynajętą pocztową kareta, ale dowiedziawszy się od pani Pritchert, że Nathan marzy od dawna o podróży dyliżansem, zdecydował, że będzie tak, jak chce jego syn, czym wprawił go w zachwyt.

Ustaliwszy środek lokomocji i pożegnawszy się z panią Pritchert, wyruszyli obaj w drogę do Dumfries. I zaczęli poznawać się na nowo po długiej rozłące. Gdy chłopiec był młodszy, zabierało im to zwykle kilka dni, lecz teraz, kiedy miał już lat dziesięć, zajęło to im zaledwie kilka godzin. Pod koniec pierwszego dnia podróży Nathan gadał już jak najęty; opowiadał ojcu o szkole, o uprzykrzonym wkuwaniu wersetów z Biblii, a także o tym, jak obserwował port w Plymouth przez swoją lunetę. Kiedy zmęczył się swoimi historiami, zamilkł i oparł się o ramię Rossa z pełnym zadowolenia westchnieniem.

Zanim wyruszyli z Plymouth, zawarli umowę: będą podróżowali dyliżansem, ale każdą kolejną noc spędzą w porządnej gospodzie. Ross, choć bardzo kochał siostrę, nie spieszył się do Dumfries tak bardzo, by musieli podróżować nocą. Pokonywał tę trasę już przedtem i wiedział, że można na niej liczyć na miękkie łóżko i dobry posiłek. A co ważniejsze, tym razem miał przy sobie listę. I to listę nie byle jaką.

Ósmego grudnia dotarli do Carlisle, ostatniego przystanku przed przekroczeniem granicy ze Szkocją. I Ross, ku zaskoczeniu Nathana, oznajmił, że zanocują w gospodzie Pod Aniołem Stróżem.

– Ależ, papo – zaprotestował chłopiec – jeżeli się nie zatrzymamy, będziemy...

– Przed północą w Dumfries – dokończył Ross. – To prawda. Jednak prawdą jest także to, że ja przez całe lata marzyłem o długiej na cztery stopy kumberlandzkiej kiełbasie z owalnymi bułeczkami z kminkiem posmarowanymi kumberlandzkim masłem rumowym.

– Marzyłeś, papo, o kiełbasie mającej cztery stopy długości? – zdziwił się Nathan, otwierając szeroko oczy.

– Podzielię się nią z tobą – zapewnił go wielkodusznie Ross i dodał: – Miałbyś serce odmówić takiego posiłku kapitanowi, który przez całe lata na okręcie jadł tylko suchary?

– Nigdy, papo.

– A widzisz. A poza tym być może w tej gospodzie znajdzie się też pyszny gęsty pudding o smaku toffi...

Tak więc kiedy tylko zajechali na stację i upewnili się, o której godzinie na drugi dzień odjeżdża dyliżans do Dumfries, Ross poprowadził syna wzdłuż High Street, by potem skręcić w boczną uliczkę i dotrzeć do upragnionej, serwującej kumberlandzką kiełbasę gospody.

– Chcielibyśmy wynająć sypialnię z salonikiem na jedną noc – zwrócił się do jej właściciela, zdjawszy swój wysoki kapitański kapelusz. – No i oczywiście zjeść kolację. Przygotowujecie już zapewne kumberlandzką kiełbasę? – zapytał jeszcze jakby nigdy nic.

– Ależ, oczywiście, panie admirale – odrzekł właściciel gospody, na którym wielkie wrażenie zrobiły kapelusz i mundur Rossa.

– Jestem tylko kapitanem – sprostował Ross i pomyślał, że żaden szczer łądowy nie ma pojęcia, jak wielkiego wysiłku wymaga zdobycie tego stopnia i prawa do noszenia dwóch epoletów zamiast jednego.

Gdy ustalili już wszystko, właściciel gospody podał Rossowi księgę gości i gęsie pióro.

– Mary Rennie? – przeczytał zdziwiony kapitan.

– Och, przepraszam bardzo – powiedział właściciel gospody. – Owa dama rzeczywiście

mówiła, że oczekuje na pewnego dżentelmena. Zjawiacie się jednak, panie, wcześniej, niż myślałam. Zapewne zechcecie z tą damą dzielić salonik. A to – dodał rozpromieniony – jest pewnie wasz synek?

– Tak.

– Nie powiedziałbym, że jest podobny do któregoś z państwa.

– Ja... – zaczął Ross, po czym zamilkł, bo właściciel gospody aż palił się do tego, by doprowadzić do jego spotkania z ową tajemniczą damą.

– Wy, panie, i ta dama zechcecie zapewne dzielić także sypialnię – zasugerował.

– Nie, ja...

Ale właściciel gospody nie słuchał. Szedł przodem, prowadząc ich korytarzem. Ross spojrzął na Nathana i wzruszył ramionami. Gdyby tylko zechciał, potrafiłby jednym stanowczym słowem powstrzymać tego człowieka – przecież od lat drżeli przed nim wszyscy podkomendni na fregacie – ale nagle poczuł ciekawość.

– Przekonajmy się, kim jest ta Mary Rennie – szepnął do Nathana, który uśmiechnął się szeroko, zadowolony, że zostaje współnikiem w tym podstępie. – Może ją polubimy.

Właściciel gospody przystanął przed zamkniętymi drzwiami i oznajmił, wskazując je szerokim gestem.

– Pozwolę sobie podać państwu kolację tutaj, w prywatnym saloniku, panie kapitanie.

Po tych słowach skłonił się i oddalił. Ross stał przed drzwiami niezdecydowany aż do chwili, gdy zapukał w nie Nathan.

– Pan Barraclough? Tak wcześnie? – usłyszeli zza drzwi kobiecy głos i szybkie kroki.

W następnej chwili, gdy Mary Rennie otworzyła drzwi, oczom Rossa ukazała się osoba tak urodziwa, że z jego piersi wyrwało się mimo woli długie westchnienie. Zachwyciły go kasztanowate włosy i zielone oczy przywodzące na myśl zatokę w pobliżu Neapolu. Mary Rennie patrzyła wprost na niego spojrzeniem szczerym i ufnym. I miała noskę usiany najpiękniejszymi pod słońcem piegami. Widząc Nathana, uśmiechnęła się.

– Nie wiedziałam, że jest pan ojcem, panie...

Nie dokończyła, bo chłopiec ukłoniwszy się, wpadł jej w słowo:

– Ja, proszę pani, jestem Nathan i nie wiem, co się stało mojemu papie.

To wystarczyło. Ross się opamiętał, a w kilka chwil później, gdy Mary Rennie z uśmiechem zaprosiła ich do środka, siedzieli obaj z Nathanem przy stole, na który stały filiżanki do herbaty. Ross nie zauważył trzeciej filiżanki, doszedł więc do wniosku, że pan Barraclough, kimkolwiek był, miał tu przybyć w pojedynkę.

– Nazywam się Ross Rennie i jestem kapitanem. A mój syn już się zdążył przedstawić – zaczął. – Wygląda na to, że zostałem z kimś pomyłony...

– Rennie? Ach, tak! – Mary nagle olśniło. – Sądzę, że właściciel gospody uznał, że jesteśmy spokrewnieni.

– Moim zdaniem on sądzi, że jesteśmy małżeństwem – powiedział Ross i zaraz tego pożałował, bo ona silnie się zarumieniła. Brnął jednak dalej: – Powiedział, że Nathan nie jest podobny do żadnego z nas.

Mary Rennie roześmiała się serdecznie, sprawiając, że znikło wszelkie zakłopotanie i napięcie.

– Panie kapitanie, jeżeli pochodzi pan ze Szkocji...

– Tak, z Dumfries...

– ...to on najprawdopodobniej ma rację. Ja od kilkunastu lat mieszkam w Edynburgu. Ale pochodzę z Montrose, gdzie mój ojciec był pastorem. – Tu wstała i podeszła do drzwi. – Pójdę teraz i poproszę o dodatkowe filiżanki. A dla ciebie, kawalerze, o słodki pudding o smaku toffi.

Czy tak? – dodała, patrząc na Nathana.

Ross nie mógł się powstrzymać – z jego ust wyrwał się jęk, a Nathan zachichotał.

– Raczej dla mojego papy – powiedział. – Papa był długo na morzu i wariuje na punkcie jedzenia.

– A więc i dla twojego papy – zgodziła się Mary. – Zamówię tyle, żeby wystarczyło także i dla mnie. Bo i ja lubię taki pudding.

Po tych słowach wyszła z saloniku. Tymczasem Ross spojrział na syna.

– Przynoszę ci wstyd, chłopcze? – zapytał.

– Jeszcze nie – odrzekł litościwie Nathan. – Ona jest ładna, prawda? – dodał jeszcze, a jego papa zastanowił się, co na taką uwagę powiedziałyby pani Pritchert.

Pudding pojawił się wkrótce wraz z Mary, która niosła go na tacy, razem z talerzami i sztućcami.

– Byłam w kuchni – oznajmiła. – Pan MacDonald przygotowuje tam wprost potwornie obfitą kolację. Mnóstwo kiełbasy z rzepą i ziemniakami oraz bułeczki z kminkiem i kumberlandzkim masłem. Powiedziałam mu, żeby podał ją tutaj, bo zaczynacie mnie intrygować. Obaj.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Co ty mówisz, Mary Rennie? – zgañiła się w myślach. On przecież sobie pomyśli, że jesteñ największą w całej Szkocji kokietką!

– To znaczy – dodała zaraz, stawiając pudding na stole. – Chciałam powiedzieć, że spotkałam w życiu kilku odrażających oficerów armii lądowej, ale nigdy odrażającego kapitana Królewskiej Marynarki Wojennej. A poza tym: czy nie jesteśmy przypadkiem kuzynami?

– Spotkała pani tylko kilku odrażających oficerów sił lądowych, panno Rennie? – zapytał Ross, wybuchając głośnym śmiechem. – Zapewniam panią, że jest ich mnóstwo. Każdy wilk morski to potwierdzi. A co do naszego pokrewieñstwa, to... zjedzmy najpierw deser. Genealogia może zaczekać.

Przyjął z jej rąk talerz z puddingiem i zabrał się natychmiast i z zapalem do pałaszowania. A Mary, patrząc, jak je, nie mogła oderwać oczu od jego ogorzalej, pooranej zmarszczkami twarzy. Wyglądał na człowieka co najmniej czterdziestopięcioletniego, jednak podejrzewała, że jest młodszy.

– Dwanaście lat, panno Rennie – powiedział, gestykulując łyżką, jednak tak ostrożnie, żeby nie uрониć ani odrobiny puddingu. – Marzyłem o tym dwanaście lat.

Mary spojrzała na jego syna, wyczuwając w chłopcu chęć do konspirowania.

– Jak myślisz – zapytała – pozwolimy twemu papie zjeść wszystko?

Nathan pokręcił głową.

– Nie – odrzekł. – Bo ja też chcę trochę. A poza tym pani Pritchert złażałaby go za to, że zaczął kolację od deseru.

Mary spojrzała na kapitana, wiedząc, że zaraz wyjaśni jej, kim jest owa pani Pritchert. I rzeczywiście.

– Pani Pritchert – powiedział kapitan – to godna szacunku kobieta, wdowa po moim serdecznym druhu, która wychowuje Nathana, gdyż jego matka straciła życie podczas trzęsienia ziemi w Oporto, kiedy on był zaledwie tygodniowym niemowlęciem.

Wyjaśnił to w sposób prosty i rzeczowy, co jej się spodobało – pewnie dlatego że miała serdecznie dość ciotczywego owijania w bawełnę. Podobał jej się także jego wygląd. Większość znanych jej mężczyzn zajmujących się interesami i finansami miała charakterystyczną dla mieszczuchów bladą cerę i miękkie dłonie. Poza tym żaden z nich nie miał takiej interesującej blizny, biegnącej od lewego oka ku nasadzie włosów. No i absolutnie żaden nie miał drewnianej nogi.

Ośmielona bezpośredniością kapitana, zapytała go, w jaki sposób udało mu się przewieźć Nathana do ojczyzny, na co on odrzekł z właściwym sobie humorem.

– Udało mi się to z pomocą Boga, a także kozy i fregaty pełnej bardzo opiekuńczych męskich nianieł.

Spodobał jej się i ten dowcip, choć mogła sobie wyobrazić, jak kapitan musiał wówczas cierpieć po stracie żony. Ale cóż, czas leczy rany. I ona o tym wiedziała z własnego doświadczenia...

Pudding był naprawdę smaczny. Zjadła niewielką jego porcję, a resztę zostawiła dla kapitana. To samo uczynił Nathan, co naprawdę ją wzruszyło. Kapitan Rennie dokończył porcję bez najmniejszych skrupułów.

– A teraz – powiedział – gdy już się posiliłem, czas zająć się drzewem genealogicznym. Proszę mi przerywać, panno Rennie, gdy tylko czyjeś imię wyda się pani znajome. Mój

prapradziad, Thomas Rennie z Castle Douglas, miał pięciu synów: Angusa, Maksa, Andrew, Douglasa i Gerarda. Jakież skojarzenia?

– Andrew – odrzekła natychmiast Mary. – Dostał imię po świętym, ale święty nie był. Tak przynajmniej mówił mój papa. Ale papa był pastorem, więc trudno było być świętym w jego oczach. Dziadkiem papy był Gerard.

– A moim Douglas – oznajmił kapitan z uśmiechem. – A stryjecznego dziadka Andrew spotkałem tylko raz w życiu. I pamiętam, że po jego wyjściu papa policzył srebra – dodał z szelmowskim błyskiem w oku.

Mary roześmiała się na to głośno.

– Mój papa opowiadał mi podobne historie. Tak czy inaczej, panie kapitanie, jesteśmy kuzynostwem.

Choć nieskłonna do wścibstwa, Mary postanowiła dowiedzieć się więcej. Po całym tygodniu podróży, podczas której nie miała do kogo otworzyć ust i która, zwłaszcza wieczorami, ciągnęła jej się w nieskończoność, pragnęła rozmowy.

– Może nie powinnam być wścibska...

– Przepraszam, że pytam...

Nathan roześmiał się, słysząc, jak mówią jednocześnie.

– Pani Pritchert zawsze twierdzi, że podczas rozmowy trzeba mówić po kolei.

– Ja zawsze ustępuję osobom wyżej postawionym. Zatem pan pierwszy, kuzynie kapitanie.

– A ja zawsze daję pierwszeństwo damom. Czy mogę zgadnąć, o co chciałaś zapytać, kuzynko Mary?

– Chciałam spytać tylko, dokąd jedziecie...

– Jedziemy do mojej siostry do Dumfries, by spędzić tam Boże Narodzenie. Nathan ma mapę i mówił, że mogliśmy dojechać na miejsce jeszcze dziś wieczorem, ale ja chciałem zjeść kolację tutaj. A teraz moja kolej: dokąd ty jedziesz, droga kuzynko?

Mary nie zdążyła odpowiedzieć, bo rozległo się pukanie do drzwi, a w następnej chwili, po głośnym przyzwoleniu kapitana, do saloniku wkroczył właściciel gospody z wielką tacą, a za nim chłopiec ze znacznie mniejszą.

– Proszę postawić to tutaj – powiedziała Mary, widząc błogi uśmiech rozjaśniający twarz kapitana. – Zjemy razem.

Właściciel gospody z wyrazem twarzy nieco zdziwionym tą uwagą – tak jakby chciał zapytać, dlaczego kapitan i chłopiec nie mieliby jeść kolacji razem z nią, skoro jest żoną jednego i matką drugiego – uroczystym gestem uniósł kopulastą pokrywę.

Kapitan, wpatrując się z zachwytem w kielbasę, zapytał:

– Kuzynko Mary, jak długi kawałek tobie nałożyć?

Mary spojrzała na zwiniętą kielbasę, wilgotną, parującą i nęcącą niebiańskim zapachem, i poczuła, że ślinka cieknie jej do ust.

– Na sześć cali, panie kapitanie.

– Mów mi, droga kuzynko Mary, po imieniu albo kuzynie – poprawił ją Ross, po czym zwrócił się do pana MacDonalda: – Słyszeliście, co mówi dama, człowieku? Sześć cali. Przypomina mi to wulgarny dowcip, którego jednak nie opowiem. Tyle samo dla ciebie, chłopcze?

Nathan kiwnął głową, patrząc na ojca szeroko otwartymi oczami.

– Czy ty, papo... zamierzasz zjeść całą resztę?

Mary patrzyła zafascynowana, jak kapitan, ściągając usta, patrzy z ukosa na ogromną porcję.

– Chyba nie, synu – powiedział. – Bo chcę przespać spokojnie całą noc, a nie ganiać przed świtem do wygodki. – Tu spojrzął na Mary bez odrobiny skruchy. – Powiedziane prosto z mostu, co, kuzynko? My w naszej rodzinie nie owijamy rzeczy w bawełnę, prawda?

– Tak, to prawda – potwierdziła, po czym zachęciła go: – Jednak nie żałuj sobie, kuzynie, rzepy i ziemniaków.

Pan MacDonald nałożył porcję dla każdego i czekał na dalsze polecenia, myśląc sobie zapewne, że ściany jego niewielkiej gospody rzadko widują gości tak interesujących jak członkowie rodu Renniech. Zaraz jednak został wraz z pomocnikiem odprawiony lekkim skinieniem głowy kapitana. Wyszli więc obaj szybko, zostawiwszy w saloniku całą trójkę zjadającą się obfitą kolacją.

Mary rozkoszowała się każdym kęsem kielbasy i pieczywa i skończyła jeść zaraz po tym, jak Nathan odstawił swój talerz i chwiejnym krokiem podszedł do sofy, by opaść na nią bez sił. Kapitan jednak jadł dalej, nie zdradzając najmniejszej ochoty, by przestać. Przyglądała się w milczeniu, zastanawiając się, gdzie on pomieści taką ilość jedzenia i czy jego drewniana noga nie jest przypadkiem w środku wydrążona. Spojrzała na nią uważnie, ciekawa, w jaki sposób jest przymocowana do ciała, zaraz jednak odwróciła wzrok, nie chcąc się wydać osobą źle wychowaną.

Usiadła wygodniej, przysłaniając usta serwetką, by jej współbiednicy nie usłyszeli, że jej się lekko odbija.

– To było pyszne, panie kapitanie.

– Mów mi Ross, kuzynko – upomniał ją cierpliwie i odłożył widelec, ale tylko po to, żeby dolożyć sobie ziemniaków. – Skończyłaś?

Mary kiwnęła twierdząco głową.

– Więc pozwól mi zapytać, jeżeli to nie jest z mojej strony zbyt wielkie wścibstwo, co sprawiło, że młoda dama taka jak ty znalazła się sama w podróży? Moim zdaniem powinnaś podróżować z przyzwoitką.

Mary wzruszona jego troską pokręciła głową.

– Nie jestem już w wieku, w którym potrzebuje się przyzwoitki – powiedziała.

– Oj, chyba jednak jesteś, kuzynko. Nie możesz przecież mieć więcej niż dwadzieścia cztery lata.

– Och, kuzynie, dodaj do tego jeszcze prawie cztery lata. – Pochyliła się w jego stronę. – A teraz impertynencja za impertynencją: ile lat ty sobie liczysz?

– A ile byś mi dała, kuzynko? Prawdopodobnie wyglądam na pięćdziesiąt, ale to dlatego że twarz mam wysmaganą wiatrami i życie na wojennej fregacie obfituje w liczne... nerwowe sytuacje.

– Zamierzałam powiedzieć czterdzieści pięć.

– Pomyliłaś się o jakieś siedem lat, bo w styczniu skończę trzydzieści dziewięć.

– Naprawdę podeszły wiek – powiedziała cicho. – No cóż, oboje się starzejemy, ale ja przeżywam przygodę po raz pierwszy w życiu. Czy chcesz, kuzynie, żebym o niej opowiedziała?

Ross chciał, co uznał za zaskakujące. Przez tyle lat jadał samotnie na okręcie, że wieczór w towarzystwie młodej kobiety wydał mu się nader nęcący. Spojrzął na Nathana, któremu po tak obfitym posiłku kleiły się oczy. Wzrok Mary pobiegł za jego spojrzeniem. W następnej chwili bez słowa wstała, wzięła z sofy lekki pled, przykryła nim chłopca i dotknęła lekko jego policzka wierzchem dłoni. Nathan otworzył oczy, uśmiechnął się do niej, po czym wtulił się w sofę ruchem charakterystycznym dla małych chłopców i zasnął.

Mary wróciła na swoje miejsce.

– Moją przygodę – zaczęła – zawdzięczam świętecznemu ciastu. Być może ty, kuzynie,

nazwiesz takie ciasto keksem...

– Nie znam jego nazwy – zaśmiał się Ross. – Ale wiem, że w tureckim więzieniu zjadłbym je na pewno, podobnie jak wszystko, co by mi tam do jedzenia dali.

– W tureckim więzieniu? – zapytała, otwierając szeroko oczy.

– To historia na inną okazję – odrzekł, z przyjemnością patrząc na jej ożywioną twarz. – Teraz słucham ciebie.

Jadł dalej, a ona opowiedziała mu o kuzynce Dinie, cennym pierścionku i o kucharce nazwiskiem Morison, która wysłała ją na poszukiwanie ciast.

– Tak więc odzyskałaś już trzy z nich? – zapytał Ross, gdy jej opowieść dobiegła końca.

Kiwnęła głową i zaśmiała się cicho, tak żeby nie obudzić Nathana.

– Podejrzewam – zaśmiała się lekko – że nikt nie lubi świątecznego keksu mojej ciotki Marthy. Nie zasmakowaliby w nim chyba nawet Turcy. Trzeba było widzieć, z jaką ochotą obdarowani go oddawali!

– Nie powiedziałaś im, dlaczego tak naprawdę chcesz go odzyskać?

– Nie, bo to przyniosłoby wstyd mojej... to znaczy naszej kuzynce Dinie. To prawda, że ona jest głuptasem, ale potrafię być miła. Wymyśliłam historyjkę o tym, że składniki ciasta były nieświeże...

Jesteś naprawdę miła, ocenił ją w myśli Ross, po czym zapytał:

– No i?

– W żadnym z tych trzech keksów, które dotychczas odzyskałam, nie było pierścionka.

Mówiła tak pięknym szkockim akcentem, że Ross rozmarzył się. Przypomniał sobie swoją matkę i czasy dzieciństwa, które spędził w Dumfries dawno temu, zanim Napoleon postanowił, że będzie panował nad całym światem.

– A ten czwarty keks? – zapytał po chwili. – Ktoś ma go tutaj w Carlisle?

– Panna Ella Bruce, przyjaciółka cioci z pensji Lorny McKay dla panienek z dobrych domów.

– A ty, kuzynko, znasz tę panią, a także inne osoby obdarowane przez ciocię?

– Nie znam żadnej z nich – odrzekła. – A co więcej, tydzień temu sama ciocia dziwiła się sobie. Zadawała sobie pytanie, dlaczego na miłość boską wysłała te keksy ludziom, którzy od ponad dziesięciu lat się do niej nie odzywają. A jednak... Ella Bruce dostaje keks co roku. I nie ma co doszukiwać się w tym logiki, kapitanie – dodała Mary ze śmiechem. – Jest Boże Narodzenie.

Ross nie przypominał sobie nikogo prócz własnego syna, komu posyłałby cokolwiek na Boże Narodzenie. Już miał o tym powiedzieć Mary, gdy dało się słyszeć pukanie.

Mary spojrzała w stronę drzwi, marszcząc brwi, jakby niezadowolona, że ktoś im przerywa. A w każdym razie w to właśnie chciał wierzyć kapitan. Gdy wstała, by otworzyć, jej dłoń dotknęła jego ramienia. Było to dotknięcie bardzo lekkie, raczej muśnięcie – tak lekkie, że Ross pomyślał, że sobie je wyobraził. Bo przecież Mary nie była kobietą nadmiernie śmiałą.

– To z pewnością emisariusz panny Bruce – poinformowała go szeptem.

– Jak to?

– Wysłałam do niej krótki liścik z wyjaśnieniami, a on na niego odpisał. Napisał dużo, okrągłymi zdaniami, wyrażając przy tym zadziwiająco mało. – Tu Mary ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Czy sądzisz, kuzynie, że jest prawnikiem? Miejmy nadzieję, że przyniósł keks.

Miejmy nadzieję, że go nie przyniósł, pomyślał Ross, gdy otwierała drzwi. I miejmy nadzieję, że ty, kuzynko, jeżeli keks się zapodział, będziesz w dalszej podróży potrzebowała przyzwoitki.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nazywał się Malcolm Barraclough i okazał się napuszonym, skłonny do dramatyzowania gadułą. Takim gadułą, że Mary po dziesięciu minutach słuchania jego przemowy wyjaśniającej, kim jest, zdecydowała się przerwać potok jego słów. Szybko okazało się, że przyniósł złe nowiny.

– Bardzo proszę, niech pan będzie uprzejmy usiąść. Jest pan siostrzeńcem panny Bruce, a ona pojechała do Stirling, czy tak? Czy to pan chciał powiedzieć?

Pan Barraclough kiwnął głową, zaskoczony i najwyraźniej nienawykły do tego, by mu przerywano.

– Miałam nadzieję – mówiła dalej Mary – że pan przyniesie ten keks. Został upieczony z niezbyt świeżych składników. Dlatego ciocia nie chce, by ktoś go choćby skosztował. Wyjaśniłam to w krótkim liściku, wysłanym dziś po południu.

– Ale ja... nie mogę zwrócić pani tego keksu, bo... posłałem go komuś pocztą – wyznał pan Barraclough, spuszczać nisko głowę. – Moja ciocia Ella nie ma o tym pojęcia. A ja winię o to Kupidyna.

Kapitan, słysząc to, omal się głośno nie roześmiał. Odwrócił się, a Mary kątem oka dostrzegła, że drgają mu ramiona. Nie patrz na niego, ostrzegła sama siebie, powstrzymując się od śmiechu.

– Kupidyna? – zapytała zdziwiona. – Ależ, proszę pana, teraz mamy Boże Narodzenie, a nie walentynki.

– Kuzynko Mary, ludzie zakochują się i w Boże Narodzenie – zauważył kapitan z kamienną twarzą, ale z niebezpiecznym błyskiem w oku. – To może się zdarzyć zawsze, bez względu na okoliczności i porę roku.

Mary patrzyła to na jednego, to na drugiego. Jej wzrok biegł na przemian od żartownisia ku nudziarzowi. Nie bardzo wiedząc, co począć, postanowiła zastosować lek dobry na wszelkie zło.

– Panowie – zaproponowała – napijemy się herbaty.

Pan Barraclough przystał na to z ochotą i rozsiadł się przy stole, sprawiając wrażenie, że gotów jest siedzieć przy nim przez cały wieczór. W następnej chwili, gdy Ross, rozparty na sofie obok Nathana, założył swą drewnianą nogę na kolano zdrowej, otworzył szeroko oczy ze zdumienia i omal się nie zakrztusił.

Widok drewnianej nogi najwyraźniej odebrał mu zdolność mówienia. Z czego skorzystała Mary.

– Czy pańska ciotka, panna Bruce, proszę pana, wie o tym, że keks przyszedł do niej pocztą?

– Nie – zabrzmiała odpowiedź. – Ponieważ paczka z keksem przyszła po tym, jak udała się z wizytą do swej siostry. Czyli mojej matki – zakończył pan Barraclough, wpatrując się w drewnianą nogę kapitana, którą ten znowu śmiesznie poruszał.

Kiedy ten nudziarz wyjdzie, obiecała sobie w duchu Mary, uduszę kapitana własnymi rękami!

– Co pan zrobił z keksem? – pytała dalej gościa.

Pan Barraclough, spojrzawszy jeszcze raz na drewnianą nogę, odwrócił od niej wzrok i opowiedział im obojgu o nieodwzajemnionej miłości, jaką panna Bruce przez trzydzieści lat darzyła pewnego prawnika. Ów prawnik, jak twierdziła matka pana Barraclough, był zbyt

nieśmiały, by się oświadczyć, a panna Bruce za bardzo przypominała skromny fiołek, by go choćby jakimś podstępem do tego skłonić. Prawnik, pan Maxfield, nie miał nawet tyle śmiałości, by przez wszystkie te lata choć raz pocałować pannę Bruce pod jemiolą. Skutek tego jest taki, że panna Ella Bruce rok w rok w okresie Bożego Narodzenia, gdy wszyscy chrześcijanie się cieszą, popada w otchłań rozpaczy, płacze i spędza czas w łóżku, a potem wyjeżdża do Stirling, by tam smucić się nadal.

– Taki to jest los starych panien – zakończył pan Barraclough z westchnieniem.

– Ale co to ma wspólnego z brakującym keksem? – zapytał kapitan Rennie.

– Ano to, proszę pana, że ja jestem romantykiem. I dlatego po dziesięciu latach mieszkania z moją ciotką oraz oglądania jej corocznej męki postanowiłem wysłać keks panu Tavishowi Maxfieldowi z krótkim listem zawierającym wyznanie miłości i propozycję małżeństwa. I podpisałem ten list imieniem i nazwiskiem mojej ciotki.

Zapadła cisza, a po krótkiej chwili zabrzmiały entuzjastyczne słowa kapitana:

– Brawo, panie Barraclough, brawo!

– Sądzi pan, panie kapitanie, że dobrze zrobiłem? – zapytał pan Barraclough, rumieniąc się jak panienka i poprawiając nerwowym ruchem opadający na czoło niesforny kosmyk włosów.

– Oczywiście! Podbój czyjegoś serca wymaga odwagi! – oznajmił kapitan. – Przypomina pod tym względem wojnę na morzu. Jeżeli pan Maxfield dzięki temu listowi zjawi się u pańskiej ciotki w Carlisle, ciotka będzie uszczęśliwiona. A jeżeli nie, ciotka nic nie będzie wiedziała o całej sprawie. Postępując tak, okazał pan wielką inteligencję – dodał stary wilk morski ze szczerym uznaniem.

A Mary, z równie szczerym uznaniem, zaproponowała panu Barraclough kolejną filiżankę herbaty.

Podczas gdy Nathan słodko spał, we troje siedzieli jeszcze razem dobrą godzinę. Pan Barraclough podpytywany życzliwie przez kapitana, pił herbatę, jadł kielbasę i opowiadał im o swoim nudnym życiu księgowego, a także o żywionej w skrytości miłości do panny Jennie Lynch, córki pastora. Mary przysłuchiwała się im uważnie, ze współczuciem dla pana Barraclough, który – wiodąc życie podobne do jej własnego – wydał jej się równie samotny co panna Ella Bruce, i z podziwem dla życzliwości kapitana, który potrafił okazać temu biedakowi zainteresowanie i zrozumienie. A potem, gdy gość się już zbierał do odejścia, powiedziała:

– Może w tym roku nadszedł już czas, by pan, panie Barraclough, pocałował pod jemiolą pannę Jennie Lynch?

Po tych słowach oblała się rumieńcem równie intensywnym jak pocziwy księgowy.

– Popieram to z całego serca! – zawołał kapitan. – Niech pan pamięta, że w sprawach serca konieczna jest odwaga!

Nieśmiały gość kiwnął tylko głową i kierował się już ku drzwiom, gdy zatrzymały go słowa przerażonej Mary:

– Proszę pana, proszę zaczekać! Nie podał nam pan przecież adresu pana Maxfielda!

– Och, zapomniałem – roześmiał się pan Barraclough. – Tavish Maxfield, York, Apollo Street numer piętnaście.

– Ten nieśmiały człowieczek potrzebował kogoś, przed kim mógłby się wygadać – powiedział kapitan, gdy drzwi zamknęły się za gościem. – Pokładam w Bogu nadzieję, że w te święta odważy się pocałować swoją ukochaną. Ale, ale, czy wiesz, kuzynko, że podczas gdy on opowiadał o swoim nudnym życiu, ja uświadomiłem sobie ponownie, że sam, przez długie lata, wiodłem życie i działałem na wielkiej, wprost światowej arenie. A czy chciałbym zamienić się z nim miejscami? Czasami tak – odpowiedział sam sobie, po czym dodał z uśmiechem: – Podczas urlopu muszę się przyzwyczaić do życia wśród ludzi, którzy, inaczej niż ja, nigdy nie

pracowali dla Napoleona.

Mary, słysząc te słowa, spojrzała na niego zdziwiona, zaraz jednak zrozumiała, co miał na myśli.

– Pracowałeś, kuzynie, dla wielkiego maga Europy? – zapytała.

– Tak, moja droga. Dla wielkiego, pociągającego za sznurki lalkarza, wielkiego maga, jakkolwiek go nazwiesz. Pensję płaci mi nasza admiralicja, ale zatrudnia mnie nie kto inny, tylko on, Napoleon Bonaparte. Tak, tak, wszyscy tańczymy tak, jak on nam zagra.

Łącznie ze mną, pomyślała Mary, nie chcąc wypowiedzieć głośno tych słów.

Przypomniał jej się bowiem dawny ukochany, Reginald MacDowell, o którym nie myślała co najmniej od pięciu lat. Zamyśliła się.

– Ty, kuzynko, także? – zapytał kapitan, zadziwiając ją swoją domyślnością.

Kiwnęła głową w milczeniu, zbyt nieśmiała, by coś odpowiedzieć. Przypomniała sobie jednak, jak pękło jej serce, gdy porucznik oznajmił, że musi poślubić pannę z dużym posagiem. I jak cierpiała w skrytości ducha, gdy dwa lata później dowiedziała się o jego śmierci pod Salamanką i o tym, że osierocił wdowę i malutkiego synka. Dziwne, że dotychczas nigdy nie pomyślała, by winą za to wszystko obarczyć Napoleona Bonapartego.

– Wygląda na to, że ten konus namieszał w życiu każdego z nas – powiedział cicho kapitan Rennie. – A w jaki sposób namieszał w twoim, kuzynko Mary? Powiedz mi, bo... chcę wiedzieć.

– Ja... omal się nie zaręczyłam z pewnym artylerzystą, porucznikiem. Jednak on... uznał, że potrzebna mu majątna żona – odrzekła Mary. – Sądzę – dodała – że mundury są bardzo drogie.

– Co za gbur! – skomentował to kapitan. – I co było dalej?

– Porucznik znalazł sobie dość szybko pannę majątniejszą ode mnie. Zatem nie sądzą, by był szczerze we mnie zakochany...

Wypowiedziała te słowa, dziwiąc się, że łatwiej jej to przychodzi, niż myślała.

– Więc być może dobrze się stało...

– Wierzę, że zginął gdzieś na polu bitwy – oznajmił Ross. – I dobrze mu tak.

– Rzeczywiście, tak było. Ale zostawił żonę i malutkiego synka. Więc nie żartuj sobie, kuzynie.

Wypowiedziała to tak poważnym tonem, że kapitan natychmiast się zmitygował.

– Przepraszam cię bardzo, kuzynko – powiedział. – Widzę, że się zagalopowałem... No cóż, nikt nie jest ideałem... A ja... tym bardziej. Naprawdę przepraszam.

– Kapitanie, sądzą... – zaczęła, chcąc zmienić temat, po czym na chwilę zamilkła i nagle, zdawszy sobie sprawę z wagi słów pana Barraclough, zawołała z przerażeniem: – Boże jedyny, York!

To jej nagle przerażenie uświadomiło Rossowi, że nowo poznana kuzynka nigdy w życiu nie wyjeżdżała dalej niż do Carlisle i teraz, podróżując samotnie dylizansem, być może będzie zdana na łaskę takich nudziarzy jak Malcolm Barraclough. Albo skazana na zaloty jakiegoś kapitana okrętu... A może nie ma wystarczającej ilości pieniędzy? – zastanawiał się dalej. I czy on, Ross Rennie – wiedziony tym poczuciem obowiązku, które od czasu gdy został oficerem, ciążyło mu nieraz niczym przemoczony płaszcz na ramionach – nie powinien się nią zaopiekować? Z całą pewnością! – pomyślał, po czym zwrócił się do niej:

– Kuzynko Mary, wygląda na to, że musisz się udać do Yorku. Czy miałabyś coś przeciwko towarzystwu w swej podróży?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mary zmarszczyła brwi. Wiedziała, gdzie jest York na mapie, bo nieraz przeglądała atlas wuja, wyobrażając sobie, że udaje się do tak egzotycznych miejsc jak Londyn czy Brighton. Teraz jednak rzeczywista perspektywa podróży dalszej niż do Carlisle przerażała ją.

– Hm – odezwał się kapitan – sądząc po twojej minie, kuzynko, widzę, że nie planowałaś żeglować po tak odległych wodach.

– To prawda – odrzekła zawstydzona. – A ty, kuzynie, jako człowiek nawykły do wielkich niebezpieczeństw musisz mnie mieć za prawdziwego tchórza.

– Sądzę po prostu – powiedział serdecznym tonem, biorąc ją pod brodę i patrząc w twarz bardzo niebieskimi oczami – że nigdy nie byłeś w Yorku, który jest dużym miastem.

Całe jej zawstyżenie zniknęło.

– A ja sądzą, że podróżowanie po kraju w poszukiwaniu czterech porcji keksu jest zajęciem nieco dziwnym – zauważyła ze śmiechem.

– Jednak nie dziwniejszym niż włóczenie się po świecie w poszukiwaniu kumberlandzkiej kielbasy – odrzekł jej na to, po czym, patrząc na śpiącego syna, ściszył głos i mówił dalej: – Prawda jest taka, że gdy przejeżdżaliśmy niedawno przez York, miałem ochotę się tam zatrzymać, bo od jednego z moich druhów wiem, że pewien rzeźnik robi tam wyśmienitą krwawą kiskę. Więc... pozwól, kuzynko, że pojedziemy tam z tobą i pomożemy ci odzyskać ten uprzykrzony keks.

– Nie, kuzynie. Proszę, nie martw się o mnie. Ja sobie poradzę, a teraz wypada mi życzyć tobie i twemu synowi wesołych świąt na łądzie. I powiedzieć do widzenia.

Kapitan Rennie, słysząc te słowa, poczuł się rozczarowany. Wzruszył jednak tylko ramionami i podszedł bez słowa do sofy, by wziąć na ręce synka. Gdy się nad nim pochylał, zachwiał się i byłby stracił równowagę, gdyby Mary, wiedziona odruchem, go nie podtrzymała, obejmując w pasie.

– Dziękuję – powiedział, nie zdradzając zmieszania. – Czasami mi się to jeszcze zdarza.

Mary puściła go, gdy wziął Nathana na ręce, po czym pochyliła się nad chłopcem i odgarnęła mu włosy z czoła. Następnie życzyła mu wesołych świąt, nakazała pilnować, by papa nie przejadał się kielbasą, i pocałowała go w czoło.

Otworzyła drzwi prowadzące na korytarz, czekając, aż kapitan wyjdzie. Lecz ten pokręcił nagle głową i zawrócił.

– Kuzynko Mary, zapomniałem ci powiedzieć, że nie poprosiłem właściciela gospody o oddzielny pokój. On sądzi, że my wszyscy troje jako członkowie jednej rodziny będziemy spali tutaj.

– Dobry Boże! – Mary wskazała mu sofę. – Połóż, kuzynie, Nathana z powrotem i idź zaraz załatwić tę sprawę!

Kapitan położył chłopca, po czym zaczął się droczyć:

– A co będzie, jeżeli nie ma wolnych pokoi? Zbliża się Boże Narodzenie, a o tej porze roku gospody są przepelnione...

Mary była nieugięta i kazała mu natychmiast załatwić sprawę.

Wrócił wkrótce z kluczem w dłoni.

– Wiem z dobrego źródła, kuzynko – powiedział, stając przy sofie – że rodzice często tak stoją razem, patrząc na swoje śpiące dzieci. Ja nigdy tego luksusu nie miałem. Więc wybaczone i pozwól mi rozkoszować się tą chwilą.

– Rozkoszuj się nią do woli, kuzynie – odrzekła serdecznym tonem. – Ja także nigdy nie miałam tego luksusu – dodała, odgarniając włosy z czoła Nathana. – Jego matka musiała być piękną kobietą.

– To prawda. Nigdy nie spotkałem piękniejszej. Jednakże – dodał, dotykając palcem jej nosa – bardzo lubię piegi. Są one czymś, czego nie spotyka się na Półwyspie Iberyjskim. Dobranoc, Mary. No i... zapewne... do widzenia.

Kapitan wziął śpiącego Nathana na ręce, nie budząc go, dotarł do drzwi swego oddzielnego pokoju, otworzył je i zamknął za sobą.

No i na tym koniec, pomyślała Mary.

Nie przypuszczała, jak bardzo się myli.

Kilka godzin później wciąż nie spała. Leżała całkiem rozbudzona, wpatrując się w sufit. Z początku martwiła się o pieniądze, ale później przypomniała sobie, że potrafi być bardzo oszczędna, a podróż do Yorku nie będzie zbyt długa.

Poważniejszym zmartwieniem było to, że w tej trwającej już od tygodnia podróży czuła się coraz bardziej samotna. Zwłaszcza wieczorami, bo za dnia, w dyliżansie, znalazła się zawsze jakaś szacowna dama, z którą można było wymienić uprzejmości i pogawędzić. Natomiast każdego wieczora, w każdym kolejnym mieście – po odzyskaniu keksu, rozkruszeniu go i przekonaniu się, że nie ma w nim pierścionka – siedziała sama w swoim pokoju w gospodzie, nie mając do kogo otworzyć ust. Z dnia na dzień samotność coraz bardziej jej dokuczała.

Leżąc tak bezsennie w łóżku, uświadomiła sobie, że najsmutniejszym okazem gatunku ludzkiego jest z pewnością śmieszna stara panna albo śmieszny stary kawaler. O Boże, zaczęła się modlić, jeżeli już mam być starą panną, to niech przynajmniej nie będę śmieszna. I modliła się tak, przewracając się z boku na bok, a potem poprawiła poduszkę i usiłowała zasnąć.

Sen jednak nie nadchodził. Zaczęła myśleć o kapitanie Renniem, o odwadze, z jaką zeglował po dalekich wodach i staczał bitwy morskie. W jaki sposób ten dzielny człowiek ze swoją drewnianą nogą daje radę utrzymać równowagę na pokładzie, gdy statkiem kołyszą fale? – zadała sobie pytanie, żałując, że straciła okazję, by z jego własnych ust usłyszeć odpowiedź.

Tak, straciła po temu okazję, bowiem dyliżans do Dumfries miał wyruszyć w podróż przed wschodem słońca, zanim ona się obudzi.

Tak pomyślawszy, westchnęła i w końcu odpłynęła w głęboki sen.

Ross sądził, że jego syn zaśnie ponownie, skoro tylko przebierze się w koszulę nocną, lecz tak się nie stało. Nathan położył się na wznak, z rękami pod głową, i spojrział na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– O co chodzi? – zapytał Ross. – Znam to spojrzenie.

Nie potrafił powiedzieć chłopcu, że tak kilka razy patrzyła na niego Inez, gdy miała do niego o coś pretensję. Co za szkoda, pomyślał, że chłopak nigdy nie poznał własnej matki.

– Chodzi o to, papo – odrzekł Nathan – że moim zdaniem nie powinniśmy pozwolić kuzynce Mary podróżować samotnie dyliżansem. Dyliżans jest dobry dla nas, ale Mary jest damą.

– Zgadzam się, chłopcze – powiedział Ross. – Myślę tak samo, lecz co możemy na to poradzić? Chyba jej nie porwiemy? – dodał ze śmiechem, a Nathan mu zawtórował.

Następnie Ross położył się obok syna w takiej samej jak on pozycji – na wznak z rękami pod głową. Jednak po chwili zastanowienia przekręcił się na bok i podparł na łokciu.

– Czy spodziewasz się, że coś wymyślę? – zapytał, na co Nathan potakująco kiwnął głową. – No dobrze, zastanowię się – obiecał, po czym pochylił się, by pocałować chłopca, i wstał, żeby przebrać się w nocną koszulę. – A teraz śpij – dodał jeszcze.

– Ale, papo, nie mamy wiele czasu. Pospiesz się – odrzekł Nathan, po czym zamknął oczy

z błogim wyrazem twarzy. – I wiesz, papo, ona mnie dotknęła. I to było przyjemne.

Mnie też, pomyślał Ross. I to też było przyjemne.

– W porządku. Obmyślę zaraz plan – obiecał. – Czy ci to wystarczy? Zaśniesz już teraz?

Gdy Mary się ocknęła, ciemność nocy rozpraszało blade światło wschodzącego słońca.

Musiał ją obudzić dźwięk trąbki pocztyliona obwieszczający odjazd dyliżansu do Szkocji. Jakże pragnęła siedzieć w tym dyliżansie i jechać do Edynburga, choćby nawet w ścisku i z pospolitym, udającym się na targ towarzystwem. No cóż, kapitan Rennie i Nathan będą w tym ścisku podróżowali krótko, bo Dumfries nie jest daleko. Ona natomiast pojedzie do Yorku, i to znacznie później. Ta myśl sprawiła, że westchnęła, obróciła się na drugi bok i wtuliła w poduszkę, by nie zaprzętać tym sobie głowy jeszcze przez godzinę.

Kiedy obudziła się po raz drugi, było już całkiem widno. Wstała, umyła się i ubrała, a następnie przeszła do saloniku. Już miała otworzyć drzwi na korytarz, by udać się na dół do jadalni na śniadanie, gdy zauważyła leżącą na podłodze złożoną w kwadracik kartkę, na której widniały słowa: „Kuzynka Mary”. List. Podniosła go z ciekawością, a gdy go przeczytała, otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Przeczytała go po raz drugi, tym razem głośno, by lepiej zrozumieć sens.

*Zwierzchnictwo admiralicji pragnie poinformować pannę Mary Rennie, że kapitan Ross Rennie prosi o pozwolenie na towarzyszenie jej teraz, w ten czas wojenny, w podróży na terytorium wroga, to znaczy do Yorku.*

Mary przeczytawszy te słowa, roześmiała się głośno, po czym czytała dalej.

*To prawda, że aktualnie panuje pokój. Jednakże ja znam dobrze mego chlebodawcę i nie wierzę, że będzie spokojnie siedział na tej małej wysepce, położonej tak blisko Francji. Ponieważ dyliżanse są niewygodne, a kapitan Rennie lubi wygodę – zwłaszcza że prawie nie zaznał jej od dwunastu lat – rzeczony kapitan wynajął już w celu podróży do Yorku karetę pocztową. Poza tym zamierza on wstąpić po drodze do Skowcroft na pyszny deser, co byłoby niemożliwe, gdyby podróżował zwykłym dyliżansem, gdyż ten się tam nie zatrzymuje.*

*Kuzynko, nie spraw zawodowi wojownikowi o drewnianej nodze, służącemu od tylu lat w Królewskiej Marynarce Wojennej.*

Aha, pomyślała Mary z uśmiechem, bierzesz mnie na litość. A potem przeczytała jeszcze dopisek.

*Ten wojownik wie ponadto, gdzie w samym Yorku można zjeść pyszną zapiekankę pasterską.*

Mary stała przez kilka chwil nieruchomo i przebiegała list jeszcze raz wzrokiem, myśląc ze wzruszeniem o człowieku, który wynajął już karetę, by zawieźć ją do Yorku, bo wiedział, że denerwuje się ona przed samotną podróżą. Nie przypominała sobie, by ktokolwiek, znając ją tak krótko, okazał jej tyle serdecznej życzliwości.

– Dobrze, kapitanie, zgadzam się – powiedziała, po czym zaczerpnęła tchu i otworzyła drzwi.

A za drzwiami, w korytarzu, stali ojciec i syn, wpatrując się w nią oczami pełnymi nadziei. Mary wybuchnęła śmiechem.

– Co ja z wami mam! – zawołała. – I co mogę zrobić? Nie mam wyjścia, muszę przyjąć waszą propozycję.

– Robisz mądrze, kuzynko, bo my nie przyjęlibyśmy odmowy – powiedział kapitan. – A teraz, czy zechcesz z nami zjeść śniadanie w jadalni na dole?

Mary zechciała, po czym wszyscy troje zasiedli do – tym razem znacznie krótszej – kielbasy, jajecznicy i kawy.

Gdy już się posilili i gdy posprzątało ze stołu, kapitan wyjął z kieszeni arkusz papieru.

Rozłożył go na stole i oznajmił:

– Mam tutaj listę gospód rozsianych po całym kraju. Sporządzałem ją stopniowo przez długie lata w mesie oficerskiej. Każdy z moich druhów dopisywał tu adres i nazwę gospody, w której, jego zdaniem, serwuje się doskonale jedzenie. Mam więc mnóstwo adresów ze wszystkich zakątków naszej ojczyzny. I powiem ci, kuzynko, że wtedy gdy człowiek znajduje się na dalekich morzach, a na pokładzie kucharz żywi go kiepską wołowiną, sucharami i nieświeżą wodą, taka lista jest prawdziwym pocieszeniem, zwłaszcza gdy braknie już wina.

– Spójrz tutaj – mówił dalej, wskazując jeden z wpisów. – Jeżeli zaraz wyruszymy w drogę, na lunch zajedziemy do Skowcroft, a tam...

Tu przerwał i przeciągnął palcem po słabo czytelnych literach.

– Miałem na pokładzie aspiranta – dodał zaraz. – Nazywał się Dale Everett i pochodził ze Skowcroft. Twierdził, że tam w gospodzie Pod Służącym Psem serwują najlepszy pod słońcem pudding z cytrynową polewą.

– Ufam, że ten aspirant powrócił cały i zdrowy na ląd, by móc się tym przysmakiem rozkoszować – powiedziała Mary.

– Niestety – odrzekł kapitan. – Chłopak stracił życie na Pacyfiku. Miał zaledwie piętnaście lat. – Tu oczy kapitana zasnuła mgła smutku. – I sędzę... – dodał – ...że powinniśmy zjeść porcję puddingu dla uczczenia jego pamięci.

Mary wzięła do ręki listę i przebiegła po niej wzrokiem.

– Razowiec i galaretka z pigwy? To interesujące, bo... ja bardzo taką galaretkę lubię.

– No tak... zdaniem mojego głównego stewarda można jej skosztować w pubie w Ovenshine. A tu znowu jeden z moich podkomendnych zapisał mi adres w Wamsley, gdzie można dostać wyśmienitą krwawą kiszkę. I tak dalej, i dalej... Mam jeszcze mnóstwo takich wpisów... Ale nie martw się, kuzynko, nie wszyscy ich autorzy nie żyją.

Możliwe, że tobie, bardziej niż mnie potrzebna jest dodatkowa podróż do Yorku. Tak sobie pomyślawszy, Mary podjęła próbę przemówienia kapitanowi do rozumu, mówiąc:

– Czy twoja siostra, kuzynie, nie będzie się niepokoiła o ciebie?

– Przed świtem wysłałem do niej list – zabrzmiała odpowiedź kapitana. – Napisałem, że muszę jechać do Yorku w interesach – dodał z szerokim uśmiechem. – Mam nadzieję, że siostra nie będzie się dopytywała o szczegóły. A kiedy ty, kuzynko, musisz zameldować się w Edynburgu?

– Najpóźniej w Wigilię. Wtedy właśnie przyjedzie narzeczony Diny i będzie chciał na jej palcu zobaczyć pierścionek. A ty, kuzynie, kiedy powinieneś być w Dumfries?

– Także w Wigilię. Co oznacza, że mamy dla siebie cały tydzień, a ja po świętach będę miał jeszcze parę dni na odwiezienie Nathana do Plymouth, zanim zamelduję się na pokładzie mojej fregaty.

– Możemy być w Yorku dziś wieczorem... – zasugerowała Mary.

Kapitan pokręcił głową, po czym przywołując gestem właściciela gospody, oznajmił:

– Nie słuchałaś, co mówię, kuzynko Mary. Musimy odwiedzić Skowcroft i zjeść tam doskonały pudding z cytrynową polewą. A Skowcroft nie leży przy głównej drodze.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podróżowali z fasonem poczwórną karetą, siedząc wygodnie – Mary na jednej kanapie, a kapitan Rennie na drugiej, naprzeciwko, wraz ze swym synem, który po kilku chwilach, oparłszy głowę o udo ojca, zamknął oczy i zasnął.

– Niewiele spał tej nocy – wyjaśnił kapitan szeptem. – Bardzo się niepokoił, że ty, kuzynko, nie zgodzisz się, żebyśmy cię obaj eskortowali w podróży do Yorku.

– Wygląda zatem na to, że odziedziczył opiekuńczość po tobie, kuzynie.

– To całkiem możliwe. – Kapitan uśmiechnął się i zamilkł, patrząc przez okno, za którym zaczął padać śnieg.

Wkrótce i jego zmorzył sen.

Mary obserwowała go dyskretnie. Był postawnym mężczyzną o szerokich barach, a jego drewniana noga nie rzucała się w oczy. Jednak Mary, choć już zdążyła przywyknąć do jej widoku, zastanawiała się, jak on sobie z nią daje radę. I jak ta noga wygląda? Jak kapitan zachowuje pionową postawę podczas sztormu? Na usta cisnęło jej się ze sto pytań, z których żadnego nie odważyłaby się zadać.

– Zasysanie i rzemyki, kuzynko.

Mary zaskoczona spojrzała na kapitana. Było oczywiste, że już nie śpi i że zauważył, na co ona patrzy.

– Ja... rzeczywiście się nad tym zastanawiałam – powiedziała, rumieniąc się. – Ale... skąd ty, kuzynie, o tym wiedziałeś?

– Widziałem takie spojrzenia nie raz i nie dwa. Patrzą tak przeważnie kobiety – odrzekł spokojnie. – Drewniana proteza ma na końcu zagłębienie z miękką wyściółką. Umieszczam w nim kikut, a potem przymocowuję protezę za pomocą dwóch skórzanych rzemieni i przypinam te rzemienie do pasa, który noszę pod ubraniem, w talii. Jesteś, kuzynko, pierwszą damą, której to wyjaśniam.

Mary mogła w tym momencie kiwnąć głową, przeprosić i zamilknąć. Jednak chciała wiedzieć więcej.

– Czy ta noga boli? – zapytała.

– Jeżeli stoję zbyt długo albo zbyt dużo chodzę. Ale na fregacie nie ma miejsca na długie spacerunki! – Kapitan roześmiał się.

– No tak. Ale chyba zdarza się, że musisz, kuzynie przez długie godziny stać na pokładzie...

– Prawie każdego dnia, kuzynko. No i... tak... to boli – powiedział, po czym przesunął nieco Nathana i usiadł wygodniej. – Spójrz, proszę.

Podciągnął nogawkę i Mary zobaczyła podobne do kubelka górne zakończenie jego protezy, a także rzemień.

– Twoja noga, kuzynie, została amputowana w połowie łydki? – zapytała.

– Tak. I muszę powiedzieć, że jestem szczęściarzem, bo wciąż mam kolano. Kucharz pływający na mojej fregacie stracił całą nogę, aż do biodra. Kuśtyka o kuli i świetnie gotuje, więc jest przydatny. Ja też przekonałem swoich zwierzchników, że przydam się jeszcze na morzu. I wciąż pływam.

Mary kiwnęła głową ze zrozumieniem, po czym pytała dalej:

– Mówisz tak, kuzynie, jakby życie z drewnianą nogą było łatwe. Ale mnie się zdaje, że ono takie nie jest? Nie mogę sobie wyobrazić, jak można z taką nogą utrzymać równowagę na

pokładzie okrętu, którym kołyszą fale...

– Wymaga to jedynie praktyki, kuzynko. Jak wszystko. My, wilki morskie, mamy zwyczaj stać z nogami szeroko rozstawionymi – odrzekł kapitan i spojrzał na swego śpiącego synka z taką czułością, że Mary, czując ukłucie zazdrości, zapragnęła, żeby ktoś tak patrzył na nią. – Kiedy Nathan miał trzy lata – kontynuował – byłem w Plymouth na miesięcznym urlopie. Kapaliśmy się razem w blaszanej balii, a on płakał, bo nie mógł tak jak ja odpinać drewnianej nogi.

Mary, słysząc tę uwagę, wypowiedzianą poważnie i tonem najzupełniej rzeczowym, roześmiała się, całkiem rozbrojona.

– Widzę, kuzynie, że nie ma sensu cię żałować – stwierdziła.

– Najmniejszego – odrzekł, po czym założył drewnianą nogę na kolano zdrowej i zaczął nią zabawnie poruszać. – Ale, ale, kuzynko, czy nie byłoby dobrze zatrzymać się na jeden dzień w Skowcroft? Którego dzisiaj mamy?

– Dziś jest siódmy grudnia. Jeżeli się tam zatrzymamy, zdążę jeszcze odebrać keks od ukochanego panny Bruce. Oczywiście pod warunkiem że on nie zmarł rażony apopleksją na widok napisanego przez pana Barraclough miłosnego liściku.

– A zatem rzecz ustalona. Zatrzymujemy się w Skowcroft – powiedział kapitan ucieszony.

Przez jakiś czas podróżowali w milczeniu. Mary zajęła się robótką, a gdy w pewnej chwili zrobiło jej się zimno i przeszedł ją dreszcz, kapitan natychmiast przykrył ją swoją marynarską peleryną. Nie zaprotestowała, bo знаła go już na tyle, by wiedzieć, że jej protesty na nic by się nie zdały.

– Czy wolno spytać, kuzynie, w jaki sposób straciłeś nogę? – zagadnęła, gdy już się rozgrzała i wróciła do robienia frywolitki.

– Pod Trafalgarem, na pokładzie „Syriusza”, fregaty o trzydziestu sześciu działach, którą dowodził dzielny kapitan William Prowse. Moim zadaniem było przekazywać flagami sygnały z „Victorii” pozostałym okrętom. Wykonywałem to zadanie, stojąc na pokładzie rufowym obok kapitana Willy’ego. Wtedy trafił mnie odłamek kuli armatniej, raniąc w nogę. W jednej chwili znalazłem się na deskach pokładu. Leżałem, ślizgając się we własnej krwi, i zastanawiałem się, co się, u diabła, stało.

– To był odłamek? – zapytała Mary, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

– Tak. Ale mylisz się, kuzynko, jeżeli myślisz, że ten odłamek był mały. Miał on około jarda długości i był naprawdę paskudny. Po prostu rozwalił mi nogę. Jeden z majtków przerzucił mnie sobie przez ramię i zaniósł pod pokład do okrętowego medyka, a ten poradził sobie ze mną świetnie, bo dzięki niemu nie straciłem kolana. Tak to było, kuzynko Mary. Po prostu.

– Po prostu? – powtórzyła, patrząc na niego ze zmarszczonymi brwiami, i dodała: – Widzę, że nigdy nie zrozumieć żadnego żeglarza.

– Nie musisz nas rozumieć, kuzynko, nie musisz. A tak à propos, czy twoja mama nie ostrzegła cię przed nami?

– Moja mama zmarła, gdy miałam piętnaście lat, i wątpię, by знаła choć jednego człowieka morza.

Po tych słowach Mary zamilkła i zapatrzyła się w okno. Moje życie, w porównaniu z jego życiem, jest takie pospolite, pomyślała, patrząc na padający śnieg.

A tymczasem kareta jechała coraz wolniej.

Ty przekłety głupcze, przerazisz swoją kuzynkę, zganił się w myśli Ross, patrząc na Mary, która zamyślona wciąż robiła frywolitkę. Jej twarz była śliczna i okalały ją piękne kasztanowate, zebrane na karku w kok włosy. Cała jej postać tchnęła spokojem i działała na

niego kojąco. Przez tyle lat wiódł życie raz pełne zgiełku i bitewnych zagrożeń, a raz znowu otępiającej nudy, że ów spokój działał naprawdę kojąco. A poza tym Ross czuł, że fakt, że ona podczas rozmowy obdarza go swoją niepodzielną uwagą, niezmiernie mu pochlebia.

To zabawne, pomyślał, nie odrywając od niej oczu, ale Mary pod żadnym względem nie przypomina kobiety, jaką dwadzieścia lat temu, jako nieopierzony młodzik, wymarzyłem sobie na żonę. Miała być piękną wysoką blondynką, śmiejącą się niskim uwodzicielskim śmiechem. No i miała mówić akcentem, jakim mówią Francuzki na Karaibach. Takim, jakim mówiła poznana przez niego na Martynice żona pewnego nieobecnego, bo znajdującego się właśnie na morzu Francuza, z którą spędził upojną noc i przez którą, gdyby serdeczni druhowie nie wyciągnęli go prawie siłą z jej łóżka, spóźniłby się na swój okręt wychodzący o świcie w morze. Ross nigdy nie zapomniał akcentu tej kobiety, ale uśmiechnął się teraz na myśl o szkockim akcencie Mary i jej kasztanowatych włosach... a także instynktownej miłości do dzieci. Ta miłość, pomyślał, byłaby czymś bardzo pożądanym u kobiety, którą po skończonej wojnie wybrałbym sobie na żonę.

Tymczasem ich karetę posuwała się coraz wolniej pośród padającego śniegu. W końcu jednak zajechali do Skowcroft, gdzie Ross postanowił zanoć. Zatrzymali się przed starym kamiennym budynkiem, którego front ozdabiał łopoczący na wietrze szyld z wymalowanym psem z oklapłymi uszami. Dokładnie takim, jak opisywał aspirant Everett. Ross uśmiechnął się na ten widok, lecz uśmiech zaraz zniknął z jego twarzy, bo przypomniało mu się, jak ten bystry chłopak, obłany potem i majaczący w gorączce, wydawał ostatnie tchnienie. Przypomniał też sobie, że on sam, choć wysłał rodzinie chłopca list z kondolencjami, nigdy tej rodziny później nie odwiedził. Zawsze wymawiał się od tej wizyty brakiem czasu czy okazji. Prawda jednak była taka, że gdyby nawet czas i okazja się nadarzyły, nie chciał do rodziców chłopca pojechać.

Aż do tej chwili. Teraz, patrząc na Nathana zaledwie o pięć lat młodszego od Dale'a Everetta w chwili, gdy umierał tak daleko od domu, pomyślał, że powinien ich odwiedzić.

Dom Dale'a był tutaj, a moim domem jest morze, przypomniał sobie. Cały ten świat na lądzie jest mi obcy. Zaraz jednak, gdy spostrzegł, jak Mary opiekuńczym gestem poprawia ledwie rozbudzonemu Nathanowi ubranie i jak przygląda jego rozwichrzone włosy, przyszło mu do głowy, że do chwili, gdy się z nią rozstanie, ten świat będzie dla niego mniej obcy niż zwykle.

Patrzył przez dłuższą chwilę na syna i kuzynkę, myśląc o nich jako o swej załodze.

– Jesteśmy na miejscu, oficerowie – powiedział w końcu, na co Mary się uśmiechnęła. – Prawie boję się spytać, czy w tej gospodzie podaje się najlepszy pudding z cytrynową polewą w całym hrabstwie Yorkshire. Wiem z pewnego źródła, że w roku tysiąc osiemset trzecim to czyniono. Ale to było jedenaście lat temu. Sprawdźmy?

Wysiedli z karety i weszli wszyscy troje do środka, gdzie przywitał ich właściciel gospody, wycierający ubielone mąką dłonie w wątpliwej czystości fartuch.

Gdy zamówili już pokoje, nadeszła chwila prawdy, bowiem Ross oznajmił, zwracając się do właściciela gospody:

– Zanim udamy się na górę, chcielibyśmy spróbować waszego puddingu z cytrynową polewą.

Właściciel gospody rozpromienił się.

– Podam go, zanim państwo zdecydują się, gdzie usiąść. Tylko... – Tu spojrzął na Mary, a potem na Nathana. – Czy szanowna pani chce, żeby pani synek zjadł słodki deser przed obiadem?

Mary zarumieniła się po korzonki włosów i już miała wdać się w wyjaśnienia, jednak widząc spojrzenie Rossa, kiwnęła głową.

– Wszyscy chcemy spróbować puddingu – oznajmiła. – Ale proszę go podać kapitanowi

jako pierwszemu. On bardzo długo czekał na ten rzadki przysmak.

Niech Bóg błogosławi kobiety! Ross podsunął Mary krzesło, a ona usiadła. Następnie zebrał się na odwagę i szepnął jej do ucha:

– Postanowiłaś, kuzynko, nie zanudzać go szczegółami?

– Jestem w takim wieku, że mogłabym być matką Nathana. To całkiem naturalna pomyłka – odrzekła mu, także szeptem. – Nie dokuczaj mi, kuzynie.

– Ależ gdzieżbym śmiał! – zażartował.

Nie czekali długo, bo zaledwie po paru chwilach właściciel gospody wkroczył do jadalni uroczyście i powolnym krokiem, niosąc ogromną misę, znad której unosiła się para. Za nim zaś paradowała równie uroczyście dziewczynka, która niosła łyżki i mniejsze miski. Rossowi ślinka napłynęła do ust, gdy poczuł zapach cytryny. Przypomnił sobie ciasną mesę na środku południowego Pacyfiku pełną oficerów – tak samo jak on wygłodzonych i tęskniących za domem – którzy słuchali Dale’a Everetta opisującego pudding z cytrynową polewą.

– Porządną porcję dla kapitana, proszę – odezwała się Mary, zorientowawszy się, że on ze wzruszenia nie może mówić. W następnej chwili Ross zobaczył pudding przed sobą – pachnący i gorący. Wziął więc łyżkę i drżącą ręką zanurzył ją w żółtej wspaniałości. Zbliżył ją do nosa, by powąchać niczym wytrawny koneser porto, i następnie włożył do ust.

Dobry Boże wszystkich ludzi morza, pomyślał z zachwytem. Dale, miałeś rację. I szkoda, naprawdę wielka szkoda, że nie ma cię tutaj z nami.

Choć miał ściśnięte gardło, przełknął pudding, a następnie odłożył łyżkę, nie będąc w stanie dalej jeść. Oczy miał pełne łez.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Mary zobaczyła, że kapitan Rennie, nie jest w stanie jeść puddingu, jej serce wypełniło się czułością. Właściciel gospody tymczasem patrzył na nich oboje ze zdumieniem.

– Moim... moim gościom ten pudding zwykle smakuje – wyjąkał.

– Ten pudding jest pyszny – zapewniła go Mary. – Tylko, widzi pan, kapitan Rennie marzył o nim przez długie wojenne lata, walcząc z Napoleonem. Więc... proszę zrozumieć... kapitan jest wzruszony.

Właściciel gospody kiwnął głową i spojrział na kapitana ze współczuciem, a potem wyszedł, zostawiając ich samych. Mary wyjęła z torebki chusteczkę i podała ją kuzynowi. Nathan, widząc, że ojciec ociera nią oczy i robi kilka głębokich wdechów, omal nie załżał się łzami. Wtedy gestem przywołała do siebie chłopca, wzięła go za rękę i wyprowadziła z gospody.

– Postójmy tu przez chwilę, oddychając głęboko, i pozwólmy twemu papie pobyć w samotności – powiedziała, uświadamiając sobie nagle, że kapitan ma w Skowcroft do załatwienia coś więcej niż tylko zjedzenie pysznego puddingu z cytrynową polewą.

– Dlaczego papa zaczął płakać? – zapytał Nathan. – Nigdy dotąd nie widziałem, żeby płakał. Kiedy on płacze, ja... ja się boję.

Pochyliła się, kładąc chłopcu rękę na ramionach.

– Sądzę – wyjaśniła – że twój papa wspomina aspiranta Everetta, a może także i innych członków załogi, których podobnie jak aspiranta nie ma wśród żywych.

Chłopiec kiwnął głową, lecz jego spojrzenie było wciąż pełne niepokoju. Przełknął ślinę i oparł się o Mary.

– Pani Pritchert... – powiedział – ...czasami ...kiedy myśli, że śpimy... także płacze.

– Pani Pritchert tęskni za mężem, Nathanie.

– A czy ty... czy ty myślisz, że papa płakał, kiedy mnie znalazł, a potem przekonał się, że mama nie żyje?

– Sądzę, że tak – odrzekła i przytuliła go do siebie, po czym wypuściła go z objęć i wyprostowała się. – Wyobrażam też sobie, jaką ulgę poczuł, kiedy przekonał się, że żyjesz.

Nathan kiwnął głową, stając się na powrót spokojnym, rozsądnym dzieckiem, jakie znała od wczoraj.

– Wiesz, ciociu Mary, chciałbym zjeść trochę tego puddingu – powiedział zaraz rzeczowo. – A boję się, że papa nic mi nie zostawi.

– Chodźmy więc szybko do środka – odrzekła Mary ze śmiechem.

Okazało się, że kuzyn Ross nie tknął puddingu, tylko siedział bez ruchu, wpatrując się niewidzącymi oczyma w widoczne na ścianie stare, przydymione, przedstawiające psa malowidło i pozwalając, by lzy wysychały mu na policzkach.

Mary patrzyła na niego przez chwilę, zastanawiając się, co by w takiej sytuacji zrobił jej ojciec, duchowny Kościoła szkockiego. Doszła do wniosku, że zacytowałby Psalm trzydziesty siódmy, zaczynający się od słów *Nie unoś się gniewem...*

Kiedy jednak na nią spojrział, przyszło jej do głowy, co zrobiłaby matka, i poszła za jej przykładem – bez słowa ucałowała kuzyna Rossa w czubek głowy i usiadła obok niego.

Następnie nałożyła puddingu siedzącemu po przeciwnej stronie stołu Nathanowi i sobie.

– Nie pozwolilibyśmy ci, kuzynie, zjeść wszystkiego – odezwała się po pierwszym kęsie. – I powiem ci, że moim zdaniem aspirant Everett się nie mylił. Ten pudding jest pyszny... Jak on miał na imię?

– Dale – odrzekł Ross i zabrał się do jedzenia. – Jego ojciec był pastorem w tutejszej parafii, mieliśmy podobne korzenie.

– Mojego także, bo mój ojciec był duchownym Kościoła szkockiego.

Siedzieli, jedli i prowadzili normalną, najzwyczajszą rozmowę, i czuli się coraz swobodniej w swoim towarzystwie.

– Co sądzisz o tym puddingu, synu? – zwrócił się w pewnej chwili Ross do Nathana.

– Papo – odrzekł mu na to chłopiec. – Ten pudding jest taki pyszny, że powinniśmy każdy posiłek zaczynać od niego.

– Ależ, mój chłopcze, gdybyśmy tak robili, pani Pritchert za karę spaliłaby moją drewnianą nogę! – oznajmił Ross, a widząc, że Mary ledwie powstrzymuje śmiech, dodał: – Śmieję się, moja droga, bo śmiech to zdrowie.

Jako danie główne jedli gulasz z baraniny, po którym na stole pojawiły kolejne porcje puddingu oraz razowiec z dżemem pomarańczowym. W sumie był to posiłek, który zaaprobowalaby pani Pritchert i oszczędziłaby nogę kapitana. Tak w każdym razie sądził Nathan, który zapytał, wracając do tematu.

– Papo, czy sądzisz, że twoja drewniana noga naprawdę by się spaliła?

– Ależ nie! Nasikałbym na nią, zanimby to się stało – zabrzmiała całkiem poważna odpowiedź.

– Przestańcie! Przestańcie natychmiast! – zawołała Mary, zaśmiewając się w głos.

– Czy ty nie masz braci, kuzynko? – zapytał kapitan.

– Ani jednego. A ty, kuzynie, sądzisz, że mając braci, musiałabym wysłuchiwać tego rodzaju dowcipów?

– Oczywiście – zapewnił Ross i poprosił sprzątającego talerze właściciela gospody, żeby przyniósł im jeszcze porcję puddingu.

Gdy wrócił, Mary zapytała go, czy pastor nazwiskiem Everett wciąż jeszcze pełni posługę w tutejszej parafii. Gdy się okazało, że tak i że mieszka w dużym domu z czerwonymi okiennicami, wymogła na protestującym przeciwko temu pomysłowi kapitanie, że udadzą się wszyscy troje z wizytą do pastora i jego żony.

Wyruszyli więc w drogę zaraz po tym, jak kapitan uregulował rachunek za ich obfity lunch. Nie zmęczyli się zbyt, choć padał śnieg, bo bardzo szybko zobaczyli kościół i duży dom z czerwonymi okiennicami. Kapitan na ten widok przystanął i wziął głęboki oddech, a Mary wsunęła rękę pod jego ramię. Pchnęła go przy tym lekko do przodu, a on tę rękę przycisnął do siebie, tak jakby szukał jej wsparcia.

– Co będzie, jeżeli matka Dale’a Everetta zemdleje albo jego ojciec się na mnie zezłości? – zapytał przyciszonym głosem, tak żeby nie usłyszał go Nathan.

– Jak dawno temu to się wydarzyło? – odpowiedziała pytaniem Mary.

– Jeszcze przed Trafalgarem. Wydaje się, że to bardzo dawno. Dale miałby teraz dwadzieścia trzy lata, gdyby...

Kapitan nie dokończył zdania, a zamiast tego dodał głośniejszym, stanowczym tonem:

– Pobiegnij przodem, synu, i zapukaj do drzwi tego domu.

Nathan ruszył biegiem, stawiając pewnie kroki na pokrytej śniegiem ścieżce. Wyglądało na to, że pastor nie ma ani służącego, ani synów, którzy odgarnialiby śnieg.

– Co ja mam im powiedzieć? – zapytał jeszcze kapitan przyciszonym głosem.

Mary nie zdążyła mu nic odpowiedzieć, bo w tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich siwa, drobna kobieta, która uśmiechnęła się do Nathana. Jednak w następnej chwili, gdy spostrzegła marynarską pelerynę kapitana i jego wysoki kapitański kapelusz, uśmiech zniknął z jej twarzy.

Kapitan przystanął, delikatnie uwolnił ramię z uścisku Mary, zdjął z głowy kapelusz i uklonił się nisko.

– Czy mam przyjemność z panią Everett? – zapytał. – Jestem kapitan Rennie. I... sądząc... ufam... że państwo dostali mój list.

Kobieta zdumiona otworzyła szeroko oczy i chwyciła się za serce, a w następnej chwili zbiegła po zaśnieżonych stopniach prosto w objęcia kapitana. Mary odwróciła się, bo łzy napłynęły jej do oczu, i przygarnęła do siebie stojącego obok Nathana.

Tymczasem matka dawno zmarłego chłopca i kapitan Królewskiej Marynarki Wojennej stali objęci, pocieszając się wzajem bez słowa. Po chwili dołączył do nich starszy pan w stroju duchownego, który wyszedł z kościoła.

Gdy się wreszcie rozłączyli i gdy chłopiec, zagadnięty przez panią Everett o imię, odrzekł: „Jestem Nathan, a to mój papa i kuzynka Mary, a nie moja mama, choć ją bardzo lubię”, niespodziewani goście zostali zaproszeni na plebanię i poczęstowani herbatą z ciasteczkami.

Nathan nie zabrał się zaraz do ich pałaszowania, bo jego papa spokojnym głosem polecił mu poszukać szufli. Skutek tego był taki, że po chwili uszu czworga dorosłych dobiegły sprzed domu odgłosy odśnieżania.

– Jakie to miłe z pańskiej strony, panie kapitanie – zagadnęła pastorowa. – Nasz najmłodszy syn przebywa w szkołach, daleko od domu, a nasz sługa jest do tej pracy za stary.

– Chłopiec robi to z prawdziwą radością – odrzekł na to Ross. – Mieszka w Plymouth, gdzie rzadko widuje śnieg.

Pili drobnymi łykami herbatę, a gdy cisza się przedłużała, Mary zasugerowała, żeby Ross pokazał gospodarzom swoją listę.

Gdy pastorostwo już się jej przyjrzeni i zobaczyli na niej nazwisko swego syna, pastorowa zapytała:

– Właściwie... ta lista... co to jest takiego, panie kapitanie?

– Ta lista to zbiór życzeń i marzeń stęsknionych za domem ludzi, droga pani – wyjaśnił kapitan. – Krążyła ona z rąk do rąk w wielu mesach i każdy członek załogi na każdym z okrętów dopisywał do niej swoją ulubioną potrawę, podając też adres gospody, w której ją można zjeść. Albo też adres swego rodzinnego domu...

Po tych słowach kapitan odetchnął kilka razy głęboko i zebrawszy się w sobie, zadał bardzo ważne pytanie:

– Kiedy państwo otrzymali list ode mnie? Przekazałem go na fregatę płynącą do Portsmouth w 1803 roku, wkrótce po tym, jak wasz syn zmarł od gorączki niedaleko Otaheite.

– Otrzymaliśmy go w grudniu roku 1805 – odrzekł pastor, podczas gdy jego żona wzruszona milczała. – Czy mój syn dobrze służył królowi i ojczyźnie? – zapytał jeszcze z wielką powagą.

– Tak dobrze jak wszyscy, którymi przyszło mi dowodzić – zabrzmiała odpowiedź kapitana. – I miał wielkie zdolności matematyczne. Był najbystrzejszym z moich aspirantów.

Pani Everett westchnęła, spoglądając na śnieg za oknem.

– Był tak daleko od domu... – jęknęła.

– Jego domem była fregata „Waleczna” – rzekł jej na to Ross Rennie i ze wzruszenia przełknął ślinę. – A on był jednym z moich synów. Bolałem ogromnie nad jego śmiercią. I boleję do dziś.

Po tych słowach w pokoju ponownie zapadła cisza. Słyszać było tylko szuranie szufli, które świadczyło, że Nathan, pracując pilnie, zbliża się już do bramy.

– Czy pošle pan swego syna na morze, panie kapitanie? – przerwała milczenie pani Everett.

– Jeżeli taki będzie jego wybór... – odrzekł kapitan i wyjął z kieszeni mały notes.  
– O tu... – powiedział. – Tu jest data: 15 października roku 1803. A tu są współrzędne określające, gdzie państwa syn został pochowany w morzu. Czy na cmentarzu jest poświęcona mu tablica pamiątkowa?

Everettowie chwycili się za ręce.

– Oczywiście – potwierdzili unisono.

– Wryjcie więc te współrzędne w kamieniu. Dałbym wszystko za to, by wasz chłopak wrócił bezpiecznie do domu. Ale... nie miałem na to wpływu... Wszystkimi nami rządził przecież potwór... który, dzięki Bogu, jest teraz na Elbie – oznajmił Ross i zaraz dodał: – Proszę mi wybaczyć.

Po tych słowach wstał i wyszedł, a po chwili wszyscy troje zobaczyli przez okno, że bierze od Nathana szufłę i zaczyna odgarniać śnieg.

Tymczasem pastor wziął z biurka arkusz papieru i zanotował współrzędne.

– W pobliżu Otaheite – powiedział cicho, po czym oddał notes Mary. – To miejsce, Lavinio, którego nigdy nie zobaczymy.

Mary spojrzała na notes i przeszedł ją dreszcz, bo uświadomiła sobie, że trzyma w dłoni listę wszystkich zmarłych podkomendnych kapitana Renniego. Ich liczba była tak wielka i tak przygnębiająca swoim ogromem...

Czy przypadkiem kapitan, pomyślała, nie dlatego uparł się, by towarzyszyć mi do Yorku, że zapragnął trochę rozrywki? Chciałeś się, kapitanie, trochę zabawić, czy tak? – myślała dalej. – Bo jak można nosić ze sobą wszędzie taki notes? A poza tym... czy dobrze zrobiłam, namawiając cię na tę wizytę u pastorostwa Everettów?

– Brakuje nam Dale'a – wyrwały ją z zamyślenia słowa pani Everett. – Choć z czasem strata stała się mniej bolesna. No cóż, czas leczy rany – dodała jeszcze pastorowa i podeszła do okna. – Pamiętamy wszystkie dobre chwile z naszym synkiem. A teraz, dzięki kapitanowi, wiemy dokładnie, gdzie został pochowany. Kapitan zyskał naszą dozgonną wdzięczność.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jestem prawdziwym tchórzem, pomyślał Ross, gdy wraz z Nathanem skończyli odśnieżanie, a chłopiec z podziwem patrzył na ich dzieło. Nie chcę wracać do pastorostwa i nie wróciłbym do nich z pewnością, gdyby nie to, że w ich domu została Mary.

Następnie przyszło mu do głowy, że gdyby się z Nathanem teraz oddalili, porzucając ją, Mary by ich nie ścigała. Kontynuowałyby zapewne poszukiwanie tego idiotycznego keksu, a znalazłszy go, wróciła do Edynburga, do domu swych krewnych.

A więc nawiedziła go pokusa, by posłać Nathana na plebanię po pozostawione tam pelerynę i mały zeszytik, po czym uciec... gdy drzwi plebanii otworzyły się nagle i wyszła przez nie Mary. Patrząc, jak się do nich zbliża, Ross doznał uczucia takiej ulgi, że miał ochotę z wdzięczności paść na kolana. Mary tymczasem podeszła do niego – bez wahania i z nieco wojowniczym wyrazem twarzy. Wyglądało to tak, jakby się spodziewała sprzeciwu z jego strony. I nic dziwnego, bo z jej ust padło zaraz następujące oświadczenie:

– Kuzynie, państwo Everettowie zaprosili nas, byśmy u nich zanołowali, a ja przyjąłam ich zaproszenie.

Ross miał dość rozumu, by nie protestować, choć omal się nie roześmiał na myśl o tym, jak zdumieni byłiby wszyscy drżący przed nim ze strachu aspiranci i porucznicy, gdyby usłyszeli, że kobieta mówi ich kapitanowi, co ma robić. Kiwnął tylko głową, choć perspektywa spędzenia całego wieczoru z rodzicami Dale'a naprawdę go przerażała.

Mary, jakby to wyczuwając, dotknęła jego ramienia.

– Oni, kuzynie, patrzą na twoją wizytę jak na dar niebios – powiedziała.

– Naprawdę? Nie żartujesz sobie ze mnie, kuzynko?

– Nigdy bym sobie nie pozwoliła na żarty z ciebie, kuzynie – odrzekła i zaraz się uśmiechnęła. – To znaczy, nigdy nie żartowałabym w takiej sytuacji.

– Skoro tak, to zgadzam się zostać na noc. Jeżeli, kuzynko, na to nalegasz.

– Nalegam. Zdecydowanie nalegam – odpowiedziała i zaraz zwróciła się do Nathana, pytając go, czy lubi śpiewać i czy chce dziś wieczorem wraz z pastorem i dziećmi z parafii pokolędować.

– Dorośli także są zaproszeni... chociaż, nie wiem...

– Nie potrafisz śpiewać, kuzynko? – zapytał Ross.

– Potrafię. Ale... będzie... dużo chodzenia.

– Więc pójdiesz tylko tak daleko, jak zechcesz – zaczął się droczyć. – A jeżeli zmarzniesz, to żeby cię ogrzać, podpalimy moją nogę...

Żartował sobie, ale wciąż obawiał się wejść do środka. Mary najwyraźniej i to wyczuła, bo powiedziała, podając rękę jego synowi:

– Chodź, Nathanie. Wejdźmy do środka. Chociaż... jeszcze chwileczkę... proszę – dodała, poważniejąc nagle i wręczając mały zeszytik Rossowi.

Schował go do wewnętrznej kieszeni mundurowej kurtki, ujął ją pod rękę i wszyscy troje weszli do jasno oświetlonego domu.

Kolacja na plebanii ku zdziwieniu Rossa okazała się czystą przyjemnością. Ross uznał, że była to zasługa pani Everett, która za pomocą prostych pytań potrafiła go nakłonić, by zaczął opowiadać o życiu na morzu. Mówił więc, dziwiąc się równocześnie, dlaczego ten temat nie jest dla niej i jej męża bolesny. Ona tymczasem, domyśliwszy się, że nie ma śmiałości o to zapytać, oznajmiła:

– Dale pisał do nas cudowne listy, pełne rysunków i opowieści o życiu pod pokładem. Życie na okręcie okazało się dla niego pasjonujące, więc i my byliśmy go ciekawi. Niech pan się nie da prosić, panie kapitanie, i opowie nam więcej.

Kapitan nie dał się prosić i opowiadał dalej. Chwalił przy tym Dale'a, który wedle jego słów okazał się najzdolniejszym spośród aspirantów nawigatorem.

– Nigdy się nie zdarzyło, by przez jego wskazówki nasza fregata wylądowała na placu Świętego Piotra za głównym ołtarzem bazyliki albo gdzieś w Ohio, w Stanach Zjednoczonych – zażartował, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Wkrótce rozmowa zesłała na inne tematy, a Ross, doświadczając serdecznej życzliwości gospodarzy, poczuł, że przygniatający go ciężar odpowiedzialności maleje. Zrobiło mu się już całkiem przyjemnie, gdy Mary, pouczając łagodnie Nathana, jak ma poprawnie trzymać sztucce, posłała mu ponad głową chłopca szeroki uśmiech.

Nie miał racji, obawiając się, że rozmowa z Everettami będzie trudna. Jego kuzynka we właściwy sobie rzeczowy sposób przez cały czas ją podtrzymywała. Wypytywała gospodarzy o zainteresowania Dale'a i o ich najbardziej ulubione wspomnienia. Ross, słuchając ich odpowiedzi, uświadomił sobie, że rodzice jego ulubionego aspiranta bardzo pragnęli rozmowy o nim.

– Nawet po tylu latach ludzie obchodzą się z nami jak z jajkiem – zwierzył się pan Everett Mary. – Obawiają się, że nas zasmuca, choćby wymawiając jego imię. A my, gdy się o nim wcale nie mówi, czujemy się tak, jakby nigdy nie istniał. A to jest dla nas naprawdę bolesne.

– Jak ty to robisz, kuzynko? – szepnęła Ross do Mary, gdy pastor i jego żona poszli otworzyć drzwi całej mającej iść kolędować dziecięcej hałastrze.

Mary zarumieniła się, co on przyzwyczajony do męskiego, nigdy nierumieniącego się towarzystwa, uznał za czarujące.

– Nie zauważyłaś, kuzynie, jak pastorcej zabłyśły oczy, kiedy pochwaliłaś jej syna? Przecież wiesz, że każdy człowiek lubi, gdy się o nim mówi dobrze. Każdy chce być dla kogoś wyjątkowy.

– Ty także, kuzynko? – zapytał żartobliwie.

– Tak... Ja też bym tego chciała – odrzekła tak cicho, że ledwie ją usłyszał, zwłaszcza że w całym domu zapanował teraz wielki harmider.

Obecność dzieci utrudniała rozmowę, tym bardziej że cała chmara została wpuszczona do salonu. Mary omal się nie roześmiała, widząc, z jakim zachwytem wszyscy ci malcy patrzą na czerwonego teraz na twarzy kapitana. Ich nieokiełznana ciekawość i podziw świadczyły, jak rzadko w ten zakątek kraju zapuszczają się kapitanowie Królewskiej Marynarki Wojennej.

Ona także skorzystała z okazji, by przez chwilę podziwiać swego kuzyna. Był wysoki i postawny, mundur leżał na nim bardzo dobrze, ale twarz miał pooraną zmarszczkami. Ta twarz, w porównaniu z twarzami innych, dobrze odżywionych mężczyzn, była szczupła, jakby wyrzeźbiona przez morskie wiatry i wojenne przeżycia. Mary zaczęła się zastanawiać, co by człowieka takiego jak jej kuzyn mogło ucieszyć i uszczęśliwić.

Zdała sobie nagle sprawę, że właśnie zaczęła ją szczerze radować ta zawiniona przez niemądrą kuzynkę ekspedycja. Wyprawa po świąteczny keks stała się prawdziwą przygodą.

Tymczasem pastor, skrzyknąwszy swą gromadkę kolędników, przedstawił im Nathana. Gdy dzieci już się poznały i założyły płaszcze i szaliki, otworzył drzwi wejściowe i zaprosił do towarzystwa także Rossa i Mary.

Ross, który nie pamiętał, jak dawno spędzał okres Bożego Narodzenia na lądzie, chętnie się przyłączył, podobnie jak Mary, która po obfitym posiłku chciała zażyć ruchu.

Nocne powietrze było rześkie, a niebo skrzące się tysiącem gwiazd. Kiedy kapitan podał

jej ramię, Mary je przyjęła, choć z lekkim wahaniem. Onieśmiała ją bliskość, kiedy wokół panowały ciemności i nie było przy nich Nathana, który pobiegł naprzód, by z zapalem śpiewać razem z rówieśnikami. Kapitan tymczasem zdawał się zadowolony z tego, że został z nią sam na sam.

Po chwili przyspieszyli, przyłączyli się do wesołej gromady i odśpiewali wraz z nią kilka kolęd przed kolejnymi domami. Kapitan śpiewał z całej duszy i tak silnym głosem, że wszyscy patrzyli na niego zdumieni.

– Nie dziwcie się tak – zawołał. – Jak mógłbym porozumiewać się ze swoją załogą na morzu podczas wichury, mając słabszy głos?

Rozbawił tą uwagą całe towarzystwo, a najbardziej pastora, który wybuchnął głośnym, szczerym śmiechem. Później jednak, gdy rozśpiewana gromada szła dalej, kapitan stopniowo zwalniał kroku.

– Kuzynko Mary – powiedział w pewnej chwili – czy wiesz, że gdyby nie ty, poprzestałbym na zjedzeniu puddingu i nie odwiedziłbym pastorostwa?

– Nie wierzę w to, kuzynie. Sądzę, że zechciałbyś porozmawiać z rodzicami Dale’a.

Kapitan milczał, wyraźnie utykając. Kiedy to zauważyła, przystanęła i oznajmiła stanowczo:

– Wracamy na plebanię, mój panie.

– Zmęczyłaś się, kuzynko? – zażartował, ale nie zaprotestował. – Powiem ci, że półtorej nogi to tylko połowa problemu. Druga polega na tym, że jestem przyzwyczajony do długiego stania na pokładzie, ale nie do długich marszów. Te zostawiam armii Wellingtona.

Gdy plebania znalazła się już w zasięgu wzroku, kapitan przystanął i wzięwszy Mary pod rękę, skierował kroki do kościoła. Weszli do jego wnętrza, oświetlonego tylko jednym świecznikiem i wpadającym przez okna światłem księżyca w pełni. Mary poczuła zapach dekorujących wnętrze zielonych gałązek i pomyślała o ostatnim keksie. Mam nadzieję, powiedziała sobie, że pan Tavish Maxfield z Apollo Street w Yorku jeszcze go nie pokroił.

– Myślisz, kuzynko, o tym przeklętym keksie... – odezwał się kapitan Rennie, gdy już usiedli w ostatniej kościelnej ławce.

Jak to możliwe, pomyślała Mary, że on potrafi czytać w moich myślach?

– Muszę przyznać, że moje postanowienie, by zdobyć ten keks, stanowczo słabnie – powiedziała. Gdybym miała narzeczonego, nie wyrzuciłabym nawet najtańszego prezentu, który by mi sprawił.

– Ja coś czuję, że ta Dina, której nie znam, nie za bardzo kocha swego przyszłego męża, który także nie jest mi znany – zabrzmiały słowa kapitana.

– Moim zdaniem – odrzekła Mary – Dinie potrzebny jest ktoś bardziej energiczny. Ten pan Page będzie zapewne po obiedzie kiwał jej tylko głową znad gazety, a potem zasypiał. A jej zadaniem będzie go obudzić, kiedy przyjdzie pora, by położyć się do łóżka.

– Oho! To ty, kuzynko, tak sobie wyobrażasz obyczaje nowożeńców?

– Nie, głuptasie – zaprotestowała Mary, bynajmniej niezmiészana. – Tak sobie wyobrażam obyczaje pana Page’a.

– A jakiego męża chciałabyś dla siebie?

Jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej takie pytanie zdumiałoby ją swoją impertynencją. Teraz jednak, gdy go lepiej poznała, wiedziała, że jako człowiek szczerzy i bezpośredni, nie zadaje go zdawkowo i ot, tak sobie.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – odrzekła mu szczerze.

Nie uwierzył jej.

– No, no, panno Rennie – obruszył się. – Jesteś przecież śliczną szkocką dziewczyną!

– Dziękuję ci, kuzynie, za komplement – odpowiedziała z uśmiechem. – Być może jestem taka, jak mówisz, ale mieszkam u krewnych, którzy nie mają obowiązku wydać mnie za męż. Nigdy mi tego nie powiedzieli, ale taka jest prawda. Są oczywiście dla mnie dobrzy, ale nie są ludźmi, którzy lubią się wysilać. Zresztą pewnie ich pod tym względem przypominam.

Nie mówiła tego, by wzbudzić w nim litość, ale on zdawał się o tym wiedzieć. Z uśmiechem dotknął lekko jej dłoni.

– Czasami myślę – wyznał – że my, ludzie morza służący w marynarce, mamy w życiu najtrudniej.

– Bo to prawda – odrzekła spokojnie, na co on pokręcił głową.

– Obrywamy od życia z wielkich działań – odrzekł. – W zamieszaniu i zgiełku krwawych bitew... A ludzie tacy jak ty, kuzynko, doznają ciosów w ciszy. Założę się jednak, że te ciosy nie są wcale mniej bolesne. Pamiętając o twoim poruczniku MacDowellu, pragnę cię przeprosić za swoje impertynenckie pytanie.

Mary nie mogła się powstrzymać i ciężko westchnęła. Widok Nathana i innych dzieci, a także ich rodziców – cała ta podróż – uświadomił jej, że omija ją to, co jest w życiu najważniejsze.

W jej oczach pojawiły się łzy, na co nie mogła nic poradzić.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kapitan Rennie otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Jego peleryna otuliła ich oboje, dzięki czemu Mary poczuła się tak bezpieczna jak nigdy od śmierci rodziców. Odruchowo przytuliła się do kapitana, opierając głowę o jego ramię, ale w następnej chwili pomyślała, że stanowczo nie chce, by on się nad nią litował. Usiadła więc prosto, zamierzając mu o tym powiedzieć. Zanim jednak z jej ust padło choćby jedno słowo, kapitan ponownie przyciągnął ją do siebie i objął ciasniej ramieniem.

– No, no – odezwał się serdecznym tonem – ja wiem, kuzynko, że ty podobnie jak ja straciłaś w życiu wiele i że zawdzięczasz swoje straty temu straszliwemu francuskiemu konusowi. Za co ja będę tego swojego chlebobdawcę do końca życia nienawidził...

– Nie powinieneś, kuzynie, nazywać go swoim chlebobdawcą, bo ktoś mógłby to źle zrozumieć.

– I oskarżyć mnie o szpiegostwo? – roześmiał się kapitan tak głośno, że jego śmiech odbił się echem od murów pustego kościoła. – Ależ, kuzynko, panuje już pokój, a ja mam jeszcze cały miesiąc urlopu.

– I marnujesz czas przeze mnie, poszukując tego idiotycznego keksu. Doprawdy, kuzynie, czuję się z tego powodu winna.

– Niepotrzebnie, kuzynko, zupełnie niepotrzebnie – zapewnił ją, nie wypuszczając z objęć. – Zresztą, prawda jest taka, że boję się trochę spotkania z moją siostrą.

– Ale dlaczego? – zapytała zaskoczona.

– Ponieważ ona zamierza pokazać mi położoną niedaleko Dumfries przeznaczoną na sprzedaż posiadłość. Twierdzi, że z okien górnego piętra domu widać morze. Ale... dla mnie to za mało. Możesz mnie, kuzynko, uznać za głupca... ale czuję się źle, przebywając z dala od morza, na którym praktycznie spędziłem całe ostatnie cztery lata. Mój okręt jest moim domem. A moją posiadłością – ocean. Staram się – dodał z westchnieniem – jak najdłużej odwlekać ten zakup, na który siostra mnie tak usilnie namawia.

– A co z Nathanem, kuzynie? Przecież widzę, jak patrzysz na synka, i mogę się domyślić, że rozłąka z nim jest dla ciebie bardzo bolesna...

– To prawda – przyznał kapitan. – I na tym polega mój największy dylemat. Nie chcę się rozstawać z Nathanem, a równocześnie tęsknię za morzem. Ale, ale, kuzynko – zmienił nagle temat – nie odpowiedziałas na moje pytanie. Zapytam więc jeszcze raz: jakiego męża chciałabyś dla siebie?

– Powiedziałam ci, kuzynie, że nie zastanawiałam się nad tym.

– Więc zastanów się teraz – zaproponował, po czym zapadło między nimi milczenie.

– Wiem tylko jedno – powiedziała w końcu Mary. – Pragnę męża, który będzie mnie kochał aż do śmierci.

Usłyszawszy te słowa, kapitan wypuścił ją z objęć i zerwał się na równe nogi, a potem zaczął chodzić tam i z powrotem, dwanaście kroków w jedną stronę i dwanaście kroków w drugą. Mary patrzyła na niego zaskoczona. Domyśliła się jednak zaraz, że taki właśnie spacer odbywa on na swym okręcie, na pokładzie rufowym.

– Nie zamierzałam cię, kuzynie, wyprowadzić z równowagi – zapewniła, gdy zawracał po raz drugi. – Tym bardziej że dzisiaj już raz spowodowałam, że się zdenerwowałeś.

Gdy kapitan nic jej na to nie odpowiedział, wstała i wyszła po cichu z kościoła, kierując kroki na plebanię z mocnym postanowieniem, że rankiem wyruszy samotnie w dalszą drogę. Ten

biedak, pomyślała, chciał tutaj tylko skosztować puddingu, a ja zmusiłam go do odwiedzenia bolejących nad śmiercią syna rodziców. Powinam się tego wstydzić.

Znalazłszy się na plebanii, chciała od razu pójść na górę. Nie wiedziała jednak, który pokój dla niej przeznaczono. Gdy stała w holu, nie wiedząc, co robić, zjawiała się pani Everett.

– Co się stało, kochanie? – zapytała, widząc jej zmieszanie. – Widziałam, że oboje z kapitanem weszliście do kościoła. A teraz... wracasz stamtąd sama... Co cię dręczy? I co dręczy kapitana?

Mary postanowiła, że się nie rozplacze, i dzielnie powstrzymywała łzy. Zamiast tego, usiadłszy z pastorem na schodach, opowiedziała jej o poszukiwaniu keksu, o tym, jak spotkała kapitana, i o tym, jak on postanowił się nią w drodze do Yorku zaopiekować.

– Zmusiłam go do wizyty u państwa – stwierdziła w końcu. – Choć ta wizyta nie leżała w jego zamiarach. On... z pewnością boleje nad śmiercią waszego syna równie głęboko jak wy... A może nawet głębiej – dodała i zalała się w końcu łzami.

Pastorowa, otarłszy jej łzy fartuchem, pogładziła ją delikatnie po policzku.

– Nie płacz, kochanie. Nie zrobiłaś nic złego – powiedziała. – A poza tym jestem pewna, że kapitan bardzo cierpi z powodu śmierci każdego ze swoich podkomendnych, nie tylko śmierci naszego Dale’a. Powiem ci też, że my z mężem mamy czworo dzieci, z których troje ma już własne rodziny. A... czy brakuje nam Dale’a? Oczywiście. I będzie go nam zawsze brakowało, jednak kapitan Rennie odmalował słowami niezapomniany portret naszego syna. Dzięki kapitanowi będę zawsze miała przed oczami Dale’a, który, mając piętnaście lat i siedząc boso na pokładzie okrętu żeglującego po Pacyfiku, uczy się nawigacji. Ten portret to najmiłszy świąteczny prezent, który... tak, tak, kochanie... zawdzięczam tobie. Więc nie dręcz się i przypisz sobie tę zasługę.

Po tych słowach pastorowa poklepała Mary po kolanie i wstała, wyciągając do niej rękę.

– A teraz wstawaj, moja panno! I wraz z matkami małych kolędniczków pomóż mi przygotować poczęstunek.

Dwanaście kroków naprzód i dwanaście z powrotem. Ross, chodząc tak, nie zauważył, kiedy Mary wyszła z kościoła. Przystanął dopiero po chwili, zawstydzony tym, że przestraszył ją swoim zachowaniem. Zadał jej pytanie, a ona, w jakże niewinny sposób, udzieliła mu na nie odpowiedzi. Cała rzecz polegała na tym, że Inez powiedziała mu kiedyś coś bardzo podobnego... Tak, rankiem przed wyjściem jego okrętu w morze jego portugalska żona przytuliła się do niego, przycisnęła jego dłoń do swojego brzucha, w którym kopało już dziecko, i obiecała:

– Będę cię kochała aż do samej śmierci.

No i... dotrzymała obietnicy. Nikt jednak nie przewidział, że jej śmierć nastąpi tak szybko, zaledwie po czterech miesiącach podczas trzęsienia ziemi, ani że umrze, leżąc wśród ruin i osłaniając nowo narodzone dziecko własnym ciałem. Na kawałku dachówki napisała jeszcze własną krwią: „Będę cię zawsze kochała”.

Ross dowiedział się tego od służącej swej żony, dziewczyny, która ocalała z katastrofy i która zaprowadziła go do dobrych zakonnic opiekujących się malutkim, znalezionym w ruinach Nathanem.

Wszystkie te bolesne wspomnienia powróciły, gdy Ross usłyszał proste i szczere słowa Mary i dlatego zachował się w ten sposób. Teraz jednak, gdy zmęczony usiadł ponownie w kościelnej ławce, doszedł do wniosku, że winien jest kuzynce przeprosiny. Tak, przeprosi ją, postanowił w duchu, a na drugi dzień odwiezie ją do Yorku, gdzie odnalazłszy szczęśliwie keks, rozstaną się i każde pojedzie w swoją stronę. Ona do Edynburga, a on do Dumfries.

Z takim postanowieniem wyszedł z kościoła, chcąc natychmiast odszukać Mary. Nie udało mu się to jednak, bo otoczyli go wracający na plebanię kolędniczy. Zaraz też obok niego

znalazł się zachwycony Nathan, który zawołał: „Papo, tak świetnie się bawiłem! Co za szkoda, że w Plymouth nie kolędujemy!”, pobiegnął z powrotem do nowych kolegów. On natomiast przebył resztę drogi na plebanię w towarzystwie zadowolonego z tego dnia pastora.

Gdy znaleźli się w środku, nie miał szansy porozmawiać z Mary, gdyż wraz z innymi paniami zajęta była pojeniem dzieciarni gorącą czekoladą i karmieniem jej ciasteczkami i keksem.

Kiedy dzieci wraz z rodzicami rozeszły się do domów, Mary ponownie zniknęła, a pani Everett, pokazawszy mu pokoje, zasugerowała:

– Panie kapitanie, znajdzie pan pastora w gabinecie.

Kapitan zatem, choć wolałby zapukać do drzwi Mary i ją przeprosić, chcąc nie chcąc, udał się do pastora, który czekał już na niego z wagą wyśmienitego ponczu. Ów poncz i pytania pastora sprawiły, że kapitanowi rozwiązał się język. Zaczął snuć opowieści, a gdy opisał już pastorowi bitwę morską pod Trafalgarem, a także drobniejsze potyczki, oznajmił, że nie może już więcej pić.

– Dzięki, wasza wielbność, ale jutro muszę mieć świeżą głowę. Jedziemy przecież do Yorku.

Wyszli z gabinetu i ruszyli pod rękę ku schodom, u których szczytu pani Everett przejęła swego męża, gdy ten lekko się zachwiał.

– Bądźcie cicho! – szepnęła. – Wszyscy już śpią. Panie kapitanie... bo zapewne pan nie pamięta... Nathan jest w tym pokoju, Mary po przeciwnej stronie korytarza, a pan tuż obok Nathana.

– Tak jest, proszę pani – rzekł kapitan, z przyzwyczajenia rozstawiając szeroko nogi. – Pani mąż robi zabójczy poncz, ale ja... ja jestem na niego odporny. Nie upiłem się wcale...

Roześmiali się po tych słowach wszyscy troje, po czym pani Everett otworzyła drzwi do pokoju kapitana. Ten jednak pokręcił głową i zajął najpierw do syna. Przekonawszy się, że chłopiec słodko śpi, zamknął drzwi jego sypialni i powiedział dobranoc gospodarzom, którzy zaraz poszli do siebie.

Gdy wszedł do swojej sypialni, przekonał się, że są tu jego bagaże, po które pani Everett najwyraźniej posłała swego sługę do gospody w czasie, gdy on kolędował z dziećmi, pastorem i Mary.

Przeciągnął się i z ulgą zdjął mundurową kurtkę, a następnie z westchnieniem rozpiął spodnie, starając się usilnie utrzymać równowagę. Dam radę, powtarzał sobie w myślach, bo przecież nie jestem pijany. Poncz nie umywa się do rumu...

Zsunął spodnie na biodra, cofnął się w stronę łóżka, zamierzając na nim usiąść, i... wylądował na podłodze, nie tyle siniacząc sobie pośladki, ile raniąc swą dumę. To dlatego że jest tak ciemno i że jeszcze nie wiem, jak się poruszać w tym nieznanym mi pokoju, pomyślał i roześmiał się.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka zajrzała jego kuzynka. Kapitan popatrzył na nią, modląc się, by się już nie gniewała.

Zaraz przekonał się, że Bóg tej modlitwy wysłuchał.

– Kuzynie, potrzebna ci pomoc – powiedziała.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Oczywiście, kuzynko Mary. Podaj mi rękę, proszę.

Mary otuliła się ciaśniej szlafrokiem, a ponieważ w tym końcu korytarza, gdzie znajdowała się sypialnia pastorstwa, panowała zupełna cisza, weszła szybko do środka i zamknęła za sobą drzwi.

W środku czekał na nią kapitan, siedząc na podłodze. Na kominku płonął ogień, w którego świetle dobrze go widziała. Spodnie miał opuszczone do kolan i, patrząc na nią zmrużonymi oczami, wyciągał do niej rękę.

Był ciężki, ale udało jej się wydzwignąć go tak, że stanął na zdrowej nodze. W następnej jednak chwili oboje zachwiali się, stracili równowagę i padli na jego łóżko. Kapitan wybuchnął śmiechem, a Mary mu zawtórowała.

– Och, Mary – zabrzmiały słowa kapitana. – Ja nie jestem wstawiony. Tylko taki trochę... rozweselony.

– Oczywiście, kuzynie. Wierzę ci, choć nikt prócz mnie nie dałby temu wiary.

Słyszając te słowa, kapitan znowu wybuchnął śmiechem.

– Ćśśś – wyszeptwała Mary i zakryła mu usta dłonią.

A on, ku jej zdziwieniu, pocałował tę dłoń. A ona poczuła, co ją samą jeszcze bardziej zdziwiło, że jej się to podoba. Cofnęła jednak rękę, po czym wstała i ściągnęła mu spodnie, stwierdzając, że na szczęście ma pod nimi bieliznę. Przewiesiła następnie jego spodnie przez oparcie krzesła, wyglądając zagniecenia.

– Hm – powiedziała, patrząc na skórzane rzemyki, którymi jego drewniana noga była przytwierdzona do pasa w talii.

W następnej chwili spojrzała na twarz kapitana i zobaczyła, że zamknął oczy. Nie spał jednak, bo gdy po krótkim wahaniu rozpięła sprzączkę tego pasa, zrobił ruch biodrami, który ułatwił jej zdjęcie skórzanej uprząży i drewnianej nogi. Z jego piersi całkiem niechcący wyrwało się westchnienie ulgi.

Kikut owinięty był grubym materiałem.

– Czy chcesz, kuzynie, żebym zdjęła także i to? – zapytała.

– Jeżeli nie masz, kuzynko, nic przeciwko temu...

Mówił spokojnie, nie był pijany. Sądzę, pomyślała, że jesteś, biedaku, po prostu bardzo zmęczony. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy usunęła materiał i gdy zobaczyła zdrowe kolano i zdrowy kawałek nogi kończący się nagle fałdem skóry. Nawet w półmroku dostrzegła bliznę i ślady po szwie. Koniec kikuta był lekko zaczerwieniony. Zaciekawiona, dotknęła go i poczuła, że jest gorący.

– Masz delikatny dotyk, Mary. Delikatniejszy niż majtek, który pomaga mi na okręcie. Dziękuję ci... Teraz już sobie sam poradzę.

Kiwnęła głową i ruszyła ku drzwiom, lecz on chwycił ją za rękę.

– Nie odchodź jeszcze, kuzynko, bo chciałbym cię przeprosić. Proszę cię bardzo, zaczekaj.

Trochę zmieszana, Mary usiadła na krześle stojącym koło łóżka. Tymczasem kapitan zdjął koszulę i wsunął się pod kołdrę.

– Ooo, tak lepiej – powiedział cicho i zaraz ponownie ją zapewnił: – Nie jestem pijany. Uśmiechnęła się na to.

– Wierzę ci, kuzynie. Jesteś bardzo zmęczony.

– To prawda, kuzynko Mary, to prawda – potwierdził. – Przysuń się bliżej.

Wstała i przystawiła bliżej krzesło, a on leżąc teraz na boku, podparł się na łokciu.

– Czy mogę ci powiedzieć, dlaczego tam, w kaplicy, zachowałem się tak niegrzecznie? Mary kiwnęła głową, ciekawa, co ów zmęczony kuzyn ma do powiedzenia.

Podjął cicho i tonem pełnym emocji. Opowiedział jej o tym, jak, wróciwszy do Oporto, zastał dom rodziców swej żony w ruinach, o tym, jak po raz pierwszy ujrzał swego malutkiego synka, a także o tym, co Inez własną krwią napisała na kawałku dachówki, która ugodziła ją w brzuch.

Kiedy zobaczył, że Mary ma oczy pełne łez, wziął ją za rękę.

– Sądzę – dodał – że nie byłem przygotowany na twoje słowa o miłości trwającej aż do śmierci. Powiedz mi, kuzynko, czy wszystkie kobiety właśnie tego chcą od mężczyzn, których kochają?

– Nie jestem znawczynią, ale sądzą, że tak – odrzekła Mary, cofając delikatnie dłoń. – I mam nadzieję, że mężczyźni tego samego chcą od ukochanych kobiet.

– Jestem o tym przekonany – zapewnił i ułożył się w łóżku tak, jakby chciał już spać. – Ten dzień był trudny – wyznał. – Był jednym z wielu trudnych dni, jakie w życiu miałem. I... powiem ci jeszcze, kuzynko, że... być może... było w moim życiu takich trudnych dni zbyt wiele. – Zamknął oczy.

– A... powiedz mi jeszcze, kuzynie... zanim zaśniesz... jak przewiozłeś Nathana z Oporto do Anglii?

Kapitan otworzył oczy, ucieszony, że jego kuzynkę to zainteresowało.

– Zakonnice – odrzekł – dały mi kozę, którą zabrałem na pokład.

– A na okręcie wojennym wolno przewozić zwierzęta?

– Wolno. Jeżeli się jest kapitanem, moja droga – zaśmiał się cicho. – Albo też innym oficerem. Powinnaś zobaczyć, jaka menażeria potrafi się znajdować na wychodzącej w długi rejs fregacie: kozy, krowy, kury. Nasz rejs był jednak krótki, bo płynęliśmy z Portugalii do Anglii.

– A czy ktoś miał coś przeciwko temu, że przewoziliście niemowlę?

Kapitan pokręcił głową.

– Nie, bo przecież byłem kapitanem, czyli pierwszym po Bogu na pokładzie. Nathan sypiał słodko w mojej koi. A kiedy płakał, przewiązywałem go sobie do piersi pod mundurową kurtkę i spacerowałem z nim po pokładzie...

– Zatem byliście ze sobą związani... – zaśartowała.

– Tak, dziewczyno, dosłownie i w przenośni. I powiem ci coś: siadywałem nieraz w mesach na różnych okrętach pływających po wszystkich morzach świata i rozmawiałem o domu i rodzinie z moimi kamratami. I wszyscy oni narzekali... choć „żałowali” jest tutaj lepszym słowem... A więc wszyscy żalowali, że marynarze rzadko tak naprawdę poznają swoje dzieci żyjące na lądzie. Często się bowiem zdarza, że człowiek morza, spłodziwszy potomka, widzi go dopiero po latach. Taka jest cena, którą płacimy za nasze marynarskie życie...

– Ale ty, kuzynie, znasz dobrze Nathana i jesteś z nim naprawdę zaprzyjaźniony...

– Pracujemy nad naszą przyjaźnią, którą zawarliśmy bardzo wcześniej, płynąc z Oporto do Plymouth. Korespondujemy regularnie, choć listy nieraz idą miesiącami. I powiem ci jeszcze, kuzynko, że to właśnie ze względu na tę przyjaźń zgodziłem się jechać z moim małym dylizanssem. Kiedy się siedzi razem podczas długiej podróży, można się doskonale poznać na nowo... To trudne życie, kuzynko Mary – dodał jeszcze kapitan. – Ale cóż, to jest moje życie... Nie znam żadnego innego.

Mary kiwnęła głową i po chwili wahania położyła rękę na piersi swemu kuzynowi.

– Zrobiłeś dziś, kuzynie, wiele dobrego – powiedziała. – Ale... jak na jeden dzień dosyć.

A poza tym nalegam, żebyś jutro zawiózł mnie do najbliższej stacji dyliżansów. Stamtąd pojedę do Yorku, a ty z Nathanem do Dumfries, by spędzić tam święta. Tak będzie najlepiej. Tylko okradam cię z tak cennego czasu twojego urlopu.

Kapitan kiwnął na to głową, co sprawiło, że poczuła się równocześnie zadowolona i zawiedziona. Poprawiła się na krzesło i odetchnęła głęboko, by się uspokoić. Znała z przeszłości smak rozczarowania i wiedziała, że również tym razem z rozczarowaniem się pogodzi. Kapitan również.

Gdy już się uspokoiła, wstała z krzesła i wyszła po cichu z pokoju, zamierzając udać się do siebie. Przedtem zajrzała jeszcze do Nathana, czując, że pęka jej serce na myśl o rozstaniu z malcem. Dziwiła się z tego powodu sama sobie, sądząc, że tylko w tanich powieściach ludzie tak prędko przywiązują się do siebie. Zaraz też postanowiła, że po powrocie do Edynburga nie dopuści już nigdy, by pani Morison czy ktokolwiek inny wysłał ją ponownie w świat na poszukiwanie przygody.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zdjęła szlafrok i wsunęła się pod kołdrę z ciężkim westchnieniem. Już zasypiała, gdy drzwi jej pokoju się otworzyły i ktoś bez pukania wszedł do środka. Usiadła w łóżku, pragnąc z całego serca, by był to kapitan Rennie.

Jej pragnienie spełniło się. Kapitan wszedł, wspierając się na lasce, zbliżył się do jej łóżka i, nie prosząc o pozwolenie, usiadł na nim. Odsunęła się nieco, by było mu wygodniej.

– Trzymam w nocy przy sobie tę laskę na wypadek, gdyby mi się zachciało pójść tam, gdzie król chodzi piechotą – wyjaśnił bez żenady, po czym zapytał: – Czy masz, kuzynko, coś przeciwko temu?

Położył się obok niej, a ona nie zaprotestowała.

– Posłuchaj, kuzynko – mówił dalej. – Leżałem w łóżku tam, po przeciwnej stronie korytarza, i przyszło mi do głowy, że bardzo jestem zmęczony sypianiem w samotności.

– Mówiłam ci, kuzynie, że jesteś zmęczony – odrzekła mu na to.

– I wiesz... – kontynuował, nie zwracając uwagi na jej słowa – ...nie odważyłbym się tu przyjść, gdybym nie usłyszał, że zajrzałaś do Nathana. Unieś głowę.

Usłuchała. I przemknęło jej przez myśl, że on w tak naturalny sposób jej rozkazuje, bo jest kapitanem, za którym ludzie są gotowi iść nawet na śmierć. Tymczasem wsunął jej ramię pod głowę, pomógł ułożyć się wygodniej i mówił dalej:

– Lubię kobiety. Jednak Napoleon wszelkie kontakty z nimi prawie mi uniemożliwił. I... powiem ci, kuzynko, że czasami takie zwykłe leżenie z kimś w łóżku jest po prostu niebiańska rozkoszą. Wiem, że to, co teraz robię, to z mojej strony wielka bezczelność. I nie spodziewam się, że mnie zrozumiesz... Ale zapewniam cię... to naprawdę niebiańska rozkosz.

– Mnie też się to podoba – wyszeptala i wydało jej się, że on pachnie morską wodą.

Czy to moja wyobraźnia sprawia, że czuję ten zapach? – zastanowiła się. Mama mówiła mi nieraz, że mam bujną wyobraźnię...

Cokolwiek to było, poczuła, że zamykają jej się oczy. Ten dzień był trudny także i dla niej, jednak teraz, tuż przed snem, kończył się tak rozkosznie, tak słodko...

– Obiecuję, że nie zabawię tu długo – odezwał się kapitan. – Wyobraź sobie, kuzynko, co by sobie pomyśleli państwo Everettowie...

Dziwne, ale pastor i jego żona nie przyszli jej na myśl od chwili, gdy weszła do jego pokoju, by mu pomóc. Ciotka Martha byłaby tym zszokowana, jednak była daleko, gdzieś za szkocko-angielską granicą.

Kapitan mówił dalej:

– Najgorzej jest... w chwilach poprzedzających zaśnięcie. Przewracam się wtedy z boku na bok w koi i myślę... Tak, kuzynko, rozmyślam nad każdą bitwą, zastanawiam się nad każdą

salwą, przypominam sobie każdą błędną decyzję...

– Och, nie myśl o tym, biedaku – przerwała mu, przytulając się do niego.

– Nie mogę o tym nie myśleć. Przypominam sobie ludzi, którzy... gdyby nie moja decyzja... być może... pozostałoby przy życiu. Więc myślę i myślę, dopóki się śmiertelnie nie zmęcę. A ty, kuzynko, o czym myślisz przed snem?

Nie chciała mu o tym powiedzieć, bo jej dylematy były przecież takie błahe; takie nieważne w porównaniu z jego wojennymi przeżyciami...

Przygarnął ją do siebie i ponaglił:

– No, kuzynko, mówże.

– Ja... – zaczęła w końcu – ...ja zastanawiam się nieraz nad swoimi niespełnionymi nadziejami. Albo, po szczególnie trudnym dniu, gdy Dina albo ciotka zależą mi za skórę, myślę sobie, że są naprawdę nieznośne... Zwykle jednak staram się sobie uświadomić, co mnie spotkało tego dnia dobrego, i zamykam oczy.

Była to prawda. Choć Dina i ciotka bywały nieznośne, Mary dobrze wiedziała, że niewiele kobiet będących w jej sytuacji wiedzie tak wygodne życie jak ona.

Kapitan milczał przez dłuższą chwilę, a ona, czując, że nie śpi, zastanowiła się mimo woli, czy on kiedykolwiek chrapie.

– Przyszedłem tu do ciebie, kuzynko – odezwał się wreszcie – dlatego że za nic nie chcę do dzisiejszego dnia wracać myślami. A takie złe myśli, a także złe sny można odgonić, leżąc obok pięknej kobiety. Przekonałem się o tym, kiedy zakochałem się w Inez, a ty, kuzynko, jesteś kobietą równie piękną jak ona. Więc... przyszedłem... Ale za jakąś godzinę sobie pójdę i zasnę, zawiązując spokojny sen tobie. Więc wybac mi tę moją impertyncję.

– Zamknij, kuzynie, oczy – odpowiedziała po prostu Mary.

– Rozkaz, proszę pani. Już się robi – zażartował. – Ale najpierw... muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Otóż mam... a raczej miałem, jeszcze jedną listę.

– Aż boję się zapytać jaką!

– Powstała ona wiele lat temu, kiedy byłem chyba jeszcze porucznikiem i tak jak każdy z moich druhów sporządziłem listę cech, jakich pragnę u swojej przyszłej żony.

– I każdy z was to zrobił? Wszyscy w mesie?

– Tak, kuzynko. Teraz na tę myśl się rumienię, ale każdy z nas miał swoją listę.

– Tak...? – zapytała ze śmiechem.

– Moim ideałem była wysoka, smukła kobieta z blond lokami, mówiąca akcentem właściwym Francuzkom z Karaibów... śmiejąca się niskim śmiechem. Prawdziwa dama – dodał żartobliwie. – Całkiem, kuzynko, niepodobna do ciebie.

Mary zakryła sobie usta dłonią, żeby nie parsknąć niegodnym damy śmiechem.

– Niepodobna... – powtórzyła. – Zwłaszcza jeżeli chodzi o akcent. Bo ja przecież mówię akcentem szkockim!

– Zgubiłem gdzieś tę swoją listę – wyznał kapitan. – Ale gdy wojna się skończy, zacznę szukać swego ideału.

A gdy już ją znajdziesz, stanie się najszcześniejszą kobietą na świecie, pomyślała Mary. Ciekawa jestem, czy wszyscy mężczyźni są tacy głupi...

– I jeszcze jedno, kuzynko – odezwał się znów kapitan. – Zanim tu przyszedłem, zerknąłem na znaną ci listę potraw, którą wożę ze sobą, i przekonałem się, że znajdujemy się zaledwie o dzień drogi od Owenshine, gdzie Pod Płaczącą Wierzbą można zjeść pyszny razowiec ze smakowitą galaretką z pigwy. Piszesz się na to?

– Jedynie pod warunkiem że autor wpisu jest wśród żywych – odrzekła, prawie już zasypiając.

– Jest. Zdecydowanie. Miałem od niego wiadomość zaledwie przed rokiem. Pisał stylem właściwym sobie, nader napuszczonym, że zakończywszy służbę w marynarce, kupił gospodę Pod Płaczącą Wierzbą.

– Ale... razowiec i galaretka z pigwy... to takie pospolite – odpowiedziała sennym głosem, wtulając się w jego ramię.

Zamknęła oczy i zrobiła to, przed czym każda matka ostrzegałaby swą córkę – zaufała marynarzowi.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kapitan Rennie dotrzymał słowa i wyniósł się po godzinie. Próbował to zrobić po cichu, ale upadła mu laska. Gdy na czworakach usiłował ją znaleźć w mroku sypialni, wyrwało mu się soczyste przekleństwo.

– O Boże! – jęknęła przebudzona.

– No, no, panno Rennie, powinnaś już spać i nie słyszeć, że komuś zdarza się zakląć – upomniał ją szeptem, na co odpowiedziała, śmiejąc się cicho:

– Jak mam tego nie słyszeć, skoro ty, kuzynie, klniesz tak głośno?

Gdy kapitan znalazł wreszcie swą laskę, wsparł się na niej i wpatrzył się groźnie w Mary, zaraz jednak jego mina przemieniła się w serdeczny uśmiech. Patrząc na niego w świetle księżycy sączącym się przez firankę, stwierdziła, że kuzyn, choć ma tylko jedną i trzy czwarte nogi, wygląda naprawdę uroczo i pociągająco, a cała ta przygoda podoba jej się coraz bardziej.

Kapitan Rennie wyszedł już z jej pokoju i wtedy usłyszała jeszcze jedno jego stłumione przekleństwo. Omal nie nadepnął bowiem na zbłąkanego na górnym piętrze kota.

Mary pomyślała, że to szczęście, że Everettowie śpią snem tak zdrowym, że tego nie słyszą. Wtuliła się w ciepłe zagłębienie w pościeli, pozostawione przez kuzyna, i odetchnęła jego zapachem.

Jeżeli coś takiego nie zdarzy mi się nigdy więcej, powiedziała sobie, zasypiając, to będę te chwile wspominała z przyjemnością.

Na drugi dzień rano Mary przyjęła z ulgą fakt, że Everettowie nic nie wspominają o dziwnych dźwiękach, które dawały się słyszeć w nocy. Stwierdziła także, że wyraz oczu pani Everett zdradza żal, że już wyjeżdżają.

Kapitan Rennie zachował się elegancko, dziękując gospodarzom za ich serdeczność i gościnę. Wymówił się od śniadania i z samego rana poszedł wraz z Nathanem do gospody, by zawiadomić o dzisiejszym wyjeździe. Pani Everett, popijając herbatę i stojąc w kuchennym oknie, odprowadzała ich wzrokiem. Jej mąż, po śniadaniu, poszedł już do swego gabinetu, były więc w kuchni same.

– Domyślam się, że oni obaj z trudem znoszą rozłąkę – powiedziała do Mary.

Ona także podeszła do okna i zaczęła obserwować ojca z synem. Jeszcze nie wyjechali ze Skowcroft, a już pragnęła, żeby York znajdował się jak najdalej. Teraz, stojąc obok pastorewej, opowiedziała jej o rozpaczliwie smutnej podróży kapitana z Oporto do Plymouth, z malutkim Nathanem przy piersi.

– Dzięki takim ludziom jak on i mój syn – powiedziała pastorewa, prostując się dumnie – my tutaj, na lądzie, możemy wieść spokojne, bezpieczne życie...

Kareta pocztowa zajechała na podjazd stanowczo zbyt szybko. Tak przynajmniej czuła Mary w chwili, gdy foryś, ukłoniwszy się, wziął jej bagaż i otworzył drzwiczki.

Kapitan Rennie i Nathan weszli tymczasem na plebanię, żeby się pożegnać.

– Państwa gościnność i życzliwość dla nas była wprost niezrównana – powiedział kapitan szczerze.

– Wróćcie zatem szybko i odwiedźcie nas ponownie – zapraszał pastor Everett.

– Zobaczymy – odrzekł kapitan, ale w jego głosie, choć brzmiącym serdecznie, nie było pewności.

Włożył swój wysoki kapitański kapelusz i skłonił się jeszcze raz obojgu gospodarzom. Nathan tymczasem pozwolił pani Everett się objąć i uśmiechnął się, gdy pocałowała go w czubek

głowy. Zaraz potem wraz z ojcem wsiadł do karety.

– Sądzę, że kapitan tu nie wróci – powiedziała Mary, obejmując na pożegnanie pastorową.

– Ja także tak sądzą – odrzekła pani Everett i dotknęła czołem czoła Mary. – Dziękuję, kochanie, za to, że namówiłaś go do tej wizyty. A... czy ty do nas wrócisz?

– To całkiem możliwe – powiedziała Mary. – Tak... to możliwe... zwłaszcza teraz, kiedy już nauczyłam się podróżować po Anglii – dodała ze śmiechem i ruszyła w stronę karety.

Pani Everett, idąc za nią, dotknęła jej ramienia.

– Może – szepnęła konspiracyjnie, gdy Mary obejrzała się – będziesz, kochanie, tak dobra, że wpłyniesz na swego kuzyna i sprawisz, by nie kłął tak na kota w środku nocy.

Mary zaśmiała się zaskoczona i zaraz, zrozumiawszy podtekst tej uwagi, zarumieniła się po korzonki włosów.

– Co pani sobie o mnie teraz myśli... – odrzekła cicho.

– Myślę – stwierdziła pastorowa – że pasujecie do siebie. I mam nadzieję, że nie jesteście zbyt blisko spokrewnieni...

– Nie, nie. Ale... w Yorku nasze drogi się rozejdą.

A poza tym, pomyślała Mary, on ma tę drugą, a raczej trzecią listę. Nie powiedziała tego jednak głośno. Pani Everett posłała jej jeszcze całusa, po czym zamknęła frontowe drzwi. Mary przemknęło przez myśl, że wyraz jej twarzy świadczył o tym, że wcale nie uwierzyła jej słowom.

Zastanawiam się, czy sama w nie wierzę, dodała jeszcze w myślach, pozwalając kapitanowi, by pomógł jej wsiąść do karety. Usiadła naprzeciwko i nie patrząc na nich przez chwilę, układała fałdy spódnicy.

Gdy podniosła wzrok, popatrzyła srogo i oznajmiła:

– Ovenshine i nic więcej! Mam już dość przygód. Z Ovenshine pojedę zaraz do Yorku, a wy do Dumfries, gdzie powinniście być już dawno temu.

– Wiesz, papo, ja wiedziałem, że kuzynka Mary to powie – odezwał się na to Nathan, a kapitan kiwnął głową. – Czy sądzisz, że zmęczyło ją już nasze towarzystwo?

Mary, słysząc to, postarała się zachować powagę, a Ross pokręcił głową.

– Jak by to mogło być możliwe – zapytał – skoro obaj jesteście tacy czarujący?

Ojciec i syn spojrzeli na siebie porozumiewawczo, a Mary, widząc to, aż się wzruszyła.

– No, no – powiedziała. – Nie wierzę, że nie cenicie sobie świąt w gronie rodziny.

– A czy ty, kuzynko, tak bardzo się palisz do powrotu do Edynburga? – zapytał kapitan.

Czy palę się do tego? – zadała sobie w myśli pytanie i przypomniała sobie humory Diny, to, że wuj Samuel coraz więcej czasu spędza w swoim biurze, udając, że pracuje, bo nie chce wysłuchiwać paplaniny o nowych sukniach i przyjęciach, którą ciotka Martha bezustannie go w okresie świąt zamęcza, jak również to, że ona sama musi wciąż godzić członków rodziny i łagodzić rodzinne niesnaski. A to, powiedziała sobie na koniec, staje się coraz trudniejsze z każdym rokiem.

– To prawda, nie palę się do powrotu – odrzekła szczerze. – Ale cóż, taki już jest mój los – dodała zaraz.

– Twój los, kuzynko? Dlaczego?

– Bo kobiecie nie wypada jeździć po kraju od gospody do gospody. Nawet jeśli chce w tych gospodach skosztować tylko razowca albo galaretki z pigwy.

– Ależ wypada jej, wypada – powiedział na to kapitan ze śmiechem – jeżeli podróżuje w towarzystwie szacownych dżentelmenów. Takich, jacy znajdują się tutaj, w tej karecie.

– Mimo to, kuzynie – uśmiechnęła się szczerze – wiesz dobrze, że każde z nas ma inny cel podróży...

Kiwnął jej na to głową, popatrzył na nią przez chwilę, po czym otworzył książkę, którą miał ze sobą. Zrozumiawszy aluzję, Mary zajrzała do swojej torebki i nie znalazła w niej nic ciekawszego niż ręczna robótka. W następnej chwili zorientowała się, że Nathan zasnął z głową opartą o udo kapitana.

– Powiedział mi, że nie spał dobrze tej nocy – stwierdził kapitan, odkładając książkę i kładąc nogi chłopca na siedzeniu. – Obawiał się, że ty, kuzynko, nie pojedziesz dalej z nami. Przyznaję, że i ja się tego obawiałem.

– Niepotrzebnie – odparła Mary – wygląda na to, że razowiec i galaretki z pigwy są dla mnie zbyt wielką pokusą.

Z tymi słowami schowała robótkę i zapytała:

– A jak to było, kuzynie, gdy przywiozłeś Nathana do Plymouth?

– Zeszliśmy na krótko na ląd, a gdy wraz z Benem Pritchertem zapukaliśmy do drzwi jego domu, otworzyła nam Maudie. Wtedy podałem jej mojego syna, a ona, otwarcie ramiona, przygarnęła go do piersi – opowiedział kapitan ze łzami w oczach.

– Trudno ci było się z nim rozstać?

– Nawet nie wiesz, kuzynko, jak bardzo!

Patrzyła na kapitana z takim współczuciem i serdecznością, że zapragnął jej powiedzieć więcej.

– Było to na początku roku tysiąc osiemset czwartego – kontynuował. – Straciłem nogę pod Trafalgarem w roku tysiąc osiemset piątym, a Ben Pritchert, mój oficer nawigacyjny, zginął, ratując mi życie, rok później. I pomyśleć, że stało się to nie podczas jakiejś wielkiej morskiej bitwy, tylko podczas niewartej życia nawet najskromniejszego majtka potyczki... – dodał, starając się ukryć wzruszenie i nie dopuścić do tego, żeby kuzynka wzięła go za mięczaka.

– No, ale – odezwała się – ty, kuzynie, starałeś się potem zaopiekować wdową. Robieś w tym celu, co tylko mogeś.

– Tak, kuzynko. To prawda. Tym bardziej że po tylu latach wojowania uzbierałem niezłą fortunę. Kupiłem Maudie Pritchert piękny dom, położony z dala od doków, i płacę jej sporą miesięczną sumkę za opiekę nad Nathanem. Tak... Nie mogę tylko zwrócić jej męża.

Po tych słowach kapitan poczuł nagle, że karetka stała się dla niego za ciasna albo... Mary siedziała za blisko. Zastukał głośno w ściankę, powodując, że foryś się zatrzymał.

– Zaraz wracam – powiedział kapitan cicho i wysiadł, po czym, walcząc z wiatrem, poszedł w stronę niewielkiego zagajnika rosnącego w pobliżu drogi.

Poruszał się ostrożnie, bo jego drewniana noga grzęzła w śniegu. Usłyszał trzaśnięcie drzwiczek karety i poczuł, że się czerwieni na myśl, że to Mary spieszy mu z pomocą.

– Papo, miałeś dobry pomysł.

Kapitan uśmiechnął się, obejrzał i zamiast Mary zobaczył swego syna brnącego w śniegu po kolana. Gdy już sobie ulżyli, kapitan, zapinając spodnie całkiem odprężony, roześmiał się głośno.

– Ja też czuję się już lepiej – wyznał Nathan. – Mary powiedziała, że tak będzie.

Kiedy trzymając się za ręce, wrócili do karety, zaraz ruszyli w dalszą drogę. Kapitan, myśląc, jak wspaniałym towarzystwem, zarówno nocą, jak i za dnia, jest Mary, pobłogosławił w duchu nieznaną sobie panią Morison za to, że wysłała tę jego kuzynkę na poszukiwanie przygody.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Razowiec i galaretka z pigwy Pod Płaczącą Wierzbą, przemianowaną na Krwawą Jatkę przez nowego właściciela, okazały się wyśmienite. Natomiast co do nowego właściciela, to Ralph Clarke – który opuścił Królewską Marynarkę Wojenną po bitwie pod Trafalgarem, wzbogaciwszy się kosztem załogi okrętu – dawniej, służąc jeszcze na fregacie, okazywał się podczas bitew morskich nieodmiennie tchórzem.

Tak przynajmniej powiedział Ross w chwili, gdy na drugi dzień po południu zajechali na podwórze gospody.

– Skoro to taki człowiek, to nie chcę się tu zatrzymywać – oznajmiła. – Bo przecież... nie warto narażać się na kontakt z kimś takim dla zwykłego razowca i galaretki.

Wkrótce okazało się, że miała rację, lecz kapitan nie zechciał wziąć jej słów pod uwagę.

– Ovenshine i razowiec z galaretką figurują na mojej liście – przypomniał jej, świadomy, że zachowuje się jak uparte dziecko.

– Skoro tak... – zgodziła się.

Jeżeli Ralph Clarke, były główny steward, zdziwił się na widok wysiadającego przed gospodą z karety swego dawnego kapitana, nie pokazał tego po sobie. A uśmiech, jakim kapitan powitał – choć był oczywiście uśmiechem liczącego na zarobek właściciela gospody – zdawał się zapraszający i szczery. Mimo to Rossa, niczym morskie ptaki martwego wieloryba, opadły jakieś złe przeczucia. Miał przemożną ochotę przyciągnąć Mary do siebie opiekuńczym gestem, jednak powstrzymał się od tego.

Przedstawił ją też zaraz jako Mary Rennie, nie wspominając, że jest jego kuzynką. A ona, nie dodając żadnego objaśnienia, macierzyńskim gestem położyła ręce na ramionach stojącego przed nią Nathana, a potem zsunęła je na jego pierś i przytuliła chłopca do siebie. Ten prosty gest sprawił, że gdyby teraz Ross wyjaśnił, że nie są małżeństwem, tylko kuzynami, Ralph Clarke by w to nie uwierzył.

Gdy Ross poprosił o prywatny salonik z przylegającymi do niego dwiema sypialniami, a następnie o razowiec i galaretkę z pigwy, jego były główny steward zaproponował mu zamiast tego wyśmienite pieczone gołąbki.

Ross pokazał mu listę.

– Pamiętacie to, stewartzie? – powiedział. – Południowy Atlantyk podczas ciszy morskiej.

Profesjonalny uśmiech Clarke'a stał się naprawdę szczery. Oczy mu zabłyśły.

– Byliśmy wtedy wszyscy bardzo samotni – odrzekł, wskazując jadalnię ruchem głowy. – Podam to, o co pan prosi, panie kapitanie. Proszę zająć miejsca i się rozgościć.

Tak więc, jako się rzekło, razowiec i galaretka z pigwy okazały się wyśmienite. Mary – rozkoszując się ich smakiem – stwierdziła, że nie próbowała lepszych nigdy w życiu. Zajadała więc z zapalem, podczas gdy kapitan i jego główny steward zaczęli snuć wspomnienia. Odprężyli się obaj, a ich komitywie sprzyjał fakt, że na stół wjechał gorący grog z rumem. Mary pokręciła na widok tego mocnego trunku głową i poprosiła o herbatę. Nathan tymczasem z serwetą pod szyją spałaszował potężną porcję cynaderek zapiekanych w cieście i dodatkową porcję razowego chleba. Zaraz potem oczy zaczęły mu się kleić i oparł się o siedzącą obok Mary. Spojrzała na rozprawiających przy grogu mężczyzn i zauważyła, że steward pije niewiele, dolewa natomiast hojną ręką kapitanowi.

– Ross – powiedziała zła – idę położyć Nathana do łóżka. – Nie, nie, już dosyć – dodała

zaraz stanowczo, zwracając się do Ralpa Clarke'a, który strzelił palcami na barmankę. – Chyba że pan należy sobie zamiast pić kapitana. Czyżby próbował pan go spić, bo ma pan jakieś niecne plany?

– Daj spokój, Mary – usiłował ją zmiękczyć kapitan. – Pan Clarke i ja mieliśmy swoje małe nieporozumienia, ale przecież wojna się skończyła...

Mary już miała na końcu języka jakieś ostrzejsze słowo, jednak zmiękła. Ralph Clarke spojrział na nią wrogo. Wytrzymała jego wzrok, patrząc mu prosto w oczy, a potem wraz z Nathanem skierowała się ku drzwiom jadalni.

Przekraczając już próg, usłyszała głośny śmiech za plecami. Gdy się obejrzała, zobaczyła, że kapitan Rennie stoi, podnosząc w górę szklankę grogu.

– Wznoszę toast za Napoleona Bonapartego, który od ponad dwudziestu lat jest moim chlebobawcą! – zawołał, a w jadalni na dźwięk tych jego słów zaległa nagle cisza.

Mary przez chwilę miała przemożną pokusę, żeby zawrócić i oprócz chłopca wprowadzić z jadalni także kapitana.

– Co się stało mojemu papie? – zapytał Nathan, nagle całkiem rozbudzony i przytomny. Jest pijany i zmęczony, ma dość wojny i opadają go zdecydowanie złe wspomnienia – pomyślała, nie mając pojęcia, co chłopcu odpowiedzieć. A on w następnej chwili wzruszył ją, oznajmiając:

– Ja robię się taki wesoły, kiedy kończy się szkoła, a zaczynają wakacje.

A ja, pomyślała Mary, jeszcze tylko przez jeden dzień będę zmuszona mierzyć się z takimi sytuacjami.

Wzięła Nathana za rękę i powiedziała głośno:

– Sądzę, Nathanie, że twój papa zasłużył na to, by się wakacji wreszcie doczekać. A teraz, mój panie, czas do łóżka.

Gdy znaleźli się w sypialni i gdy Nathan, przebrany w koszulę nocną, leżał już pod kołdrą, Mary przysiadła na moment na krawędzi łóżka. Pomyślała o Inez, o tej tak dawno zmarłej matce chłopca, która nigdy nie zaznała słodczy takiej chwili, a potem z bólem serca uświadomiła sobie, że za nic nie chce, żeby omijało ją to, co jest najważniejsze w życiu. Nie wiedziała, co czeka ją po tym, jak w Yorku odzyska keks. Wiedziała jednak, że nie chce po skończeniu swej misji wrócić do Edynburga, by tam wieść życie takie jak dotychczas. Była to myśl przynębiająca, bo przecież nie miała pojęcia, co zrobić, by swój los odmienić.

Uśpiwszy Nathana, poszła do swojej sypialni i już miała zacząć się rozbierać, gdy przyszło jej do głowy, że nie zaśnie, dopóki się nie przekonają, że kapitan Rennie śpi obok swego syna.

Zeszła więc do jadalni, w której wciąż było sporo gości, i rozejrzała się za kapitanem, lecz jego tu nie było.

– Jeżeli paniusia szuka swego wstawionego męża, to niech paniusia tam zajrzy – odezwał się jeden z farmerów, wskazując otwarte drzwi kuchni.

Zarumieniona, starając się nie zwracać uwagi na śmiech, który rozległ się teraz w jadalni, zrobiła tak, jak farmer radził. Zajrzała do kuchni i... uśmiech pojawił się na jej twarzy. Oto rozstawiwszy szeroko nogi, niczym na kołyszącym się pokładzie, kapitan Rennie stał przy kuchennym piecu i mieszał coś w garnku. Pan Clarke tymczasem, przysiadłszy na krawędzi stołu, obserwował go uważnie i z uśmiechem. Gdy jednak zobaczył Mary, odwrócił wzrok, a uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Co tu się dzieje?

Ross na dźwięk głosu Mary odwrócił się zaraz i z twarzą rozpromienioną, uklonił się głęboko.

– Pani – przemówił tonem uroczystym. – Oświadczam, że gotuję dla mego głównego stewarda owsiany marynarski pudding. Ponieważ i jemu, i mnie bardzo go brakuje.

– Owsiany pudding? – zapytała Mary, podchodząc do kuchennego pieca i zaglądając do garnka. – Ale przecież... to wygląda jak zwykła owsianka.

– Bo to jest owsianka. Na słodko – oznajmił Ross, po czym wsypał do garnka sporą ilość cukru pudru i zamieszał.

Obserwując jego twarz, poczerwieniałą od alkoholu, uświadomiła sobie, że jemu tak naprawdę nie jest dobrze tutaj, na lądzie, z dala od marynarskiego życia i jedzenia.

– A więc – powiedziała – na okręcie jada się pudding owsiany. Ile razy dziennie?

– Raz albo dwa razy – poinformował ją Ross, po czym dodał: – Przed bitwą kucharze na moich okrętach mieli zawsze obowiązek ugotować wielki gar takiego puddingu, a potem wygasić ogień. I jedli później tę owsiankę wszyscy, od najskromniejszego majtka po kapitana.

Po tych słowach Ross wziął mniejszą łyżkę, nabrał na nią swojej wyjątkowej owsianki i podał ją Mary.

– Skosztuj.

Posłuchała i przekonała się, że ten marynarski pudding smakuje jak zwykła śniadaniowa owsianka, tylko przesłodzona.

– Czasami zdarzało się, że po bitwie kucharz przez cały dzień nie rozpałał ognia i wtedy jedliśmy tylko tę owsiankę.

Kapitan spojrział na Ralpha Clarke'a i zniżył nieco głos.

– Pan Clarke, którego tu widzisz – oznajmił – zwykle zanim ugotował się pudding, chował się na najniższym pokładzie. Więc wątpię, by pamiętał smak tej potrawy.

– Przestań – zmitygowała go przyciszonym głosem Mary, kładąc mu rękę na ramieniu.

Wziął od niej łyżkę i znowu zajął się mieszaniem w garnku.

Mary, czując na plecach ciężkie spojrzenie Clarke'a, wzięła z półki trzy miski.

– Zjemy tylko trochę. A potem czas do łóżka, Ross – powiedziała, uświadamiając sobie nagle, że zachowuje się jak żona.

Doznała ulgi, gdy posłusznie kiwnął głową. Wsypał do garnka, wciąż mieszając, jeszcze sporą porcję cukru, a potem, nałożywszy owsianki do misek, dodał do każdej masła, które zaraz się roztopiło.

Jedli w milczeniu, a Mary po chwili kiwnęła z uznaniem głową.

– Nie dodajesz nigdy mleka ani śmietany? – zagadnęła, chcąc sprawić, by zelżało panujące w kuchni napięcie.

– Prawie nigdy. Smakuje ci, Mary?

Smakowało jej, mimo że przez całe życie jadła owsiankę na śniadanie.

Pan Clarke tymczasem siedział nad swoją miską z nachmurzoną miną. Mary postanowiła zatem zmienić nastrój i zapytała:

– A co jest następne na twojej liście?

Kapitan wyciągnął z kieszeni bardzo już pomięty arkusz papieru.

– To wygląda jak szyfr – zażartował. – Zobacz sama: Walmsey – marynarski gulasz wołowy. Pickering – biszkopty neapolitańskie. I moje ulubione: nóżki wieprzowe, w Shoreham. Och, Mary, jestem już zmęczony. Podasz mi rękę?

Omął nie uklękła, by wnieść modlitwę dziękczynną, takiej doznała ulgi.

Była raczej drobną kobietą, ale pomogła kapitanowi wstać, a potem, podpierając go biodrem niczym doświadczona żona, skierowała wraz z nim kroki ku drzwiom. Kapitan szedł z błogim uśmiechem na twarzy, a ona, holując go przez jadalnię, gdzie rozległ się śmiech, pomyślała, że to wyleczyło ją z wszelkiej sympatii do tego człowieka! Nie mogła się wprost

doczekać, kiedy będą w Yorku.

Gdy dotarli do schodów, podparła obiema dłońmi jego plecy. On jednak, zamiast wchodzić na górę, opadł na drugi stopień i pociągnął ją ku sobie tak, że usiadła mu na kolanach. Zanim zdążyła odwrócić głowę, pocałował ją w usta, smakującym słodką owsianką pocałunkiem.

– Przynosisz hańbę swemu mundurowi, kapitanie – poinformowała go rzeczowo.

– Zatem zaraz go zdejmę – odrzekł i zaczął rozpinać guziki.

Nie wiedziała, jak go powstrzymać, i – przez jedną, ulotną chwilę – wcale go powstrzymać nie chciała. Gdy jednak zauważyła, że patrzy na nich ubawiony steward z wyrazem satysfakcji na twarzy, przywołała się do porządku.

Obserwując spod oka Ralpa Clarke'a, postanowiła nadal grać rolę żony.

– Dosyć – powiedziała stanowczo do kapitana. – Wstawaj, zanim poczynię jakieś poważne, daleko idące kroki!

Być może dzięki jej szkockiemu akcentowi te słowa zabrzmiały bardzo groźnie. Kapitan dźwignął się i opierając się o ścianę, zaczął z jej pomocą wspinać się po schodach. Znalazłszy się na górze, zachwiał się na nogach, po czym, gdy otworzyła drzwi do ich apartamentu, wszedł do środka. Mary z westchnieniem ulgi zamknęła drzwi, a potem przekręciła klucz w zamku. Zrobiła to przy tym tak energicznie i głośno, że usłyszałby ją nawet głuchy.

– To koniec twojej listy, kapitanie Rennie – wycedziła, gdy on gibał się na nogach na środku saloniku. – Jutro Apollo Street w Yorku będzie głównym punktem naszego programu!

Kiwnął na to głową tak energicznie, że omal się nie przewrócił.

– W tym grogu był nie tylko rum. Było tam coś więcej – poinformował ją, a ona, słysząc to, wzniosła oczy do nieba.

– Nie pleć głupstw! – rozkazała. – Pan Clarke to zły człowiek, ale moim zdaniem nawet on nie posunąłby się do czegoś takiego.

Nalała wody do dużej szklanki, a potem stała nad nim, dopóki nie wypił do dna. Wtedy napełniła szklankę ponownie. Zmęczona już i zdenerwowana swoją przygodą, nie wiedziała, co robić dalej.

– Przepraszam, Mary – powiedział w końcu kapitan. – Wyjedziemy z samego rana.

– Moglibyśmy wyjechać natychmiast – odrzekła rozżalona. – Obudzę Nathana i pójdę poszukać naszych forysiów. A ty... ty siedź tutaj i zachowuj się przyzwoicie – poleciła, po czym pochyliła się nad nim i bardzo cicho zapytała: – Czy powiedziałeś panu Clarke'owi coś na temat jego zachowania na pokładzie okrętu?

– Nie – odrzekł po chwili zastanowienia kapitan. – Mówiłem na ten temat tylko wtedy... w kuchni... Powiedziałem to, co słyszałaś. Tak przynajmniej mi się zdaje.

– No, rzeczywiście, słyszałam. Choć wolałabym tego nie usłyszeć! – Tu Mary potrząsnęła nim z lekka. – Zastanów się! Pomyśl! Wspominałeś mi coś o tym, że on oszukał twoją załogę. Czy... czy zameldowałeś o tym... no... komu wy o takich rzeczach meldujecie?

– Radzie marynarki.

– No właśnie!

Kiwnął głową.

– To było blisko dwa lata po tym, jak opuścił naszą fregatę, kiedy ja po raz pierwszy od tego czasu zszedłem na ląd w Portsmouth. Wziąłem ze sobą wtedy sfalszowane przez niego księgi rachunkowe i opowiedziałem o moich podejrzeniach. Jak się okazało, nie donosiłem na niego jako pierwszy. Potem nigdy go nie widziałem – dodał kapitan, wzruszając ramionami. – Był nędznym tchórzem i wzbogacił się kosztem marynarki. Z tym, że największe pieniądze zarobił nieuczciwym sposobem w kilka lat po tym, jak opuścił moją fregatę.

– Miejmy nadzieję – powiedziała Mary zgnębiona, siadając na krześle – że już się

wystarczająco twoim kosztem ubawił. A teraz, Ross, do łóżka!

Po tych słowach wstała i weszła szybko do swojej sypialni, po czym zablokowała klamkę, przystawiając do drzwi krzesło, i położyła się spać.

Niech radzi sobie sam! – pomyślała. Z guzikami i z nogą. A poza tym... dlaczego ja się w ogóle tak martwię o jego sprawy?

– Przygoda... – mruknęła jeszcze, po czym, patrząc w sufit, dodała: – Z keksem, którego ja przecież nawet nie lubię!

Możliwe, że powiedziała to głośniej, niż zamierzała, bo wydało jej się, że słyszy, jak ktoś w sąsiedniej sypialni się śmieje.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Panno Rennie! Panno Rennie!

Mary otworzyła oczy. Z ulgą przyjęła fakt, że została obudzona, bowiem śniła sen, w którym awanturowano się i przeklinano, na czym świat stoi.

– Panno Rennie? – znowu odezwał się znajomy dziecięcy głos.

To Nathan, uświadomiła sobie i wyskoczyła z łóżka, po czym odsunęła szybko krzesło, stojące przy drzwiach. Gdy otworzyła je, zobaczyła zapłakanego chłopca. Wzięła go w ramiona, tuląc do siebie, i rozejrzała się po saloniku, w którym panował okropny nieład. Krzesła były poprzewracane, obrus ściągnięty ze stołu, a obrazy na ścianach wisiały krzywo. Wazon, który stał na stole, leżał przewrócony, a woda kapiała na podłogę.

– Co tu się stało? Gdzie jest kapitan? – zapytała.

Nathan, załkał, wtulony w jej ramię.

– Papę zabrał jakiś człowiek w mundurze – wyjąkał. – Panno Rennie, papa jest w koszuli nocnej, a na dworze jest przecież zimno. I... i niech pani spojrzysz na to – dodał, wskazując palcem.

Na podłodze zobaczyła porzuconą drewnianą nogę kapitana.

– Wywlekli go, nie pozwalając przymocować nogi? – zapytała zdumiona. – Przecież on jest bohaterem... kapitanem wojennej fregaty!

– Już niedługo!

Doszły ich słowa Ralpa Clarke'a, który stanął w otwartych drzwiach, patrząc na nią z butnym uśmiechem. Mary w jednej chwili zrozumiała, co zaszło, i w mgnieniu oka obrała odpowiednią taktykę. Przytuliła drżącego Nathana, pocałowała go i powiedziała do niego:

– Wszystko będzie dobrze, synu. Ubierz się i weź rzeczy ojca. No, idź już. Ubieraj się, szybko.

Z prawdziwą ulgą przyjęła fakt, że chłopiec nie zaprotestował, gdy nazwała go synem, i bez wahania wycofał się do sypialni.

Stała oko w oko z Ralphem Clarkiem. Ubrana tylko w koszulę nocną i z twarzą pałającą gniewem, zrobiła krok w jego kierunku, a on, ku jej wielkiej satysfakcji, wycofał się na korytarz.

– Postąpił pan nikczemnie, podle! – zawołała. – Pan dobrze wiedział, co on powie, kiedy wypije! A potem poszedł pan z tym do...

– Do naszego sędziego pokoju, sir Henry'ego Pontifracta.

– Właśnie! I doniósł pan mu, że w pańskiej gospodzie znajduje się szpieg.

Uśmiechnął się na to, lecz nie próbował ponownie wejść do saloniku.

– Człowieka takiego jak pan należałoby rozstrzelać! – wypaliła.

– On mi bardzo zaszkodził – odrzekł jej na to Ralph Clarke, a butny uśmiezek zniknął z jego twarzy.

– Nie tylko on, jak podejrzewam – zabrzmiały słowa Mary. – A tak właściwie, to co się panu stało? Nie siedział pan w więzieniu, choć to się panu należało. Dopuścił się pan przecież zwykłej kradzieży. Kupił pan tę gospodę za pieniądze, za które powinien pan być ubierać i karmić załogę niejednego okrętu. Wstyd i hańba!

Przerwała, by zaczerpnąć powietrza, dziwiąc się samej sobie, że tak stanowczo przemawia, a on roześmiał się głośno.

– Oczywiście, pani kapitanowo! Wstydzę się bardzo. I trzęsę się ze strachu!

Mary, słysząc te słowa, odwróciła się na pięcie i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Ubrała się bardzo szybko, obserwowana uważnie przez pobladłego Nathana, który zdążył już spakować do marynarskiego worka mundur ojca i jego bieliznę.

– Czy papa ma jakieś pieniądze? – zapytała chłopca, rozglądając się wokół. – Może portfel?

Nathan podszedł do łóżka, sięgnął pod poduszkę i wyciągnął portfel ojca.

– Powiedział mi, że zawsze trzyma go pod głową od czasu, gdy był aspirantem. A poza tym ciągle mi powtarzał: „Nie ufaj zbyt wielu ludziom” – oznajmił Nathan i rozplakał się.

– Mnie możesz ufać – zapewniła go z powagą Mary, po czym schowała portfel za dekolt.  
– Zamierzam udawać, że jestem twoją matką – powiedziała jeszcze, a chłopiec natychmiast odparł:

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Ja też nie – zapewniła go z uśmiechem.

Bez wahania przyjęła na siebie obowiązek opieki nad chłopcem, chociaż przez całe życie pozwalała decydować za siebie wujostwu.

– Znajdziemy papę – zapewniła go na początek. – Pakuj swoje ubrania. Opuszczamy tę gospodę.

Gdy Mary wróciła ze swojej sypialni do saloniku, Nathan był już gotowy do drogi. Jak przystało na syna wilka morskiego, przerzucił sobie marynarski worek przez ramię, a pod pachą trzymał wysoki ojcowski kapelusz.

– A co będzie, jeżeli go nie znajdziemy? – zapytał z lękiem w oczach.

Mary pochyliła się i przytuliła policzek do jego policzka.

– Nic się nie bój. Nie wyjedziemy z Owenshine bez twojego papy. A gdy będziemy już siedzieli w karecie, dam mu porządną reprymendę. Której ty, jeżeli taka twoja wola, możesz nie słuchać.

Jej ostatnie słowa odniosły pożądany efekt, bowiem Nathan uśmiechnął się szeroko.

– Proszę cię tylko o jedno – dodała jeszcze, ujmując jego twarz w swoje dłonie. – Rób dokładnie to, co ci każę, i zaufaj mi.

Chłopiec kiwnął głową z poważnym wyrazem twarzy, po czym zaskoczył ją, całując w policzek. Serce Mary zaczęło bić szybciej, bo uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu znajduje się w sytuacji, w której potrzebują jej i liczą na nią dwie osoby.

Gdy otworzyła drzwi na korytarz, stanęła twarzą w twarz z Ralphem Clarkiem, który patrzył na nią z butnym uśmiechem. Zobaczyła też, że za nim stoi grupa ciekawskich, którzy słyszeli ich wcześniejszą wymianę zdań. Podniosła dumnie głowę i zapytała:

– Powiedzcie mi państwo, jak można tak potraktować oficera Królewskiej Marynarki Wojennej?! Wywlec go z domu nie tylko bez ubrania, ale także bez nogi! Pytam was, jakie zasługi musi człowiek położyć dla obrony swego króla i ojczyzny, by go traktowano, jak należy?

Po tych słowach powiodła po wszystkich wzrokiem, a oni spuścili głowy. Nie spojrzął jej w oczy nawet Ralph Clarke, który jedynie odchrząknął.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– W piwnicach ratusza – odrzekł Clarke, nie udzielając żadnych dodatkowych wskazówek.

– Doskonale – powiedziała Mary. – Chodź, Nathanie. Idziemy.

Nathan wziął jej torbę podróżną, a ona przerzuciła przez ramię worek marynarski kapitana, wetknęła sobie jego nogę pod pachę i z podniesioną głową przeszła do stajni, gdzie poleciła forysiom przygotować karetę.

– Kapitan Rennie znajduje się w ratuszu, ale nie wiem, gdzie to jest – powiedziała.

– To żaden problem – odrzekł starszy z forysiów.

Udał się do stajennego, który po zastosowaniu pewnego nacisku udzielił wszelkich potrzebnych wyjaśnień. W kilka minut później bagaż załadowano, a Nathan i Mary znaleźli się w karecie, po czym, zabrawszy ze sobą stajennego – „na wypadek, gdyby okazał się jeszcze potrzebny”, jak powiedział starszy z forysiów – ruszyli.

Mary zrobiła głęboki wdech, gdy zatrzymali się przed kamiennym budynkiem, na którego podjeździe stała wspaniała, choć staroświecka kareta.

– Należy do sir Henry’ego Pontifracta, sędziego pokoju – poinformował ich stajenny, zacierając ręce, tak jakby spodziewał się dalszych sensacji. – A pan sędzia nie lubi być wrywany ze snu w środku nocy.

– Nikt tego nie lubi – odrzekła opryskliwie Mary, mierząc stajennego spojrzeniem, które sprawiło, że pospiesznie wysiadł z karety.

– Chyba go przestraszyłaś, Mary – odezwał się Nathan szeptem, patrząc na nią ze zdumieniem.

– No i bardzo dobrze – odrzekła. – A teraz, kochanie, pamiętaj, że zwracając się do mnie, masz mi mówić „mamo”. Jestem teraz panią Rennie, która nie znosi, by ktoś wyczyniał głupoty. Zwłaszcza gdy tym kimś jest człowiek, którego poślubiła.

– To znaczy mój papa?

– Tak, twój papa.

Nathan roześmiał się na to głośno i ten śmiech sprawił, że z przerażonego dziecka stał się na powrót małym chłopcem.

– A papa mówił, że to będą takie zwyczajne odwiedziny u ciotki w Szkocji – wyznał szczerze.

– No cóż, wasza podróż do ciotki zaczęła się rzeczywiście zwyczajnie – skomentowała to Mary. – Podobnie jak moja... Gdy wyruszałam na poszukiwanie keksów, wszystko było zwyczajne.

Rzeczywiście, gdy wyruszała na poszukiwanie keksów, nie spodziewała się znaleźć w sytuacji, która wymagałaby sprytu i odwagi.

Zachowuj się jakby nigdy nic, upomniała samą siebie Mary w chwili, gdy Nathan, niczym dorosły, pomagał jej wysiąść z karety. Mając za plecami obu forysiów, co dodawało jej otuchy, stała już przed drzwiami ratusza, które otworzył starszawy człowiek o długiej, posępnej, podobnej do pyska basseta twarzy.

– Pani Rennie szuka swego męża.

Obejrzała się, zaskoczona na dźwięk tych słów, i przekonała się, że wciąż jej towarzyszy stajenny z gospody. Ciekaw, co będzie dalej, nie zamierzał się oddalić.

– Tak, proszę pana – potwierdziła, biorąc Nathana za rękę i zwracając się do starszego sługi. – Posterunkowy przywłókł go tutaj półnagiego – poinformowała go jeszcze, po czym, prostując się, dodała: – A ja pragnę przypomnieć, że jest grudzień i panuje zima!

Starszy sługa zmierzył ją smętym spojrzeniem, patrząc ponad szklami okularów.

– Mój pan, sir Henry Pontifract, został poinformowany, że znajdujący się w lochu przestępca jest szpiegiem.

– W lochu? Mój papa jest w lochu? – zawołał Nathan bliski płaczu, a Mary uspokajającym gestem położyła mu dłoń na głowie.

– Sir Henry został błędnie poinformowany przez łotra, który prowadzi gospodę – powiedziała. – Kapitan Rennie nie jest żadnym szpiegiem. Proszę mi pozwolić się z nim zobaczyć – dodała, pokazując słudze drewnianą nogę, na której widok mrugając ze zdumienia, cofnęła się. – Przecież człowiekowi powinno się pozwolić przynajmniej założyć protezę i stanąć

na dwóch nogach.

W jej stwierdzeniu nie było żadnej logiki i Mary o tym wiedziała. Jednak sługa sędziego pokoju, słysząc jej słowa, złagodniał na twarzy.

– Rzeczywiście, na dworze jest zimno. No i... człowiekowi, skoro nie ma nogi, trzeba dać tę drewniana protezę. Proszę iść za mną.

Mary odetchnęła z ulgą i wzięła za rękę Nathana. Starszy z forysiów wziął od niej worek marynarski kapitana, zarzucił go sobie na ramię i szepnął jej, że ma na imię Thomas. Odrzekła, że jest mu wdzięczna za pomoc, po czym ruszyli korytarzem w stronę schodów. Gdy znaleźli się w piwnicy, zobaczyli uciekającego szczura, poczuli smród i wilgoć w powietrzu, a gdy dotarli do celi kapitana, zastali przed jej drzwiami czuwającego posterunkowego.

– Proszę mnie wpuścić – zwróciła się do niego Mary – i pozwolić mi się zobaczyć z kapitanem Renniem.

– Dobry Boże! – zawołał w odpowiedzi posterunkowy. – Zaraz pewnie mi pani powie, że jest jego żoną!

– Rzeczywiście, jestem nią – odrzekła ostro Mary. – Jestem Mary Rennie. A to jest synek kapitana – dodała, dotykając głowy Nathana. – Oświadczam wam, że uwięziliście niewinnego człowieka, który ma skłonność do wygadywania głupstw, gdy się upije. Tak, panie, mój mąż, gdy ma w czubie, twierdzi, że jest zatrudniony przez Napoleona!

– No właśnie! – odrzekł na to posterunkowy. – On jest szpiegiem. A my tutaj, w Ovenshine, potrafimy szpiega rozpoznać.

– Tak? I gdzie wy macie tych szpiegów? Ilu ich dziennie aresztujecie? – zawołała Mary, a zaraz potem, zza drzwi celi, dobiegł ich uszu okrzyk:

– Brawo, żono!

Mary wpatrzyła się w posterunkowego wymownym, błagalnym spojrzeniem, a gdy w jej oczach zabłyśły łzy i z piersi wyrwał się szloch, posterunkowy nie wytrzymał.

– Och, na miłość boską – powiedział, przekręcając klucz w zamku – proszę bardzo, niech pani wchodzi. I ty także, synku – dodał, po czym patrząc na drewnianą nogę, rzekł jeszcze: – Jak to by o nas świadczyło, gdybyśmy człowiekowi nie pozwolili założyć protezy...

W następnej chwili za drzwi dobiegł ich stłumiony kaszlem śmiech.

No, Ross, już ja się z tobą policzę, pomyślała Mary. Przecież ty mi wszystko utrudniasz. Po czym, szlochając, dodała:

– Modłę się do Boga, by go to nie uśmierciło. Proszę mnie przepuścić!

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kapitan Rennie siedział w swoim życiu w gorszych więzieniach niż to w Ovenshine. Między innymi w Kadyksie, w Hiszpanii. Tam jednak nie zaznał chłodu, a tu po prostu trząsał się z zimna. Nie mógł drżenia opanować nawet w chwili, gdy w celi znaleźli się Nathan i Mary.

Kuzynka drgnęła, gdy drzwi celi zatrzasnęły się za nimi, a Ross, widząc to, aż się wzruszył. Pomyślał, że ta panna, która dotychczas wiodła spokojne życie w Edynburgu i z całą pewnością nie była nigdy w więziennej celi, daje sobie w tej sytuacji doskonale radę. No i... Boże drogi, jakież ona ma piękne oczy! – dopowiedział Ross, wpatrzył się w te oczy i dostrzegł gniew i zdecydowanie.

W następnej chwili zauważył, że mruga porozumiewawczo, po czym odwraca się i mówi do posterunkowego:

– Byłabym panu ogromnie wdzięczna, gdyby dał pan koc mojemu nieznośnemu mężowi. A więc, powiedział sobie Ross, w to tutaj gramy!

Podobała mu się ta zabawa i z uznaniem pomyślał o inteligencji Mary, która – choć dotychczas nic zapewne nie wiedziała o więzieniach – potrafiła zgadnąć, że tylko najbliższa rodzina ma szansę o tak późnej porze być wpuszczona do więźnia zamkniętego w lochu.

– Jeżeli nie chce pan zostawić nas tutaj w celi wszystkich razem, to proszę posłać na górę Nathana z notatką, bo kapitanowi potrzebny jest koc. I to natychmiast! – zwróciła się do ociągającego się posterunkowego, tonem spokojny i stanowczy, godnym admirała.

Jej słowa odniosły pożądaną skuteczną, bowiem posterunkowy przywołał gestem chłopca, po czym obaj bez słowa wyszli z celi.

– No, a teraz – oznajmiła Mary, gdy zostali tylko we dwoje – pomogę ci się ubrać i założyć protezę. Ty natomiast musisz mi powiedzieć, dlaczego na miłość boską zaufałeś temu Clarke'owi.

Spokój, z jakim przyjmowała całą tę sytuację, zadziwił kapitana. Podobnie jak zręczność, z jaką pomogła mu założyć drewnianą nogę.

– Czy masz plan działania? – zapytał, gdy był już całkiem ubrany.

– Mam. Będę grała nieszczęśliwą żonę, która wylewa morze łez nad swoim mężem pijakiem – oznajmiła, a gdy on się roześmiał, uznawszy, że znalazł się w dobrych rękach, mówiła dalej: – A kiedy już cię wyciągnę z tego lochu, będziemy musieli się jutro rozstać. Ja udam się na poszukiwanie Apollo Street i keksu, a wy z Nathanem pojedziecie do Dumfries.

– Czy... czy ja... czy moje postępowanie cię rozczarowało, kuzynko Mary? – zapytał, a jej oczy, na dźwięk tych słów, napelniły się łzami.

Widział, że jest wzruszona naprawdę, że w tej chwili niczego nie udaje. Objął ją serdecznym gestem, a ona, czując ogromne zmęczenie, skłoniła na jego pierś głowę. Spoczęli na pryczy i siedzieli przytuleni aż do chwili, gdy usłyszeli zbliżające się kroki posterunkowego.

Na ich dźwięk Mary wstała, a potem pomogła Rossowi.

– Sądzę – powiedziała – że jestem osobą, która nie potrafi cieszyć się przygodami. Przestraszyłam się, gdy w gospodzie mówiłeś w ten sposób o Napoleonie. No, a teraz... gdy wylądowałeś w więzieniu, boję się jeszcze bardziej. Bóg jeden wie, co ci grozi.

– Są gorsze więzienia niż to tutaj – zaczął, ale ona położyła mu palec na ustach. – I... w tym wszystkim nie ma twojej winy – zapewnił, nie zwracając uwagi na to, że chciała go uciszyć.

– No tak... są gorsze więzienia – powtórzyła. – I ty bez wątplenia w niejednym siedziałeś.

Ale ja nie. Jestem osobą spokojną i wolałabym być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Ale cóż... – dodała zaraz, prostując się energicznie – ...muszę cię stąd wyciągnąć, więc nie utrudniaj mi tego.

Tymczasem posterunkowy dotarł do celi, otworzył ją i wszedł do środka.

– A gdzie jest koc dla kapitana? – zapytała Mary tonem równie stanowczym jak przed chwilą.

– Do diabła z kocem – odrzekł posterunkowy. – Idziecie ze mną. Sir Henry Pontifract czeka już na was.

Ruszyli na górę, a na schodach dołączyło do nich dwóch zdrowo wyglądających wiejskich osiłków, których posterunkowy wyciągnął prawdopodobnie z łóżek, oraz dwóch znacznie szczuplejszych od nich forysiów. Ross poczuł się lepiej, widząc tych ostatnich, bo pomyślał, że skoro oni tu są, on nie jest jedynym człowiekiem, który może zaopiekować się Mary Rennie. Nie było mu przyjemnie, gdy sobie uświadomił, że sam jest winien całej tej sytuacji.

Nieraz już znalazł się w trudnych okolicznościach, zwłaszcza w Kadyksie, a także w pewnej zapadłej tureckiej dziurze noszącej nazwę Mersin, gdzie wraz z całą swoją załogą siedział w więzieniu blisko rok, po którym to okresie wyszedł na wolność o trzydzieści funtów lżejszy i z dobrą znajomością arabskiego. Teraz przynajmniej, pomyślał, stając przed sir Henrym Pontifracem, nie będzie potrzebował tłumacza.

Zanim wszedł do sali rozpraw, zawahał się przez chwilę na jej progu, a wtedy jeden z pomagierów posterunkowego pchnął go mocno w plecy. Skutek tego był taki, że kapitan upadł jak długi na podłogę.

Mary błyskawicznie znalazła się przy nim, schyliła się i otoczyła go ramionami, tak jakby chciała obronić go przed całym światem. W następnej chwili klęczał już przy nim także i Nathan, tak samo jak ona gotowy do obrony. Co Rossa zarówno wzruszyło, jak i napełniło wielką otuchą.

– Jak można postępować tak okrutnie! – zawołała Mary, po czym wstała i natarła na pomagiera posterunkowego niczym mały, ale waleczny wróbel na kruka.

– Już dobrze, Mary – odezwał się kapitan. – Podaj mi tylko rękę i pomóż mi stanąć na nogi.

Zrobiła, o co prosił, z błyszczącymi od łez oczami, dzięki czemu on, w następnej chwili, już stojąc, mógł spojrzeć na zażywnego człowieka siedzącego za stołem sędziowskim.

To musi być sir Henry Pontifract, pomyślał, uświadamiając sobie równocześnie, że sędzia pokoju patrzy niepewnie na Mary.

Jako że odmówiono im krzesła, stanęła obok Rossa, obejmując go jednym ramieniem w pasie, a drugim przygarniając do siebie Nathana. Sir Henry otworzył usta, zamierzając coś powiedzieć, przerwały mu jednak jakieś głosy w korytarzu. Zaraz potem na sali pojawił się butny były steward w towarzystwie kilku mężczyzn, w których Ross rozpoznał gości z gospody.

Sir Henry z kwaśną miną zwrócił się do niego:

– No cóż, mój człowieku – powiedział bez wstępów – upieraliście się, że sprawa nie może czekać do rana. Opowiadaliście coś o szpiegach, a ja tu widzę kapitana Królewskiej Marynarki Wojennej, jego żonę i syna.

– Pozory myślą, Wysoki Sądzie – odrzekł na to Ralph Clarke ze znaczącym uśmiechem.

– Ci ludzie chcą, żeby Wysoki Sąd tak myślał.

Tu przerwał i przybrał dobrze znaną kapitanowi śmiechu wartą pozę, świadczącą o tym, że chce coś załatwić cudzymi rękami.

– No więc? – ponaglił go sir Henry. – Mówcie szybciej, bo chcę wrócić do łóżka.

Ralph Clarke wyjął na to z kieszeni złożoną we czworo listę potraw Rossa i podał ją sir Henry'emu. Ten przebiegł ją wzrokiem i zmarszczył brwi.

– Widzę tu tylko nazwy miejscowości – oznajmił – z których pewna liczba jest mi znana.

A także nazwy potraw.

– Jestem przekonany, Wysoki Sądzie, że to jest szyfr. Nazwy potraw zastępują tu coś innego.

Sir Henry pokręcił głową i ponownie popatrzył na listę.

– Gospoda Pod Orionem – przeczytał – i zapiekanka pasterska w miejscowości Everly. Jadłem kiedyś tę zapiekankę Pod Orionem. Niebo w gębie – stwierdził i spojrzał na Rossa. – To taka mała gospoda gdzieś w Northumbrii, czy tak? Gdzieś w pobliżu Leel?

Ross poczuł falę odprężenia.

– Właśnie tak, Wysoki Sądzie. Jadłem tam w zeszłym tygodniu, gdy jechałem do Carlisle.

Sir Henry przyjął to do wiadomości i zaraz udowodnił, że nie jest głupi.

– Northumbria. Carlisle. Ovenshine. Ależ, kapitanie, dokąd pan na miły Bóg zmierza? Mam nadzieję, że będąc na morzu, ma pan lepszą orientację niż na lądzie... W przeciwnym wypadku nasz kraj znajduje się w kłopotach.

Na sali rozległ się śmiech. Śmiali się wszyscy, nie wyłączając Mary, która najwyraźniej uznała to za świetny dowcip. Uśmiechnął się nawet Ross, mimo że był doskonałym nawigatorem.

Gdy na sali ucichło, Mary odchrząknęła i rozpoczęła wyjaśnienia.

– Wysoki Sądzie – powiedziała – mój drogi mąż jechał do domu na urlop... My mieszkamy w Dumfries, ale siedząc w domu, nie mogliśmy się go doczekać... więc wyjechaliśmy mu na spotkanie... No i... tak sobie jeździliśmy tam i z powrotem.

Było to urocze kłamstwo, w które uwierzył nawet Ross. Co ważniejsze jednak, uwierzył w nie sir Henry.

– Nie widziałem mojej rodziny od blisko dwóch lat – włączył się teraz Ross z westchnieniem. – No i tak jakoś... zaszło nieporozumienie. – Tu oparł rękę na ramieniu Mary i pogładził jej szyję. – Dwa lata. To bardzo długa rozłąka.

Sir Henry kiwnął głową i poczerwieniał na twarzy.

– I pewnie, panie kapitanie, ma pan bardzo krótki urlop – powiedział domyślnie, po czym dodał, przyjrawszy się Mary: – Ależ ona jest ładna.

Mary splonęła rumieńcem i ukryła twarz w rękawie Rossa.

– To prawda, to naprawdę ładna dziewczyna, Wysoki Sądzie – zgodził się Ross. – A ja muszę się zameldować w Plymouth za dwa tygodnie – dodał i pokręcił głową. – Spotkaliśmy się w końcu w Carlisle. A teraz jedziemy do krewnych, do Yorku.

No widzisz, pomyślał z satysfakcją, ja też umiem kłamać.

Mary spojrzała na niego nieśmiało, a wyższy z pomocników posterunkowego westchnął, widząc jej spojrzenie. Sir Henry omal się nie uśmiechnął.

Tymczasem Ralph Clarke zaczął się orientować, że jego pospiesznie uknuty plan bierze w łeb. Wypchnął więc przyprawdzonych przez siebie ludzi na środek sali. Obaj chwiali się na nogach; najwyraźniej mieli w czubie. Sir Henry zmarszczył brwi.

– Mówcie, ludzie – powiedział do nich i zaraz dodał: – Jeżeli jesteście w stanie.

– Wysoki Sądzie, słyszeliśmy na własne uszy, jak ten człowiek wznosił toast na cześć Napoleona. I jak nazwał tego piekielnego Korsykanina swoim chlebobdawcą! – oznajmił jeden z gości Ralpha Clarke'a. – Dobrze wiem, co słyszałem – dodał jeszcze.

Na sali zapadła cisza.

– No tak – powiedział sir Henry, po czym zwrócił się do Rossa: – O to chodzi... Jak pan to wyjaśni, panie kapitanie?

– Proszę pozwolić, że ja to zrobię – odezwała się Mary, patrząc na Rossa surowo. – Próbowałam odzwyczaić męża od takich toastów, ale dobrze rozumiem, co on ma na myśli, mówiąc takie rzeczy – oświadczyła zaraz i spojrzała na niego łagodniej, wsuwając mu rękę pod

ramię. – Bo przecież... od ponad dwudziestu lat my wszyscy tańczyliśmy tak, jak nam zagrał ten piekielny Korsykanin.

Ralph Clarke chciał coś powiedzieć, ale sir Henry powstrzymał go jednym spojrzeniem.

Mary tonęła teraz we łzach. Jednak nie takich, które sprawiają, że kobiecie cieknie z nosa i że ma ona czerwone oczy, tylko takich, które dodają jej urody. Ross, patrząc na nią, zaczął się zastanawiać, czy ćwiczyła takie sztuczki, ale szybko doszedł do wniosku, że to niemożliwe.

Być może, pomyślał, ma do tego po prostu talent. Poza tym ciekawe, czy jej krewni z Edynburga mają pojęcie, jaka naprawdę jest ta z pozoru spokojna kobieta. Zresztą, być może ona sama tego nie wiedziała.

– Doświadczyłam w życiu bardzo wielu bezsennych nocy – mówiła tymczasem – podczas których zastanawiałam się, gdzie jest mój ukochany. Kiedy siedział w więzieniu, byłam tam i ja. Kiedy, broniąc ojczyzny pod Trafalgarem, stracił nogę... ja także czułam okropny ból. Wysoki Sądzie, my wszyscy tańczyliśmy tak, jak zagrał nam Napoleon. Nie da się przecież temu zaprzeczyć.

– Rzeczywiście – zgodził się z nią sędzia pokoju, a ona podeszła do stołu i wzięła od niego listę, po czym wróciła do Rossa.

– Zeszły wieczór – mówiła dalej – spędziliśmy w Skowcroft z tamtejszym pastorem i jego żoną. Ich syn służył na okręcie mojego męża i zmarł na morzu od gorączki. – Przełknęła ślinę, a Ross wyczuł, że jest naprawdę wzruszona. – Ci ludzie, pastorstwo Everettowie ze Skowcroft, także byli zatrudnieni przez Napoleona. Mój mąż tylko to miał na myśli. Wszyscy bardzo cierpieliśmy z winy tego piekielnego człowieka. W tym sensie on nas zatrudniał. Być może, Wysoki Sądzie, jest to dość oryginalny sposób opisu sytuacji... Jednak jestem pewna, że zrozumiały. Co do mnie – dodała jeszcze, kręcąc głową – to mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że wraz z synem przez długie lata tańczyłam, jak ten potwór nam zagrał.

Mary ostatnie słowa wypowiedziała cicho i ze smutnym uśmiechem, czym nadała swym słowom niezwykłej siły. Ross uświadomił sobie ze wzruszeniem, że oto ta cicha, nieśmiała kobieta broni go przed sądem niczym najlepszy adwokat.

– To wszystko, co mam do powiedzenia, Wysoki Sądzie – kończyła tymczasem swoją przemowę Mary. – Ze swej strony obiecuję solennie, że zrobię, co w mojej mocy, by mój mąż nigdy więcej nie wygłosił tego rodzaju toastu. Jednak gwarancji, że tego nie zrobi, dać nie mogę. Dodam tylko, że stanowimy rodzinę tak długo żyjącą w rozłące z powodu wojny, że nie wyobrażamy sobie innego życia. A teraz... proszę mojego męża uwolnić i pozwolić nam iść swoją drogą.

To powiedziawszy, nagle onieśmielona Mary powiodła wzrokiem po swych słuchaczach.

– My – powiedziała na koniec – pragniemy jedynie spędzić wspólnie święta, bowiem nigdy dotąd nie spędzaliśmy ich razem.

Sir Henry sięgnął po chusteczkę do nosa, a obaj forysie, którzy przecież wiedzieli, że wszystko to jest oszustwem, ocierali oczy. Ross rozejrzał się po sali i stwierdził, że Ralph Clarke wraz ze swoimi świadkami już ją opuścił.

Jej spokojne słowa musiały przypomnieć sędziemu, że godzina jest późna, że on sam jest zmęczony i że nie ma sensu kontynuować rozprawy. Pochylił się nad stołem i gestem przywołał Mary do siebie.

– Proszę się nim dobrze opiekować, droga pani – powiedział, gdy podeszła bliżej. – I być może będzie lepiej, jeżeli przez jakiś czas nie pokaże się w Owenshine – dodał konspiracyjnym tonem. – Bo nigdy nie wiadomo, kogo jakiś drobiazg może obrazić. Ja nigdy nie poczułbym się przez kapitana obrażony, ale nie wszyscy są podobni do mnie.

– Dobrze, Wysoki Sądzie – zgodziła się Mary. – Kiedy złożymy już wizytę w Yorku, ja

i Nathan pojedziemy z kapitanem do Dumfries na święta. A potem – dodała z westchnieniem – on pojedzie do Plymouth, a stamtąd uda się znowu na morze... I, proszę, sir, proszę się modlić o pokój, bo chcę, żeby mój ukochany wrócił wreszcie do domu na stałe.

Sir Henry, wysłuchawszy tych słów, wyraźnie się wzruszył, po czym zasłonił twarz chusteczką do nosa. Mary zaś wykonała piękny dyg, a następnie wyprowadziła obu swoich mężczyzn z sali.

Gdy już wszyscy troje siedzieli w karecie, foryś, stojąc przy otwartych drzwiczkach, zapytał:

– Wracamy do gospody?

– Nie ma potrzeby – odrzekł Ross i spojrzał na Mary. – Dokąd, moja kochana? – zapytał.

– Do Yorku. Wiesz dobrze, kuzynie, że musimy teraz właśnie tam pojechać.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Noc była ciemna. Ciężkie chmury przysłaniały gwiazdy i księżyc. Podróżowali w milczeniu, które sprzyjało zadumie. Każde słowo, które wypowiedziałam, było szczere, myślała Mary, oszołomiona tym, co zaszło. Ross pewnie sądzi, że to wszystko było na pokaz, ale prawda jest taka, że nie wypowiedziałam ani jednego fałszywego słowa.

Wątpię, czy pani Morison pragnęła dla mnie aż takiej przygody.

Głęboko odetchnęła, zastanawiając się, kiedy podczas tej dziwnej podróży nastąpiła chwila, o której mówiła jej kiedyś mama i której ona sama nie spodziewała się przeżyć. Mary, powiedziała sobie w duchu, to niemożliwe, żebyś była zakochana. Przecież zakochanie nie przychodzi w taki sposób.

– A skąd wiesz, w jaki sposób przychodzi? – powiedziała półgłosem, patrząc w okienko karety.

– Słucham? – zapytał Ross, a jej wydało się, że czyni to drżącym głosem.

– Nic, nic – odrzekła szeptem, zawstydzona.

Spojrzała na niego i stwierdziła, że także wpatruje się w okienko z głową Nathana na kolanach. Kiedy tak głaskał głowę dziecka, które widywał tylko od czasu do czasu, poczuła okropne wyrzuty sumienia. Oto zabierała ojcu i synowi tak cenny wspólny czas, wplątawszy ich w poszukiwanie tego głupiego keksu...

Odchrząknęła cicho i już miała się odezwać, gdy Ross, podnosząc rękę, powstrzymał ją od tego.

– Pozwól, kuzynko, że powiem coś pierwszy – poprosił przyciszonym głosem. – Proszę cię, wybac mi fakt, że wszystko potoczyło się w ten okropny sposób. – Jakby zbierając myśli, spojrzał w okienko, a ona czekała na jego dalsze słowa. – Czasami – podjął w końcu – zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę mógł żyć na lądzie.

– Ależ, Ross... kuzynie, wiesz dobrze, że to możliwe – zapewniła go, zaskoczona tym, że jego myśli pobiegły w tym kierunku. – Napoleon... – mówiła dalej, a on zachichotał – ...ten twój chlebobawca... zostanie na Elbie. Możesz kupić sobie tę posiadłość. Gdzie ona jest?

– W Dumfries. A może w Kirkbean...

– Mniejsza o to gdzie. Dość, że możesz ją kupić i stać się wiejskim dżentelmenem. – Przerwała, bo nagle uświadomiła sobie, że cały ten pomysł także i jej wydaje się nie do przyjęcia. – Albo nie – dodała zaraz – bo przecież... zdecydowawszy się żyć na lądzie, dostawałbyś zaledwie połowę żołdu. Czy tak? To... w takim razie... być może nie powinnam ci życzyć bezrobocia...

– To, że dostawałbym połowę żołdu, nie ma dla mnie znaczenia. Mam w Plymouth u Brustaina i Cartera odłożoną sporą sumę. Chodzi o to, że ja już teraz, w tej chwili, jeszcze zanim nadejdą święta, chcę wrócić na morze. Tymczasem... mam jeszcze dwa tygodnie urlopu. Całe długie dwa tygodnie...

– Pomyśl jednak, jak bardzo rozczarowana byłaby twoja siostra, gdybyś jej nie odwiedził – powiedziała Mary, cierpiąc na myśl, że on z tak wielką ochotą rozstałby się także i z nią.

– Rozczarowanie mojej siostry szybko minie. Powiedziała mi kiedyś, że przyjeżdżam do niej tylko po to, żeby zaraz wyjechać. Możesz, kuzynko, dać mi moją listę? – zapytał, zmieniając temat i wyciągając do niej rękę.

Wyjęła kartkę z torebki i mu ją podała. Popatrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym uśmiechnął się.

– Zapiekanka pasterska w Everly Pod Orionem; w Quarie, Pod Trąbką, mięso i cynaderki zapiekane w cieście, a we Frampton, Pod Sądem Ostatecznym, baranie ragoût. To wszystko naprawdę brzmi podejrzenie... – dodał spokojnie.

– Tak? – zapytała zdumiona. – A więc ten Clarke był bliski prawdy? Naprawdę kiedyś szpiegowałeś?

– No... w każdym razie miałem do czynienia ze szpiegami – odrzekł wymijająco. – Przewoziliśmy wielu brytyjskich agentów, jednych z nich wysadzając na francuskich brzegach, a innych stamtąd zabierając. I powiem ci, kuzynko, że była to bardzo niebezpieczna zabawa.

Gdy to mówił, w jego oczach pojawił się błysk ożywienia, co jej uświadomiło, jak bardzo mu są potrzebne mocne przeżycia. Takie, które przynieść może tylko wojna. Uświadomiwszy to sobie, Mary z bólem serca zrozumiała, że jako zwykła kobieta nie ma nic do zaoferowania takiemu jak on człowiekowi.

Na tę myśl doznała głębokiego wstrząsu, ponieważ jeszcze do niedawna tam, w ratuszu, była pewna, że on jej potrzebuje, że nie wybroni się przed sądem bez jej pomocy. Spojrzała na jego twarz i stwierdziła, że wygląda zupełnie inaczej niż twarz tamtego wrzuconego do lochu więźnia bez nogi.

– Zamierzałaś, kuzynko, coś mi powiedzieć... – odezwał się kapitan.

– Och, to nic ważnego – odrzekła i zamknęła oczy, pragnąc, by nie pytał dalej i pozwolił jej cierpieć w milczeniu.

Odetchnęła zaraz głęboko i uświadomiła sobie prawdę, która była nader bolesna. Oto ona, Mary Elizabeth Rennie, osiągała powoli wiek staropanieński. Stawała się bezbarwna i nijaka, wkrótce nie będzie się odróżniała od tła, jakie stanowią ściany na Wapping Street, a gdy w końcu umrze, nikt nie będzie pamiętał, że w ogóle żyła. Za kilka lat albo nawet miesięcy, opowiadając jakiejś przyjaciółce o tym, jak się zakochała, zobaczy, że tamta odwraca głowę, by się drwiąco nie roześmiać.

– No, kuzynko Mary, o co chodzi? – zagadnął ponownie Ross.

A Mary w jego tonie dostrzegła coś nowego, jakąś nutę stanowczej perswazji, jakiej dotychczas nie знаła.

Być może, pomyślała, winna mu jestem jakieś wyjaśnienie...

– Chodzi o to – zaczęła – że ty, kuzynie, bardzo pragniesz wrócić na morze, które... po tak wielu latach stało się twoim naturalnym żywiołem.

– Tak, dziewczyno! Masz rację! Potrafisz wyczuć, co kryje się w sercu człowieka.

– Tymczasem ja nie mam ochoty wracać na swój fotel przy kominku na Wapping Street. Edynburg wydaje mi się teraz nudny. Czy tak się dzieje, gdy człowiek przeżyje przygodę? No, w każdym razie – dodała, gdy milczał – w moim przypadku przygoda sprawiła, że nie bardzo wiem, co mam ze sobą zrobić po tym, jak znajdę wreszcie ten uprzykrzony keks.

– Mogłabyś wyemigrować do Kanady – odrzekł jej Ross po dłuższym zastanowieniu.

Cóż... To przypieczętowanie całej sprawy, pomyślała Mary, mimo wszystko nieco ubawiona. Zakochuję się w tym człowieku, a jego to nie interesuje, skoro wysłała mnie aż do Kanady...

– I co miałabym w tej Kanadzie robić?

Ross zastanawiał się nad tym pytaniem tak długo, że Mary doszła do wniosku, że zasnął. Rytmiczne kołysanie karety sprawiło, że i jej powieki zaczęły mimowolnie opadać. Naraz przykrył Nathana swoją peleryną i przesiadł się na jej kanapę.

– Sądzę, że przed niezamężną damą, która wyemigruje, niewiele dróg stoi otworem – oznajmił.

– A mnie się zdaje, że taka dama nie ma przed sobą żadnej drogi – odrzekła. – Może

mogłaby co najwyżej zostać guwernantką, choć... moi krewni uznaliby to za zajęcie niegodne mojej osoby.

– A dlaczego, kuzynko, to, co oni myślą, ma dla ciebie znaczenie?

– No, rzeczywiście... dlaczego... – powtórzyła nieco zaskoczona. – Już wiem – dodała zaraz – popłynę statkiem do Kanady z tabliczką na szyi: „Guwernantka do wynajęcia. Nie boi się Indian ani niedźwiedzi polarnych”. Choć prawda jest taka, że nie spotkałam w życiu Indianina ani niedźwiedzia, więc właściwie nie wiem, czy się ich boję.

Ross uśmiechnął się na to, a ona uświadomiła sobie, jak bardzo będzie jej brakowało tego uśmiechu, gdy się już rozstaną, a ich drogi się rozejdą.

– Sądzę, że wszyscy mamy swoje zmartwienia, kuzynie – powiedziała. – A moje są mniej poważne niż twoje.

– Wątpię w to. Ja jestem przyzwyczajony do tego, że mam do czynienia ze śmiercią – powiedział rzeczowym tonem, ujmując jej dłoń. – A ty, kuzynko, po prostu nie nawykłaś do przygód.

– To prawda.

– Ale powiedz mi, co tak najbardziej chciałabyś w życiu robić?

Nikt nigdy nie zadał jej takiego pytania, nawet rodzice. Przecież była kobietą, której życiowa rola z góry jest wiadoma...

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – zabrzmiała jej odpowiedź.

– Nie! Powiedz prawdę. Każdy się przecież nad tym zastanawia...

– Każdy mężczyzna – poprawiła go spokojnie.

Ujął jej dłoń i pocałował, a potem złożył ją na jej kolanach.

– Jestem osłem – oznajmił.

– Ależ nie – zaprzeczyła. – Gdyby to ode mnie zależało, to chciałabym mieć dzieci – wyznała, czując, że twarz ją zaczyna palić, bo przecież nie był to temat do rozmowy z mężczyzną, nawet z mężem. – Kochałabym je i opiekowałabym się nimi. Żałuję, kuzynie, że nie mogę ci powiedzieć nic ciekawszego.

– Zajmowanie się dziećmi to szlachetne zajęcie. Potwierdzi to każdy malarz i poeta. Ale... jeżeli to twoje życzenie się nie spełni, co wtedy?

Był tak dociekliwy, że zaczynało ją to irytować. Co chciałaby robić? Żyć w spokoju na Wapping Street aż do śmierci? Poruszyła się niespokojnie, pragnąc, by on powrócił na swoją kanapę. Siedzieli zbyt blisko siebie.

Co chciałabym robić? – powtórzyła ponownie w myślach.

– To nie ma właściwie znaczenia – odrzekła, pragnąc obrócić w żart całą tę rozmowę. – Lepiej, kuzynie, zastanów się, co robi teraz ta twoja wysoka blondynka z francuskim akcentem z Karaibów.

– Dama z listy? – zapytał ze śmiechem. – No... może jeżeli ta wojna się kiedykolwiek skończy, powrócę na Martynikę, tam, gdzie można spotkać takie damy. Ale, kuzynko Mary, powiedz mi, co ty będziesz robiła.

– Już wiem – powiedziała, doznawszy nagłego natchnienia. – Zostanę urzędniczką w biurze rachunkowym mojego wuja. Mam zdolności do liczb i rachunków. A potem... kupię sobie własny dom, zapiszę się do biblioteki i... i od czasu do czasu będę chodziła na lunch do pubu... bo lubię kumberlandzką kiełbasę – zakończyła ze śmiechem.

– Czy to naprawdę możliwe? – zapytał, także się śmiejąc.

– Sądzę, że w Edynburgu nie. Zastanawiam się... Czy sądzisz, kuzynie, że jest miejsce dla kogoś takiego jak ja w Stanach Zjednoczonych albo w Kanadzie? Miałabym pewnie też ze dwa kociaki, bo lubię te zwierzęta, ale u nas, na Wapping Street, ich się nie trzyma, bo wuj od

nich kicha... A zresztą... dosyć już tych żartów. Koniec! – powiedziała i odwróciła głowę, pragnąc, żeby pomyślał, że usnęła. W końcu było już dobrze po północy. Zamknęła oczy, dochodząc do wniosku, że nie jest zbyt mądrze myśleć za wiele o niezależności. Zwłaszcza gdy się jest kobietą.

Ross nie sądził, że śpi, ale uszanował jej milczenie. Przez dłuższą chwilę myślał o tym, by przesiąść się na przeciwległą kanapę. Pozostał jednak tam, gdzie był, nie chcąc wprawić Mary w zakłopotanie.

Chociaż... czy o to tylko chodzi? – zastanowił się, po czym odetchnął głęboko, rozkoszując się zapachem goździków.

– Kuzynko Mary – odezwał się jednak, wiedząc, że ona nie śpi – czy twoje włosy pachną goździkami?

Zabrzmiało to głupio, ale chciał zaspokoić ciekawość.

Mary otworzyła oczy, a on zobaczył w nich w pierwszej chwili niewytłumaczalny smutek, który zaraz ustąpił sztucznemu ożywieniu, tak jakby Mary nie chciała, by rozpoznał jej nastrój.

– Tak – odrzekła. – Pani Morison robi balsam do włosów z goździkami.

– Podoba mi się ten zapach.

Na tym, ku jego rozczarowaniu, temat się wyczerpał, po czym Mary odwróciła głowę, zamykając oczy i tym razem naprawdę usnęła. Kiedy jej głowa zaczęła się obijać o ścianę karety, Ross objął ją i przyciągnął do swojej piersi. Odurzona snem Mary otworzyła na chwilę oczy, po czym usiadła wygodniej i wtuliła się w niego. Zapach był teraz wyraźniejszy, a Ross pomyślał, że w przyszłości zawsze już będzie kojarzyć zapach goździków z tą chwilą. A może nawet – jeżeli uda mu się spotkać tę swoją blond damę – zasugeruje, by i ona używała takiego balsamu...

Pomyślał, że dobrze byłoby także się przespać, jednak noga bolała go dokuczliwie po tym, jak popchnął go pomocnik posterunkowego. Przypomniawszy sobie, jakiego doznał wówczas upokorzenia, i poczuł ulgę na myśl, że nie upadł wtedy na plecy, bo w takim przypadku nie mógłby wstać; miotałby się tylko niczym bezradny żółw odwrócony skorupą do dołu.

Naraz mimowolnie zastanowił się, czy Mary, gdyby się kochali, brzydziłaby się jego nagiego ciała, i szybko doszedł do wniosku, że nie. Przecież bez żadnych oporów ubierała go w celi i pomagała mu założyć protezę.

Przestań myśleć o rzeczach nieprzyzwoitych, upomniał się w myślach i postanowił, że po wizycie w Dumfries i odwiezieniu Nathana do pani Pritchert, wpadnie z wizytą do pewnego dyskretnego przybytku, gdzie mężczyźni oddają się grom hazardowym na parterze, a grom miłosnym na piętrze. A potem, uwolniwszy się od przykrego napięcia, powróci na okręt pełen nowej energii. Wiedział, że tak będzie, bo bywał w owym przybytku nie raz. Kobiety, które tam spotykał, nigdy nie narzekały na to, że ma tylko jedną i trzy czwarte nogi.

Spojrzał na tulącą się do niego Mary, na jej długie rzęsy i całą wdzięczną postać i doszedł do wniosku, że gry miłosne na piętrze owego przybytku nie zdołają go chyba zadowolić. Nie interesowały go już chwilowe igraszki – pragnął żony, chciał budzić się i zasypiać u boku kochanej osoby... Codziennie. Oczami wyobraźni zobaczył kobietę podobną do Mary, która leży z nim w łóżku w sypialni, a do ich drzwi dobijają się dzieci, gotowe wskoczyć na posłanie rodziców, by porozrabiać.

Zastanowił się, co stanie się z Mary, jeżeli nie znajdzie sobie męża, co niestety było całkiem prawdopodobne, bowiem ta jego urocza kuzynka była panną bez majątku. Jej krewni, sądząc po dobrze skrojonej i uszytej z dobrego materiału sukni podróżnej, co prawda dbali o nią, lecz z pewnością nie zamierzali jej dać posagu.

Ross przyglądał się teraz Mary uważniej, podczas gdy ona, całkiem odprężona, spała

spokojnie u jego boku. Podziwiał jej piękną cerę, której pozazdrościć mogła niejedna kobieta. Piegi na jej nosku uznał za czarujący szczegół, podobnie jak to, że jej usta nie przypominały jego własnych, nie były typowo szkockie, zaciśnięte, tylko pełne i kuszące.

Tak, Mary Rennie była ładną kobietą i z pewnością gdzieś na świecie żyje mężczyzna, który okaże się nieobojętny na jej wdzięki. Uświadomiwszy to sobie, Ross poczuł nagle, że nie jest w stanie spokojnie usiedzieć; chcąc nie chcąc, zaczął wspominać, kiedy pomagała mu się ubrać i zakładała mu protezę...

Puścił swobodnie wodze wyobraźni. Pomyślał, jak Mary jako jego żona witałaby go po jego powrocie z morza. Jej śmiech dowodził przecież, że – mając zdrowego mężczyznę za ukochanego, potrafiłaby ożywić się i zapalać namiętnością jak każda kobieta. A co do niskiego śmiechu, to cóż, może on wcale nie jest konieczny...

Dobry Boże, miał ją oto przy sobie, obejmował i oddawał się rojeniom niczym naiwny młody żeglarz, który od dobrych pięciu lat przebywa bez przerwy na morzu... Całe szczęście, że ona nie jest w stanie czytać w jego myślach...

Zamknął oczy i zaśmiał się cicho, Mary ocknęła się i spojrzała na niego swymi pięknymi zielonymi oczami, ale zaraz zamknęła je i z westchnieniem, które go do głębi wzruszyło, przytuliła się do niego mocniej.

A on snuł swoje rojenia dalej. Miał nadzieję, że uda mu się kiedyś znaleźć kobietę podobną do Mary. Przeczował jednak, że to szybko nie nastąpi i musi swoje plany odłożyć na przyszłość, bowiem coś mu mówiło, że Elba jest stanowczo za blisko, a piekielny Korsykanin rozpęta jeszcze wojnę, w której on będzie musiał uczestniczyć. Mając taką perspektywę, nie mógł przecież zawracać głowy kobiecie i myśli o małżeństwie należało odłożyć na czas pokoju.

Obserwował przez okienko karety, jak noc przegrywa walkę ze świtem i zaczął sobie nerwowo rozmasowywać kikut. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co robić.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Gdy zbliżali się do celu podróży, Mary od dłuższego czasu zastanawiała się, co sprawiło, że Ross jest w takim złym humorze, bowiem od dobrej godziny rozcierał sobie nogę, nie odzywając się inaczej jak tylko monosylabami.

Kiedy w pewnej chwili zamierzała go ze współczuciem zagadnąć i dowiedzieć się, o co chodzi, mruknął tylko: „będzie śnieg”, tonem tak nieprzyjemnym, że natychmiast zamilkła.

– Papa jest taki, kiedy boli go noga – poinformował ją szeptem Nathan, na co jego papa skrzywił się i przeprosił.

No, a poza tym twój papa, chłopcze, jest bardzo głodny, pomyślała Mary, zastanawiając się, dlaczego kapitan podczas postoju na lunch nie wysiadł z karety. Ponieważ nie zdradzał chęci rozmowy, zajęła się chłopcem, który wciąż jeszcze cieszył się podróżą i nie potrzebował zbyt wiele zachęty, by zacząć opowiadać jej o Plymouth i szkole, do której chodził. Zabawiał ją tak przez jakiś czas, a potem ona opowiedziała mu o Edynburgu, opisując dokładnie główną część tego miasta.

Gdy próbowała wciągnąć do rozmowy kapitana, pytając, czy ma swoje ulubione miasto, ten milczał przez chwilę, masując kikut, a potem usiadł wygodniej i popatrzył na syna.

– Oporto. Tak, Oporto. Dobry port. Piękne kobiety – burknął, po czym znów zaczął sobie rozcierać nogę, wpatrując się w widoki za oknem.

Biedny człowiek, powiedziała sobie w duchu Mary. Myśli o żonie, z którą spędził tak mało czasu. Muszę być wyrozumiała. Nie wolno mi zwracać uwagi na jego humory.

Znowu zajęła się Nathanem, który z właściwą bystrym dzieciom ciekawością pytał ją o jej życie w Edynburgu. Opowiedziała mu więc o pani Morison, kucharce w domu wujostwa i swej powiernicy, i uświadomiła sobie, że w domu na Wapping Street czuje się lepiej w pomieszczeniach dla służby niż na pokojach. Spojrzała na kapitana, mając nadzieję, że ten nie słucha. Nie chciała bowiem, by słysząc o tak nieciekawym życiu, zaczął się nad nią litować. On jednak ku jej przerażeniu przestał masować nogę i przybrał zamyślony wyraz twarzy.

– Wiesz, Nathanie – powiedziała wtedy – twój papa uznałby pewnie moje życie za niezmiernie nudne, jednak ono nie jest takie złe i je lubię.

To rzekłszy, zajęła się robótką. Nie chciał dać po sobie poznać, jaką przykrością napawa ją myśl o głupiutkiej Dinie, która wyjdzie niebawem za mąż i urodzi dzieci, a ona sama będzie nadal skazana na jałową egzystencję. Gdy poczuła, że łzy napływają jej do oczu, kareta skręciła w Apollo Street.

Westchnęła, by zapanować nad głosem, i oznajmiła.

– Apollo Street, numer piętnaście.

Zaraz przyszło jej do głowy, że zachowuje się jak ciotka, znana wśród rodziny z tego, że stwierdza rzeczy oczywiste.

Spojrzała na swych towarzyszy podróży. Nathan, ożywiony, zdradzał zainteresowanie, a jego ojciec – bynajmniej. Kapitan siedział z założonymi na piersi rękami i milczał. Gdy kareta zatrzymała się i foryś otworzył drzwiczki, Mary postanowiła, że czas się rozstać.

Najpierw wyciągnęła rękę do Nathana.

– Kochany chłopcze, była to dla mnie przyjemność – powiedziała, nie zwracając uwagi na to, że chłopiec patrzy na nią pytająco.

Następnie podała rękę kapitanowi.

– Ciebie też żegnam, kuzynie. I cieszę się, że cię poznałam. Odtąd poradzę już sobie

sama. Zabiorę swoją torbę podróżną, a wy będziecie mogli pojechać dalej. Wielkie dzięki za pomoc. Poznanie was obu sprawiło mi radość. I pomyśleć – dodała jeszcze ze śmiechem – że gdyby nasi przodkowie żyli ze sobą w zgodzie, spotkalibyśmy się na jakimś rodzinnym zjeździe.

Kapitan jednak zachował powagę.

– Czy ty, kuzynko, nas porzucasz? – zapytał.

– Jesteśmy w Yorku – przypomniała mu. – U celu mojej podróży. A ja... już i tak za bardzo was wykorzystałam.

Wysiadła z karety z pomocą forysia i poprosiła o swój bagaż, ale gdy chciała zamknąć drzwiczki, kapitan je przytrzymał.

– Nie tak prędko, kuzynko. Nie po to odbyłem długą podróż, żeby teraz zostać pozbawiony przyjemności oglądania pierścionka w cieście – oświadczył dobitnie i zdecydowanie.

Mary jednak postanowiła nie ustępować. Uśmiechnęła się do forysia, gdy ten wręczył jej torbę, po czym powiedziała:

– Ten pierścionek jest bardzo mały. To... naprawdę nic ciekawego. A wy powinniście już jechać. Twoja siostra, kuzynie, zapewne się zastanawia, gdzie jesteście.

– To niech się zastanawia dalej. – Kapitan wzruszył ramionami. – A ty, kuzynko, zapewne po tym, jak odzyskasz pierścionek, udasz się pieszo na poszukiwanie noclegu?

– Tak – zapewniła go. – Tak przecież postępowałam, szukając poprzednich trzech keksów – dodała i ruszyła ku frontowym drzwiom domu.

Kapitan jednak przytrzymał ją za ramię, delikatnie, że z łatwością mogła uwolnić się od jego uścisku. Nie zrobiła tego jednak, bo patrzył na nich Nathan.

– Chcę zobaczyć ten pierścionek – powtórzył z uporem kapitan, po czym puścił jej rękę i się cofnął.

Mary podeszła do drzwi i zapukała. W następnej chwili miała obok siebie Nathana, a za sobą, na niższym stopniu, kapitana Renniego.

– Boże, ależ oni są nieznośni – mruknęła do siebie i podniosła rękę, by zapukać ponownie.

Drzwi otworzyły się jednak, zanim to zrobiła, a na progu pojawił się bardzo wiekowy kamerdyner, który na jej widok powiedział rozpromieniony:

– Och, to wprost niemożliwe! Czy mam przed sobą pannę Ellę Bruce z Carlisle, o której mój pan od tylu lat śni i marzy?

– Nazywam się Mary Rennie – odrzekła mu na to. – I przyjechałam tutaj w sprawie keksu.

Staruszek chwycił ją za rękę i wciągnął do środka. Po czym, spojrzawszy na Nathana i kapitana, zapytał:

– Czy pani zna tych panów?

Zanim Mary zdążyła odpowiedzieć, Ross wprowadził Nathana do środka i zamknął drzwi za sobą.

– Wszyscy troje nazywamy się Rennie – oznajmił, patrząc na Mary tak groźnie, że nie odważyła się zaprotestować.

– Co tu się dzieje, Reading?

Te słowa padły z ust pana domu, który pojawił się w holu, a kamerdyner, gestykulując gwałtownie, zawołał:

– Moim zdaniem, proszę pana, to jest panna Ella Bruce! Przyjechała z Carlisle, o czym pan przecież od długich lat raczył śnić i marzyć. Więc teraz, proszę państwa, przyda się jemiola!

– Och nie, ja... – zaczęła Mary i zamilkła, a pan Tavish Maxfield zwrócił się stanowczym

tonem do kamerdynera:

– Reading, weź, proszę, od państwa okrycia, a potem podaj w salonie herbatę.

Gdy starszek wykonał pierwsze polecenie i udał się do kuchni, gospodarz odchrząknął.

– Moi drodzy państwo – powiedział – zapraszam do salonu. Wytłumaczę państwu zachowanie Readinga, a wy, mam nadzieję, powiecie mi coś więcej o tym keksie. Szanowna pani, proszę pozwolić...

Weszli teraz do pokoju, który był typowym pokojem starego kawalera. Na wszystkich krzesłach, a także na gzymsie kominka i na parapetach leżały książki.

Kapitan Rennie, rozbawiony, dał znak Nathanowi, który szybko usunął książki i rękopisy z kanap i foteli, a pan Maxfield z aprobatą kiwnął na to głową.

– Grzeczny chłopiec – pochwalił chłopca. – Proszę, usiądźcie, moi kochani. Musicie wiedzieć, że drogi Reading jest moim sługą od czasu, gdy byłem zaledwie wyrostkiem. Teraz ma już swoje lata i buja nieraz w obłokach. Jest na przykład przeświadczony, że obaj, on i ja, jesteśmy o trzydzieści lat młodszy.

– Zdarza się – odezwał się kapitan Rennie.

– Ale nie wśród ludzi wykonujących pański zawód – zauważył pan Maxfield.

– Rzeczywiście. Dzięki mojemu chle... to znaczy dzięki Napoleonowi kariera rzadko którego kapitana trwa trzydzieści lat. No i powiem jeszcze panu, że rzadko któremu udaje się zachować w całości wszystkie części ciała – dodał, klepiąc się po drewnianej nodze.

– No cóż – westchnął Maxfield – trzeba stwierdzić, że co do zaawansowanego wieku, to ten, gdy przychodzi, zawsze nas zaskakuje... Ale wróćmy do keksu. Otóż powiem państwu, że od czasu gdy nadeszła pocztą paczka z tym ciastem, a także z tym zaskakującym listem, w tym domu ciągle mówi się o panie Bruce.

Tu pan Maxfield usiadł wygodniej, łącząc koniuszki palców obu dłoni, gestem charakterystycznym dla prawników.

– No, a teraz – dodał – proszę mi wyjaśnić, jaką to intrygę uknuł Malcolm Barraclough, ten głupiutki siostrzeniec Elli, który, jak się domyślam, ma serce sfrustrowanego romantyka...

Kapitan czekał, aż odezwie się Mary, lecz ona milczała, najwyraźniej zdziwiona, że starszy pan z taką łatwością domyślił się, komu zawdzięcza świąteczny prezent. Zatem Ross postanowił przemówić jako pierwszy.

– My, proszę pana – zwrócił się do Maxfielda – chcemy odzyskać to świąteczne ciasto. To znaczy ten keks, który siostrzeniec panny Bruce przysłał panu w jej imieniu. Wraz z liścikiem, który sam napisał, w nadziei, że pan...

– On to zrobił ze szczerego serca – wpadła kapitanowi w słowo Mary. – Powiedział nam, że pan zakochał się w panie Bruce kilka lat temu. No... może więcej niż kilka... I że był pan zbyt nieśmiały...

Mary przerwała, a Ross, po uroczym rumieńcu, który pojawił się na jej twarzy, poznał, że i ona jest nieśmiała. Zebrał się na odwagę, ujął jej dłoń, a w następnej chwili, gdy poczuł, że ona odpowiada mu uściskiem dłoni, ogarnęła go radość.

– Ten młody nicpoń myślał, że wysyłając panu list rzekomo od panny Bruce, sprawi, że pan zbierze się na odwagę i... – zaczął wyjaśniać, lecz nie dokończył, bo włączyła się Mary:

– Nawet po tylu latach, proszę pana – powiedziała – nie jest zbyt późno na miłość...

Nie dokończyła i zarumieniła się jeszcze silniej, a Ross pomyślał, że nigdy dotąd, podczas ich krótkiej znajomości, nie wyglądała bardziej uroczo.

Mam nadzieję, że jakiś mężczyzna wreszcie dobrze się jej przyjrzy – pomyślał z zachwytem. – I doceni jej urodę.

Wtedy poczuł, że ona lekko ściska jego dłoń, jakby zachęcając do przejęcia ciężaru

konwersacji. Nie chcąc jej zawieść, odezwał się znowu:

– Krótko mówiąc, proszę pana, siostrzenic panny Bruce, kiedy doszedł do wniosku, że zbyt wiele lat patrzy, jak jego ciotka się męczy, zabawił się w swata. No i... co pan, proszę pana, planuje zrobić w tej sprawie? – wypalił w końcu, przybierając mimo woli ton, jakim na okręcie zwracał się do nierozgarniętych aspirantów, patrząc jednak na Maxfielda tak łagodnie, jak nigdy nie patrzył na żadnego ze swoich podkomendnych. W tym samym momencie położył sobie dłoń Mary na udzie.

Inez to lubiła, pomyślał i poczuł, że Mary lekko drgnęła. Nie cofnęła jednak dłoni.

Tymczasem Maxfield, czerwony na twarzy, rozglądał się po własnym salonie tak, jakby widział go po raz pierwszy. I nic nie mówił.

Tym razem Mary przejęła inicjatywę. Pochyliła się do przodu i wolną ręką dotknęła rękawa starszego pana. Ross zdawał sobie sprawę, że mogła wykorzystać ten moment, żeby zdjąć drugą rękę z jego uda, jednak tego nie uczyniła.

– Proszę pana bardzo – zwróciła się do Maxfielda – niech pan się nad tym zastanowi. Siostrzeniec panny Bruce działał ze szczerego serca. Jest na świecie kobieta, która pana kocha... No, a pan co...? Pan się przez tyle lat ociąga...

No, no! Co za kobieta! Ross patrzył na Mary z zachwytem, widział, jak drżą jej usta, i doszedł do wniosku, że sama słynna aktorka Sarah Siddons mogłaby brać lekcje u jego słodkiej kuzynki. Przyglądał jej się, zastanawiając, czy mówi szczerze, i w pewnej chwili wyjął z kieszeni munduru chusteczkę do nosa. Gdy już ją jej podał, usiadł wygodniej, by patrzeć, jak ta czarodziejka, Mary Rennie, dokonuje swych cudów.

– Pan Barraclough – kontynuowała – mówił nam, że panna Ella Bruce co roku w okresie Bożego Narodzenia bardzo cierpi. Wiesza jemiolę, chodzi po domu smutna, pogrążona w melancholii. A potem wyjeżdża do Stirling. Moim zdaniem wszystko to ma coś wspólnego z panem.

Nie trzeba było długo czekać, by pan Maxfield – który okazał się nie bardziej odporny na prośby osoby tak uroczej jak Mary niż sir Henry Pontifract – otworzył swoje serce.

– Proszę mi pozwolić się wytłumaczyć – zaczął, lecz w tej samej chwili do salonu wszedł wiekowy kamerdyner, niosąc wyraźnie zbyt ciężką dla siebie tacę.

Ross kiwnął głową w stronę Nathana, a ten natychmiast zerwał się, by pomóc starszemu. Gdy taca już znalazła się na stole, a Reading został odprawiony, Maxfield poprosił Mary, żeby nalala herbatę.

– No więc, proszę pana – zwróciła się do gospodarza, gdy wszyscy już trzymali filiżanki i mieli chleb z masłem w zasięgu ręki.

– Jestem taki niski – oznajmił po prostu pan Maxfield, a potem opowiedział im, jaki czuł się upokorzony w latach młodości, gdy w Carlisle był sąsiadem panny Elli Bruce.

Elli, która – sądząc po sposobie, w jaki o niej mówił – była ósmym cudem świata, osobą nie tylko piękną, ale także mądrą i obdarzoną dobrym charakterem. Tak doskonałą, że Ross się bardzo zdziwił, dlaczego dożyła w panieństwie tak sędziwego wieku.

– Jak więc mogłem zrobić wrażenie na kimś takim? – zakończył prawnik, kręcąc głową. – Nie udało mi się to, choć wiele razy bardzo chciałem zacząć z nią rozmawiać o rzeczach znacznie istotniejszych niż te, o których gawędzi się niezobowiązująco z sąsiadami. Ale nigdy nie starczyło mi odwagi.

– A pod jemiolę? Nie zdobył się pan na jakiś zdecydowany krok nawet wtedy? – zapytała Mary.

Maxfield westchnął ciężko.

– Co do jemioli... – powiedział – ...to ostatni raz widziałem pannę Bruce pod nią

trzydzieści lat temu. Stała tam sama, jednak ja nie znalazłem w sobie dość śmiałości, by ją pocałować. To ten brak odwagi – dodał, uderzając się dłonią w kolano.

– Panna Bruce nie wyszła za mąż – poinformowała go Mary. – No, ale każdy wie, proszę pana, że damom nie wypada w tych sprawach wykazywać inicjatywy.

Zostało to powiedziane łagodnie i cicho, a Rossowi wydało się, że w słowach Mary rozebrzmiała nutka szczerego żalu. W chwilę później poczuł, że lekko ściska jego udo, i zrozumiał, że teraz jego kolej.

– Jej siostrzeniec – odezwał się zatem – opowiedział nam, ile listów panna Bruce napisała przez te wszystkie lata... Listów, które potem zawsze darła na drobne kawałeczki...

Było to oczywiście wielkie kłamstwo. Kłamstwo takie, jakiego Ross nie wypowiedział od czasu, gdy był ośmioletnim chłopcem. Ale odniosło pożądany skutek. Pan Maxfield bowiem wziął od Mary chusteczkę do nosa i zbliżył ją do oczu.

– Czy ona... – zapytał – ...czy gdy jej siostrzeniec wysyłał ten list, ona była w Stirling?

– Tak, u siostry – powiedziała Mary. – Której adresu, niestety, nie znam.

– Ja znam ten adres – powiedział pan Maxfield.

– A zatem? – zapytała Mary głosem łagodnym i cichym.

– Pojadę do Stirling jutro rano! – oznajmił pan Maxfield. – Zbierałem się, by to zrobić od chwili, gdy otrzymałem paczkę z keksem i tym rzekomym liścikiem Elli. Jednak to dopiero pani sprawiła, że podjąłem mocne postanowienie – powiedział do Mary, po czym przeniósł wzrok na kapitana. – A pan, panie kapitanie – zwrócił się do niego tonem surowym – zapewne nie ma pojęcia, jakiego skarbu jest pan posiadaczem, mając taką żonę.

– Przyznaję się do winy, jak każdy mąż – odrzekł pospiesznie Ross. – Moja Mary mnie toleruje tylko dlatego, że jestem tak często na morzu.

Nie mógł się powstrzymać, spojrział na nią z ukosa, a gdy ona odwróciła głowę, zobaczył, że się zarumieniła po cebulki włosów.

– Ale... proszę pana – odezwał się nagle Nathan ku zaskoczeniu ojca, który myślał, że jego syn, zajęty pałaszowaniem chleba z masłem, nie słyszy, o czym jest mowa. – Gdzie jest keks?

– Właśnie! – zawołała Mary. – Gdzie? Bo widzi pan, moja ciotka wysłała mnie, bym odzyskała cztery keksy, które rozesłała krewnym i przyjaciołom, bowiem zorientowała się, że przygotowano je z niezbyt świeżych składników – dodała, wygładzając nerwowo spódnice. – To jest prawdziwy powód, dla którego tu się zjawiliśmy...

– A ja myślałem, że pani wyjechała na spotkanie męża, by go prędzej zobaczyć – wyznał pan Maxfield.

Aha, pomyślał Ross rozbawiony, tłumacz się teraz, dziewczyno!

– To znaczy... ja... razem z Nathanem – zaczęła się płatać Mary – mieliśmy po drodze. Ale... wyszło tak, że najpierw... jak pan widzi... spotkaliśmy kapitana – zakończyła, a Ross ze zdumieniem stwierdził, że sama przesuwa dłoń w górę po jego udzie, i zaczął się pocić.

– Więc ten keks jest gdzie indziej? Gdzieś w mieście? – zapytał, pragnąc jeszcze przez jeden dzień albo dwa przebywać w towarzystwie Mary.

Wszyscy troje spojrzeli teraz na starszego pana, który gwałtownym gestem wyrzucił ręce w górę.

– Ja ten keks – powiedział – nie dawniej jak wczoraj wysłałem jednemu z moich przyjaciół, który mieszka w Knaresborough. Drogi chłopcze – dodał jeszcze, dotykając kolana Nathana – ludzie tak naprawdę nie jadają tych świątecznych keksów.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

No to koniec, pomyślała Mary, słysząc, że kapitan jęknął i zaklął tak siarczyście jak prawdopodobnie na pokładzie zwykli kląć marynarze. Nasza podróż kończy się tutaj. Ten człowiek ma już mnie razem z moją misją kompletnie dosyć.

Cofnęła dłoń z jego uda i poczuła, że – choć w pokoju nie jest gorąco – oblewa się potem.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział szybko kapitan, najwidoczniej zawstydzony. – Chodzi o to, że... A więc Knaresborough, mówi pan? A tak z ciekawości: dlaczego pan tego keksu po prostu nie wyrzucił?

– Ależ, proszę pana! – zawołał Maxfield oburzony. – Przecież, sądząc po akcencie, jesteśmy tu wszyscy z wyjątkiem Nathana Szkotami! A który Szkot wyrzuciłby jedzenie? Ja w każdym razie nigdy bym tego nie zrobił. Posłałem zatem keks dalej.

Mary spojrzała na kapitana, a ten przez chwilę się powstrzymywał, ale w następnej chwili wybuchnął śmiechem.

– Litości! – zawołał w końcu, ocierając łzy płynące z oczu. – Kochana Mary, to teraz już wiemy, dlaczego nikt nie wciągnął keksu na moją listę!

Pan Maxfield, słysząc to, popatrzył na nich zaskoczony, co sprawiło, że jedno przez drugie zaczęli mu udzielać wyjaśnień. Mówili o liście potraw, o tym, co robili w Skowcroft, a także o okropnej przygodzie, która ich spotkała w Owenshine. Trwało to długo, aż do chwili, gdy zaczęło się ściemniać i gdy Mary postanowiła wrócić do sedna sprawy.

– Komu pan wysłał keks, proszę pana? – zapytała.

– Bartemusowi Whitneyowi, który mieszka przy Corydon Circle numer dwadzieścia pięć – odrzekł Maxfield. – Ma firmę importowo-eksportową – dodał ze śmiechem. – Więc może wyśle wasz keks na Elbę, do Napoleona!

– Mam nadzieję, że nie – stwierdziła Mary i poczuła się nagle tą przygodą naprawdę zmęczona. – Nie podoba mi się myśl o podróży morskiej. Chcę odzyskać keks... ale nie znam Anglii. Więc... czy może mi pan powiedzieć, jak daleko stąd znajduje się Knaresborough?

– Ja żartowałem, proszę pani – odrzekł jej na to Maxfield. – A Knaresborough jest niedaleko, zaledwie o piętnaście mil stąd. Mógłbym Bartemusowi posłać liścik z prośbą, by keks wyrzucił i...

– Och, nie! – zawołała Mary. – To znaczy... jadąc do Szkocji, będziemy mieli Knaresborough po drodze. Czy tak, Ross?

– Tak, kochanie.

– Więc odzyskamy ciasto, przejeżdżając przez miasto – zapewniła Mary. – Nie ma nic prostszego. Nie musi pan pisać do pana Whitneya.

– No dobrze, zgadzam się. Knaresborough będą państwo mieli po drodze. Ale nalegam, żebyście u mnie zanoowali, bo jest już prawie ciemno.

– Ależ nie, dziękujemy. Nie możemy nadużywać pańskiej gościnności – odrzekła Mary, patrząc na Rossa i czekając, by ją poparł. – Prawda, kochanie?

– Oczywiście – poparł ją Ross. – Przecież pan nas prawie nie zna. A poza tym – dodał, wyjmując z kieszeni listę potraw złożoną we czworo – w Yorku, przy Hinckley Street jest gospoda Pod Rozmodloną Dziewicą, gdzie podają kaczkę à l'orange. Przenocujemy tam i pojedziemy do Knaresborough jutro rano.

Po tych słowach Ross skłonił się przed panem Maxfieldem, objął Mary ciasno w pasie i dodał jeszcze:

– Powodzenia z panną Bruce, proszę pana. Ufam, że ułoży się panu z nią tak dobrze, jak mnie układa się z moją żoneczką.

Mary, czując ciepło jego dłoni, która zsunęła się z jej talii w dół nieco za daleko, uśmiechnęła się do pana Maxfielda, życzyła mu wesołych świąt i wraz ze swymi mężczyznami wyszła do holu, gdzie już czekał Reading z okryciami.

– Poszukajmy teraz tej Rozmodlonej Dziewicy – powiedział kapitan do forysia, gdy ten pomagał im wsiąść do karety wśród padającego drobnego śniegu.

– Ależ, kapitanie – próbowała zaprotestować Mary. – Nie jesteście mi nic winni, nie musicie już się mną opiekować – mówiła dalej, gdy karetka ruszyła. – Nigdy przecież nie było mowy o tym, że pojedziecie ze mną do Knaresborough.

– Nathanie – zwrócił się kapitan do syna – ona nie chce nas więcej znać.

– Ależ nie, wcale tak nie jest. Nathanie, ja ciebie bardzo lubię. Tylko widzisz, cel waszej podróży różni się od mojego.

– To prawda – przyznał chłopiec, kiwając głową. – Jednak gdybym był sam, nie wyciągnąłbym wczoraj w nocy papy z więzienia – dodał zaraz, a następnie pochylił się w jej stronę i szeptem: – I myślę, że on bez ciebie nie odwiedziłby państwa Everettów.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – odrzekła, również szeptem. – Ale wy powinniście już być w Dumfries.

– Czy to prawda, papo?

Kapitan pokręcił głową, po czym wyciągnął znowu listę i powiodł palcem po papierze.

– Aha! – zawołał. – Rożki z jabłkami w gospodzie Pod Królewskim Herbem w Knaresborough. To jest argument decydujący. A poza tym, panno Rennie, Knaresborough jest nam po drodze.

Mary musiała przyznać, że kaczka à l'orange Pod Rozmodloną Dziewicą okazała się znacznie smaczniejsza niż cokolwiek, co jadła w życiu. W jaki sposób kucharz sprawił, że okazała się zarówno soczysta, jak i chrupiąca, było wyłącznie jego tajemnicą. Mary nie trzeba było namawiać, by skosztowała mocnego ciemnego piwa, które było drugą specjalnością tej gospody. Wypiła tyle, że zaczęła się śmiać z kołyszącego się na wietrze szyldu przedstawiającego starą kobietę klęczącą obok łóżka, spod którego wyglądał mężczyzna.

Godzinę później Mary odprowadziła Nathana na pierwsze piętro do sypialni, którą chłopiec dzielił z ojcem. Nie było tu skandeli, więc Nathan bez trudu skłonił ją, żeby się położyła i ogrzała mu łóżko oraz przed snem poczytała mu Kronikę Marynarki Wojennej, gdyż działała na niego usypiająco.

Kiedy chłopiec zapadł w sen, pocałowała go w czoło i otuliła kołdrą, bo w pokoju było bardzo zimno.

Zanim wyszła, spojrzała na listę potraw kapitana, którą zostawił na komodzie, i przekonała się, że na tej liście nie ma żadnych rożków z jabłkami ani gospody Pod Królewskim Herbem. Gdy to do niej dotarło, poczuła okropne wyrzuty sumienia. Oto Ross marnował z jej powodu swój urlop, a ona, choć przeciwko temu protestowała, nie mogła nic na to poradzić.

Postanowiła jednak, że zdecydowanie położy kres ich wspólnej podróży.

Łóżko znajdujące się piętro wyżej w jej ciasnej sypialni było tak lodowate, jak przewidywała. Położywszy się, przypomniała sobie, jak w Skowcroft przez godzinę leżała z kapitanem i jak jej wtedy było dobrze i rozkosznie ciepło. Na miłość boską, Mary, przestań, skarciła w duchu samą siebie. Myśl o czymś innym!

Żeby odwrócić uwagę od tego wspomnienia, pomyślała zatem o Stanach Zjednoczonych, zastanawiając się, czy ten młody kraj zaferowałby posadę kobiecie, która ma wystarczające kwalifikacje, by być księgową i chętnie się uczy. Miała pewną sumkę ze spadku po ojcu, którą

wuj Samuel umieścił w banku. Możliwe, że do przyszłego roku wzrośnie ona o tyle, że wystarczy na bilet na statek...

Tak rozmyślając, zamknęła oczy i w końcu zasnęła.

Kiedy się obudziła, niebo jeszcze nie zaczynało się rozjaśniać. Kilka minut wystarczyło jej na umycie się i ubranie, a także na napisanie liściku, który wsunęła przez szparę pod drzwiami znajdującej się piętro niżej sypialni. Dziękowała w nim ojcu i synowi za opiekę, zapewniała, że jadąc do Knaresborough, poradzi sobie sama, i życzyła im wesołych świąt.

Na dole było ciemno, więc nie musiała nic wyjaśniać gospodarzowi. Wiedziała, że dylizans ma stację przy Edgecombe Street, o dwie ulice od Rozmodlonej Dziewicy. Śnieg wciąż padał, ale jej torba podróżna była lekka, więc Mary szybko dotarła do stacji i – zdążywszy jeszcze zjeść bułkę i wypić herbatę w pubie – wyruszyła w podróż o świcie.

Knaresborough nie było zbyt daleko, a więc przy odrobinie szczęścia – zakończywszy swoją misję – wyruszy na drugi dzień w dalszą drogę do Edynburga. Z przykrością myślała o rozczarowaniu Nathana i wiedziała przy tym, że chłopiec będzie poruszony jej zniknięciem bardziej niż jego ojciec. Który kompletnie zapomni o całej tej historii, nim nadejdzie wiosna.

Dylizans wyjeżdżał z miasta, gdy słońce wychylało się zza potężnej sylwetki katedry. Mary, siedząc w dylizansie, uświadomiła sobie, jak bardzo będzie jej brakowało kapitana i jego syna. Rożki z jabłkami? Gdzie? Pod Królewskim Herbem? Takie miejsce nie istniało. A niech go razem z tą jego listą! – pomyślała ze złością.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

– Papo, ona zwała!

Słowa Nathana obudziły Rossa, który, otworzywszy oczy, zobaczył, że stoi obok ich wspólnego łóżka w nocnej koszuli, a po jego policzkach płyną łzy. Nie powiedział nic więcej, płakał w milczeniu, a kiedy Ross, zapraszającym gestem podniósł kołdrę, z ciężkim westchnieniem wsunął się pod nią.

– Skąd wiesz, że jej nie ma? – zapytał Ross, dłonią ocierając chłopcu oczy. – Przecież nie poszedłeś na górny pokład... to znaczy na piętro... w samej koszuli?

– Było jeszcze ciemno – odrzekł Nathan. – Więc nikt mnie nie widział. Ja po prostu... czułem, że jej tam nie ma... Zajrzałem do środka... i... jej nie było.

– I co teraz zrobimy, synu?

– Pojedziemy za nią do Knaresborough.

– Ale ona dała nam jasno do zrozumienia, że tego nie chce.

– A ty, papo? – powiedział Nathan błagalnym tonem. – Czy ty... też tego nie chcesz? Prawda była taka, że Ross tego chciał.

– Dobrze – zgodził się. – Pojedziemy za nią. Ale... ona pomyśli, że jej się naprzykrzamy.

– Nie pomyśli – zaprzeczył chłopiec. – Bo mnie lubi.

– Oczywiście, że cię lubi – zgodził się Ross i został nagrodzony promiennym uśmiechem.

Wyruszyli w pogoń za dylizansem i z początku wydawało się, że go z łatwością dościgną. Jednak gdy pogoda się pogorszyła, musieli zwolnić. Rozbawiony, lecz trochę zirytowany tym, że postąpił zgodnie z życzeniem syna, Ross patrzył przez okno na okryty białym puchem świat, który ich otaczał. Przypomniawszy sobie, jak patrolował wody Arktyki, trzymając w szachu Duńczyków, ówczesnych sprzymierzeńców Napoleona. Przypomniawszy sobie śnieg na pokładzie i majtków, którzy po skończonej służbie obrzucali się śnieżkami.

– Czy pani Pritchert pozwala wam się bawić w śnieżki? – zapytał Nathana.

Chłopiec pokręcił głową.

– Mówi, że możemy się nawzajem pozabijać, a moja śmierć byłaby dla ciebie, papo, rozczarowaniem.

– A czy kiedykolwiek lepiłeś bałwana?

– Jeszcze nie – odrzekł Nathan z radosnym uśmiechem.

– Skoro mówisz, że jeszcze nie, to jesteś optymistą.

– Może... – powiedział Nathan po chwili zastanowienia. – Tylko... A kim jest optymistą?

– To ktoś, kto w każdej sytuacji znajduje dobre strony.

Chłopiec ponownie się zastanowił, a potem powiedział:

– Więc... myślę, że tak, że jestem optymistą. A w każdym razie... po prostu wiem, że Mary na pewno się ucieszy ze spotkania z nami.

Jechali coraz wolniej, zatrzymując się co chwila w głębokich zaspach.

– Jak daleko jesteśmy od dylizansu? – zawołał Ross do forysia, a ten wskazał przed siebie ciemny punkt.

Ross wysiadł z karety i w śnieżnej zadymie dostrzegł znajomą sylwetę dylizansu, ledwie widoczną i nieruchomą.

– Nathanie – oznajmił, wróciwszy do karety – spełniło się twoje życzenie. Spójrz tylko, synu!

Chłopiec ku jego zaskoczeniu wyskoczył z karety i podbiegł do dylizansu, wołając Mary

po imieniu.

Mary tymczasem otworzyła drzwiczki dyliżansu i ledwie woźnica zdążył wysunąć stopień, już z niego wysiadała. Ross zobaczył parę ładnych kobiecych kostek, które miał już okazję podziwiać, a w następnej chwili jego syn obejmował Mary mocno w talii.

Ross nie był pewien, co ona teraz robi, zaraz jednak doznał prawdziwej ulgi, gdy się głośno roześmiała, uściskała Nathana i pochyliła się, dotykając czołem jego czoła. Mały łobuziak pocałował ją w policzek, a następnie poprowadził przez coraz głębszy śnieg do karety.

Ross wiedział, co ona zaraz powie, i nie rozczarowała go.

– Panie kapitanie – zwróciła się do niego – na pańskiej liście nie ma Knaresborough ani rożków z jabłkami. A pan dla mnie marnuje cenny czas swego urlopu.

– Mój syn się uparł...

– A pan, panie kapitanie, pewnie tego nie chciał. Mam rację? – zapytała i zapewniła: – Mam sytuację pod kontrolą. Ale... – dodała, widząc uśmiech kapitana – ...nie wierzysz mi, kuzynie.

– Mówiłem poważnie o tym, że chcę zobaczyć ten pierścionek – oznajmił zdecydowanie.

– Więc dobrze – wyraziła zgodę nieco nadąsana, co uznał za sygnał pozwalający polecić forysiovi przenieść jej bagaż z dyliżansu do karety.

– Gotowe – oznajmił chłopak, gdy to już się stało.

Jednak Mary i Nathan go nie słyszeli. Wspólnymi siłami toczyli już wielką śniegową kulę mającą stać się dolną połową bałwana. Zaraz też przyłączyła się do nich mała dziewczynka, która wraz z matką stała obok dyliżansu i którą Mary przywołała gestem, a także kilkoro dzieci zagrodnika, którego domek znajdował się przy drodze.

Widząc to wszystko, Ross nie mógł się powstrzymać. Ulepił śnieżną kulę i cisnął nią w Mary. Kula trafiła ją w pośladek, a ona odwróciła się błyskawicznie i nie pozostała dłużna Rossowi. Powinien był się dobrze zastanowić, zanim rozpoczął bitwę na śnieżki, bo po jej stronie stanęła grupka małych sprzymierzeńców. Po chwili kapitan był cały obsypany śniegiem i wyglądał tak jak forysie. Po zwycięstwie Mary ogłosiła rozejm i wraz z dziećmi wróciła do lepienia bałwana. Ross zaś otrzepał ze śniegu pelerynę i zaniósł do karety swój kapitański kapelusz.

– Przepraszam, panie kapitanie.

Ross się obejrzał i zobaczył obu przemarzniętych forysiów.

– Nie ruszamy z miejsca? – zapytał domyślnie.

– Dziś już nie – odrzekł starszy z forysiów, po czym dodał, wskazując domek zagrodnika: – Powinniście państwo przenocować tutaj.

Ross poszedł za jego radą i omówił sprawę z wieśniakiem, płacąc mu za nocleg ich trojga sumę, jakiej ten biedak prawdopodobnie nie widział nigdy w życiu, po czym dodał jeszcze kilka monet, opłacając miejsce do spania dla obu forysiów.

Mary przyjęła wiadomość o zmianie planów podróży ze spokojem, który Ross coraz bardziej u niej cenił.

– Czy sądzicie, że dyliżans pojedzie dalej? – zapytała forysia.

– Pewnie będzie próbował, proszę pani, ale wątpię, czy zajedzie daleko. Po mojemu, jeżeli ruszy, to po dziesięciu minutach utknie w śniegu – powiedział, po czym zwrócił się do Rossa: – Wielkie dzięki, panie kapitanie, za to, że nie kazał nam pan jechać w taką śnieżycę.

– Tak będzie lepiej – powiedział Ross. – Knaresborough może zaczekać.

Rzeczywiście, Knaresborough mogło czekać, a jemu podobała się myśl o spędzeniu jeszcze jednego wieczoru z Mary. Odprowadzał ją właśnie wzrokiem, kiedy szła w stronę bałwana. Jej dłoń spoczywała na ramieniu Nathana, a chłopiec opasywał jej kibić. Ross aż

wstrzymał oddech z zachwytu, gdy w chwilę później Mary się pochyliła i pocałowała chłopca w czubek głowy, a on opasał ją obiema rękami i przez moment po prostu stali przytuleni do siebie pośród padającego śniegu.

Starając się nie robić tego zbyt ostentacyjnie, Ross obserwował Mary podczas skromnego posiłku, którym ich poczęstowano w domku zagrodnika. Kuchnia była bardzo mała, ale żona gospodarza i Mary, śmiejąc się i żartując, doskonale się w niej pomieściły i przygotowały razem kolację. Dzięki czemu na stół wjechał spory garnek cebulowo-ziemniaczanej zupy.

Patrząc na Mary, Ross doszedł do wniosku, że w ciągu ostatnich kilku dni po prostu rozkwitła. Podziwiając sprawność, z jaką pomaga gospodyni, przypomniawszy sobie dawniejszą Mary, tę, którą poznał w Carlisle: bladą, cichą i zbyt nieśmiałą, by mu patrzeć w oczy. Dzisiejsza Mary była zarumieniona od żaru kuchennego pieca, a włosy – rozburzone podczas zabawy w śniegu – miała zebrane na karku i związane przez gospodynię szpagatem. Stanowiła widok tak uroczy, że Ross poczuł ponownie to podniecenie, które mu uświadamiało, że jest nie tylko kapitanem wojennego okrętu, ale także mężczyzną.

Ależ to bez sensu, skarcił się zaraz za te niedorzeczne odczucia. Przecież jutro w Knaresborough odnajdą keks, po czym rozjadą się w dwóch przeciwnych kierunkach: on z Nathanem do Dumfries, a ona – na północ, do Edynburga. A później, gdy nastanie trwały pokój, rozejrzy się za macochą dla Nathana. I na pewno nie wyrzeknie się swego ideału. Tak, będzie szukał wysokiej blondynki, o jakiej od wczesnej młodości tak bardzo marzył.

Ale... dlaczego wciąż ma wątpliwości, że takiej kobiety właśnie chce dla siebie? – zadał sobie w duchu pytanie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Po kolacji Davy i Callie Blankenship, ich gospodarze, wykwaterowali swoje córki z niewielkiego pokoju sąsiadującego z ich własną sypialnią i posłali je na stryszek, przykazując, by nie dokuczały swym małym braciom i nie budziły w nocy forysiów, którzy mieli spać na stryszku razem z nimi.

Mary natomiast przygotowała łóżko dla siebie, gotowa je dzielić z Nathanem, jednak ten wybrał stryszek, gdzie zanosiło się na wesołą zabawę. Ponieważ w sypialni było zimno, Callie zeszła z Mary do kuchni, gdzie przygotowała dla niej gorący kamień do ogrzania łóżka. Wracając stamtąd i przechodząc przez frontowy pokój, Callie popatrzyła nieśmiało na Rossa, który siedział teraz sam, głęboko zamyślony. Mary była pewna, że wieśniaczka chce go o coś zapytać, lecz nie ma na to dość śmiałości. Dotknęła jej ręki.

– Czy chcecie o coś zapytać kapitana? – zagadnęła szeptem, nie chcąc kobiety zawstydzić. – Jeżeli tak, to zrobmy to razem.

Callie uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– A czy pan kapitan będzie miał coś przeciwko temu?

– Och, nie – zapewniła Mary. – Kapitan to ludzki człowiek.

– Przepraszam, ja wcale nie myślałam, że pan kapitan nie jest ludzkim człowiekiem.

– Wiem – odrzekła krótko Mary, po czym podeszła do Rossa.

– Ross – powiedziała bardzo cicho, kładąc mu dłoń na ramieniu – czy mógłbyś poświęcić chwilkę Callie?

– Oczywiście – odpowiedział jej na to, wstając i skłaniając przed Callie głowę. – Moja dobra kobieto, jesteście doskonałą gospodynią. Co mogę dla was zrobić?

Callie była tak zażenowana pochwałą, że Mary bała się, że zaraz się rozplacze albo zasłoni sobie twarz fartuchem, jak to mają w zwyczaju proste kobiety, i nic więcej nie powie. Jednak okazało się, że potrafi trzymać uczucia na wodzy.

Odetchnęła głęboko i odchrząknęła.

– Panie kapitanie, mam brata, który służy na morzu.

Zamilkła, a na twarzy kapitana pojawił się wyraz bólu i niepewności. Mary, widząc to, pomyślała, że kapitan wie bardzo dobrze, o co kobieta chce go zapytać, a także zdaje sobie sprawę, że nie zna na jej pytanie odpowiedzi.

Kapitan wskazał stół i ich gospodyni usiadła, a Mary wziął za rękę i posadził ją na ławie, na której sam zajął miejsce tuż obok. Stykali się teraz biodrami, kapitan objął ją ramieniem, utwierdzając w ten sposób gospodynię w przekonaniu, że są małżeństwem. Jednak ramię kapitana drżało, jakby niepokoił się na myśl o spędzeniu z kuzynką nocy we wspólnej sypialni.

– I nie mieliście od niego żadnych wiadomości – padło z jego ust stwierdzenie, wypowiedziane tonem pełnym życzliwości.

Callie pokręciła głową.

– Miał szesnaście lat, kiedy dziesięć lat temu poszedł na statek. Nasza mama zmarła, kiedy był malutki, więc to ja go wychowywałam. Tak, tak, Tommy Watts był pod moją opieką. No, ale zbiory były marne, a czasy coraz cięższe. Gdy podrośł, pomyślał sobie, że dobrze zrobi, zostając marynarzem. Służąc królowi, będzie przynajmniej jadał regularnie.

– I ani razu nie napisał?

– Nikt z nas nie potrafi pisać ani czytać, panie kapitanie – odrzekła Callie, opuszczając

wzrok. Szybko jednak zebrała się na odwagę, uniosła głowę i zadała to najważniejsze pytanie: – W jaki sposób mogę się dowiedzieć, jak on się ma i gdzie przebywa?

Kapitan milczał przez dłuższą chwilę. W pokoju panowała cisza, wśród której dawało się słyszeć tylko trzaskanie ognia na kominku.

– Mogę o waszego brata zapytać w Radzie Marynarki – powiedział wreszcie kapitan, ocknąwszy się z zamyślenia. – Thomas Watts? Czy ma drugie imię? Znać jego datę urodzenia?

– Drugiego imienia nie ma. A co do daty urodzenia, to... ja nie wiem – odrzekła znowu zawstydzona Callie. – Wiem tylko, że pewnego ranka zapakowałam mu pół bochenka chleba i dwie rzepy... wyruszył pieszo na południe.

– A wiecie przynajmniej, czy dotarł do wybrzeża? – zapytał Ross.

Ramię obejmujące Mary silniej teraz zdrząło, więc zapominając o wstydzie, położyła Rossowi dłoń na udzie. Uśmiechnął się, ale oczy miał smutne.

– Wiem, że tam dotarł – odrzekła skwapliwie Callie. – Bo zwrócił się o pomoc do jakiegoś znajomego, żeby napisał do nas list. Kiedy list przyszedł, zanieśliśmy go do pastora i on go nam przeczytał. Poprosiłam pastora, żeby za nas odpisał, i to zrobił. Potem nie dostałam już więcej żadnej wiadomości od Tommy'ego.

Patrzyła na Rossa spojrzeniem pełnym nadziei, tak jakby się spodziewała, że on ma w głowie spis wszystkich tych, którzy służą w marynarce. Znowu zamilkł na dłuższą chwilę.

– Ta wojna była długa – powiedział w końcu z ciężkim westchnieniem. – I... widzicie, kobieto... ja nawet nie wiem, ile naszych okrętów pływa po morzach. Jestem w całej tej wojennej maszynerii tylko małym trybikiem. Ale obiecuję – dodał, biorąc Callie za rękę – że postaram się o waszego brata dowiedzieć. Nigdy nie wiadomo... Może się przecież nagle okazać, że wasz Tommy, na przykład za tydzień, zjawi się tutaj, w domu.

Callie Blankenship kiwnęła głową i wstała. Jej oczy patrzyły smutno, zgasła w nich nadzieja.

– Szukałam go przez całe dziesięć lat – powiedziała. – Nie ma dnia, żebym... – dodała i zamilkła, nie kończąc. Dygnęła i wyszła z pokoju.

– Czy sądzisz, kuzynie, że ona go jeszcze zobaczy? – wyszeptwała Mary. – Gdybym ja miała brata, to... sądzę, że nie zniosłabym takiej sytuacji...

– Byłabyś zdumiona, kuzynko, ile człowiek może znieść – odrzekł jej na to kapitan. – Zawiodłem tę kobietę – zakonkludował i wyszedł na dwór, samym brakiem odpowiedzi odpowiadając na jej pytanie.

Mary, niepewna, co ma zrobić, została we frontowym pokoju. Na dworze panował już przenikliwy nocny chłód, a kapitan nie wziął peleryny. Dlaczego musisz brać sobie do serca zmartwienia wszystkich dookoła? – To pytanie walczyło w jej głowie ze świadomością, że w Knaresborough się na zawsze rozstaną i ona nie będzie już miała powodu, by niepokoić się o niego.

– To wina wojny – usłyszała nagle jego głos za plecami i odwróciła się zaskoczona.

W drzwiach stał kapitan, z miną zdradzającą taki smutek, że Mary, nie tracąc ani chwili, pospieszyła do niego z otwartymi ramionami. Objęli się i zastygli we wzajemnym uścisku.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała łagodnie.

– Oj, Mary, Mary – odrzekł, śmiejąc się cicho, i zaraz dodał: – Tak, to wojna mnie wykończyła, wypaliła kompletnie. Do tego stopnia, że nie jestem dla nikogo dobrym kompanem. Nie potrafię kłamać. Nie potrafię pocieszyć naszej gospodyni.

– Ona tego od ciebie nie oczekiwała – powiedziała cicho Mary.

– A ja myślę, że w pewnym sensie oczekiwała tego... – Ziewnął. – Jest późno, a mnie jest zimno i czuję się zmęczony. Ale... czy zaufasz mi na tyle, by pozwolić położyć się z tobą?

– Przecież kilka dni temu już ze mną leżałeś – przypomniała mu.  
– Rzeczywiście, kuzynko – przyznał, jakby podkreślając ich pokrewieństwo.  
Spojrzał następnie w górę, skąd dobiegały – już przyciszone i senne – dziecięce głosy.  
– Na górnym pokładzie nie ma miejsca. Więc czy pozwolisz, Mary?  
– Oczywiście – odrzekła tonem zdecydowanym, a następnie dodała: – Nie poczuję się zagrożona, bo ci ufam.

– Zrzucasz w ten sposób na mnie cały ciężar odpowiedzialności – stwierdził już weselszym tonem, który podziałał na nią uspokajająco.  
– A więc pozwól, kuzynie, że pierwsza przygotuję się do snu i położę się przy ścianie.  
– Nie, nie – zaprotestował – tam jest najzimniej.  
– Być może, ale ja wejdę do łóżka pierwsza, a ty nie odważysz się mnie stamtąd wypędzić. I ostrzegam, jeżeli zechcesz to zrobić, będę głośno krzyczała.

Kiedy Mary poszła do drugiego pokoju, oddzielnego jedynie zasłoną, Ross usiadł. Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób w takiej ciasnocie ich gospodarze zdołali zapewnić sobie prywatność i spędzić tyle dzieci.

No cóż, powiedział sobie, jakoś się im udało, i naraz jego ciało przypomniało mu o swoich potrzebach. Choć było to niegodne dżentelmena, wiedziony ciekawością, zerknął przez wąską szparę w zasłonie, żeby zobaczyć, co robi Mary. Dżentelmen odwróciłby wzrok, ale on nie czuł się w tej chwili dżentelmenem.

Tymczasem Mary stała przez chwilę nieruchomo, tak jakby się zastanawiała, czy w tym zimnie w ogóle zdejmować ubranie. Korciło go, żeby się odezwać, powiedzieć jej, że w tak małym łóżku nie zmarznie, bo leżąc razem, ogrzeją się nawzajem. Jednak dobre wychowanie zwyciężyło: powstrzymał się od tego komentarza.

Mary zdecydowała, że musi zdjąć suknię. Przyjął to z zadowoleniem, a nie był to koniec. Do sukni dołączyła zaraz halka, gorset i pończochy... Omal nie roześmiał się, kiedy przez chwilę przeskakiwała z jednej nogi na drugą, gdy straciła równowagę. Stała teraz jedynie w cienkiej koszulce, a jego ciało rozbudziło się niczym u nastoletniego młodzieńca.

Uznał, że powinien odwrócić wzrok, jednak nie był w stanie, tymczasem zastanowił się, czy ma piegi na ramionach, co uznał za dziwnie podniecające.

Odwróć wzrok, ty idioto, powiedział mu głos sumienia, ale nie usłuchał go. Sam nie wiedział, czy doznał rozczarowania czy ulgi, kiedy Mary, nie zdejmując lekkiej koszulki, włożyła na nią grubą nocną koszulę, i zaraz znalazła się w łóżku. Siennik pod nią głośno zaszeleścił, dzięki czemu zapewne poczuła, że jej cnota jest bezpieczna. Fakt ten Ross powinien był przyjąć z ulgą, jednak ulgi nie doznał. Czuł, że pragnie jej całym sobą.

Panuj nad sobą, głupcze, upomniał znowu sam siebie. I pomyślał, że tak naprawdę to pragnie nie Mary, lecz po prostu kobiety i że może to pragnienie łatwo zaspokoić po powrocie do Plymouth. A potem, dopowiedział sobie, kiedy już na dobre nastanie pokój, znajdziesz sobie żonę.

Mary zdmuchnęła świecę, a w następnej chwili Ross ponownie usłyszał szelest siennika. Owinął się więc peleryną i wszedł do pokoju. Leżała na boku, przodem do ściany. Ross zdjął pelerynę i położył ją na kołdrze.

– To na wypadek, gdyby pod samą kołdrą było nam zimno – powiedział.

Następnie rozebrał się do bielizny i zaczął się zmagać z drewnianą nogą. Nie szło mu to, więc zaklął siarczyście, na co Mary usiadła i pomogła mu odpiąć protezę, upominając, by powściągnął język, bo ma przecież do czynienia z córką pastora. Roześmiał się na to, a ona go uciszyła, kładąc mu palec na ustach. Odłożywszy protezę, dotknęła delikatnie niczym chirurg skóry na kikucie.

– Zbyt długo na niej stałeś – stwierdziła szeptem.

– Przeważnie stoję na niej zbyt długo – odrzekł. – Kiedy znajdę się w domu siostry w Dumfries, pochodzę trochę o kulach, które mój szwagier lekarz trzyma w domu. Ale cicho, sza! O tym ani słowa. Admiralicja nie może się zorientować, że jestem inwalidą.

– Och nie, wcale nim nie jesteś – zapewniła go Mary bardzo cicho. – Tylko powinieneś lepiej dbać o swoje ciało.

Utrafiłaś w samo sedno, pomyślał, po czym nakazał jej spać.

Położyła się z westchnieniem na szeleszczącym sienniku. Leżeli, jak nakazywała przyzwoitość, plecami do siebie, dopóki Mary nie odwróciła się i nie zaczęła poprawiać poduszki.

– Jak sądzisz, czy ci ludzie w dylizansie dojechali do Knaresborough, czy może zamazli na drodze?

Nie mógł się powstrzymać i roześmiał się głośno. Zaraz jednak przykrył sobie dłonią usta, bo usłyszał, że za ścianą szeleści siennik. Nie chciał obudzić gospodarzy. Tymczasem Mary przekręciła się na drugi bok, by leżeć przodem do ściany.

Ross nie mógł zasnąć, leżał z otwartymi oczami. A rozbudził się już zupełnie, kiedy za ścianą dały się słyszeć dobrze mu znane rytmiczne odgłosy. Boże drogi, powiedział sobie w duchu, co pomyśli Mary! Mam nadzieję, że nie ma pojęcia, o co chodzi...

Ona jednak zaczęła trząść się ze śmiechu, co nasunęło mu podejrzenie, że zna życie lepiej, niż sobie wyobrażał.

– Powiedz mi, Ross – wyszeptala – czy byłeś kiedyś w bardziej niezręcznej sytuacji?

Mruknął coś w odpowiedzi niewyraźnie, chcąc uniknąć tematu, a w tej samej chwili zza ściany dobiegł niski jęk Callie. Ross, słysząc go, poczuł, że płonie mu nie tylko twarz, ale i lędźwie.

Wyglądało na to, że Dave Blankenship jest w sztuce kochania bardzo sprawny i że osiągnął już swój cel, bo dało się słyszeć głośne niskie westchnienie, po czym wszystko ucichło. W parę chwil później Ross usłyszał chrapanie.

– Ja... to znaczy... bardzo żałuję, kuzynko Mary, że musisz pobierać... lekcje życia... tego rodzaju... – powiedział Ross szeptem, na co Mary dała mu kuksańca i naraz obydwoje odwrócili się i przywarli do siebie w uścisku.

Boże Wszechmogący, pomyślał kapitan, ależ jest miękka i delikatna! Nie miała w sztuce miłości żadnej wprawy, czym Ross nie był wcale zdziwiony, jednak sprawiła mu ogromną przyjemność, gładząc delikatnie jego plecy. Po chwili wahania dotknął jej piersi – najpierw przez grubą flanelę nocnej koszuli, a zaraz potem, rozpiąwszy guziki, pogładził nagą skórę Mary. Następnie jego dłoń powędrowała na jej ramię, bo zawsze lubił gładkie, krągłe i delikatne ramiona kobiece. I przez cały czas miał świadomość, że ma przy sobie Mary Rennie, a nie żadną brązową, oliwkową czy białą kobietę, której imię nie jest mu znane. Mary nie była też Inez ani z całą pewnością wysoką, szczupłą damą o francuskim akcencie i niskim śmiechu.

Tymczasem dłoń Mary zabłąkała się w dół; każdy ich oddech, każdy ruch zdawał się przybliżać do nieuniknionego...

– Papo?

Ross przerwał i wstrzymał oddech.

– Papo? – powtórzył Nathan.

Kapitan zaniemówił, jednak Mary zachowała przytomność umysłu i uniosła się na łokciu.

– Nathanie? Nie możesz spać? – zapytała cicho, ale zupełnie opanowanym głosem.

– Mary! – odrzekł Nathan i zniżył głos. – Cieszę się, że tu jesteś. Było mi smutno tam na górze, samemu.

– Na strychu jest przecież pełno ludzi – odezwał się Ross, rozbawiony, bo przypomniało mu się, jak sam, będąc dzieckiem, wchodził do łóżka rodziców. – Jak możesz się tam czuć samotny?

– Nikt z tamtych ludzi nie jest tobą ani Mary – odrzekł mu na to Nathan z żelazną dziecięcą logiką.

Ross nie znalazł żadnego kontrargumentu, a poza tym czuł się winny. Wiedział, że nie powinien tracić głowy, skoro Mary mu zaufała.

Podniósł kołdrę.

– Wskakuj – powiedział do Nathana. – Przejdź przeze mnie. Do środka – dodał jeszcze, po czym pomyślał: W ten sposób jest najbezpieczniej. Tak dotrwamy do rana, a ja przez ten czas wymyślę, w jaki sposób mam przeprosić Mary.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ogarnięta wyrzutami sumienia, Mary przysunęła się jak najbliżej do ściany. Zdradziecki siennik zaszeleścił, a ona, słysząc to, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Ty głupia kobieto, zgromiła samą siebie. Powiedziałaś, że mu ufasz, ale nie zastanowiłaś się, czy możesz ufać sobie.

Drgnęła, gdy Nathan poklepał ją lekko po plecach, i zaraz przypomniała sobie, że syn Rossa nie jest niczemu winien. Zanim nastanie nowy dzień, będzie musiała spojrzeć w twarz Rossowi i go przeprosić. Jedynym pocieszeniem była dla niej myśl, że jutro znajdą się w Knaresborough, gdzie odzyska keks wraz z pierścionkiem, po czym rozjadą się – każde w swoją stronę.

Nathan znowu poklepał ją w ramię, a ona odwróciła się twarzą do niego, zadowolona, że w ciemności nie widzi jego ojca.

– Tak, Nathanie? – zapytała, mając nadzieję, że głos jej nie drży.

– Czy masz coś przeciwko temu, że ja... jestem tutaj?

– Ależ nie, dziecko – odrzekła, dotykając delikatnie jego twarzy. – Owszem, jesteśmy tu stłoczeni jak śledzie w beczce, ale przecież noc jest taka zimna... – dodała, całując go w czoło. – A poza tym ja cię lubię. Śpij już.

Wypowiedziawszy te słowa, pogładziła Rossa po ramieniu. Przykrył dłonią jej dłoń i lekko ją uściśnił. Była tak zażenowana, że łzy napłynęły jej do oczu. Zaczekała, aż Nathan zacznie oddychać wolniej i spokojniej, po czym wyszeptała:

– Tak bardzo się wstydzę... I dlatego... jutro wsiądę do dylizansu, a wy z Nathanem będziecie mogli kontynuować swoją podróż do Dumfries. Zgadzasz się, kuzynie? Dobrze?

– Zastanowimy się nad tym rano – odrzekł jej także szeptem. – A poza tym – zażartował – ty sama przecież mówiłaś, że wszyscy w dylizansie zamazali na śmierć.

Uśmiechnęła się na to, ale gdy ponownie uświadomiła sobie swoje kompromitujące zachowanie, uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Proszę cię, kuzynie, pozwól mi jechać samej do Knaresborough. Bo ja... tak okropnie się wstydzę.

Nie odpowiedział. Nie sądziła, by w tej sytuacji mógł zasnąć, jednak nic nie mówił. Odwróciła się do ściany i zapięła koszulę, dotykając tych miejsc na piersi, które on przedtem pieścił. Gdzieś w głębi duszy była przekonana, że coś takiego nigdy więcej jej się nie zdarzy.

Ta myśl nie dawała jej spać przez całą noc i rano piekły ją oczy i była zła niczym osa. Udawała, że śpi, dopóki Ross nie wstał i nie wyszedł z sypialni. Kiedy wreszcie została sama z Nathanem, chłopiec przytulił się do niej ufnie. To sprawiło, że jej serce zaznało ukojenia. Dobrze było pomyśleć, że pomimo jej okropnego zachowania w nocy ten mały, niczego nieświadomy chłopiec darzy ją podziwem tak jak przedtem.

Och, jakże mi go będzie brakowało, pomyślała z westchnieniem. Jeszcze wczoraj była pewna, że może – nie popełniając niestosowności – poprosić Rossa, by pozwolił jej z chłopcem korespondować. Jednak teraz, po tej nocy, nie miała pojęcia, jak Ross zareagowałby na taką jej prośbę, i wolała tego nie sprawdzać.

Czekała cierpliwie, aż chłopca obudzą odgłosy krzątania dobiegające z małego gospodarstwa zagrodników. Spał jeszcze przez chwilę, a gdy wreszcie otworzył oczy, ziewnął i przytulił się do niej. Mary, wiedzona całkiem naturalnym odruchem, objęła go ramieniem i pocałowała w policzek.

– Czy zdarza ci się – zapytał – kiedy jest zimno, że masz ochotę zostać w łóżku i nigdy nie wstawać?

– Zdarza mi się to zawsze, gdy jest zimno – zapewniła go całkiem szczerze.

Miała na to ochotę zwłaszcza w tej chwili, bo zrobiłaby wszystko, byle tylko nie spojrzeć w oczy kapitanowi. Było to jednak nie do uniknięcia, zwłaszcza po tym, jak Ross zajrzał do pokoju i kazał wstawać Nathanowi. Mary z ulgą stwierdziła, że on także unika jej wzroku. Być może jest tak samo zażenowany jak ja, powiedziała sobie domyślnie i zaczęła się modlić o to, by dylizans stał tam, gdzie go po raz ostatni widziała.

Wciąż myśląc o dylizansie, szybko się ubrała i wyszła na zewnątrz, nie rozglądając się na boki. Ścieżką doszła do stodoły, gdzie zastała obu forysiów zajętych zaprzęgnięciem koni. Wyglądali na zaskoczonych, kiedy ich poprosiła, żeby zatrzymali karetkę i pozwolili jej wysiąść, gdy dogonią dylizans. Nie zadawali jednak zbędnych pytań.

Gdy wróciła do domku zagrodników, wszyscy siedzieli już w kuchni, jedząc owsiankę. Callie zaprosiła ją gestem do stołu, usiadła więc i także zabrała się do jedzenia.

Nikt przy stole nie był specjalnie gadatliwy. Tylko Callie spróbowała rozpocząć rozmowę. Gdy zapytała, czy spędzają święta w Knaresborough, Mary i Ross odpowiedzieli równocześnie: „W Edynburgu” i: „W Dumfries”. Gospodyni popatrzyła wtedy zaskoczona to na jedno, to na drugie, lecz przyjęła ich słowa w milczeniu, a Mary oblała się rumieńcem. Spojrzała na kapitana i przekonała się, że on patrzy na nią ze zmarszczonymi brwiami. Zarumieniła się jeszcze bardziej, bo przypomniała sobie, jak bez oporów znalazła się w jego ramionach i jak bez słowa protestu pozwoliła mu rozpiąć nocną koszulę.

Przynoszę wstyd rodzinie Renniech, pomyślała zgnębiona. A świadomość, że Ross też jest członkiem tej rodziny, wcale jej nie uspokoiła.

Po śniadaniu Mary poszła po torbę podróżną do sypialni, a tam zobaczyła, że Ross zostawił na poduszce kilka monet. Upewniwszy się, że ma dość pieniędzy na bilet do Edynburga, dodała kilka od siebie. Gdy miała już wychodzić, w drzwiach stanął Ross. Podszedł do niej i wziął ją za ramię. W jej oczach zalsniły łzy upokorzenia.

– Proszę cię, kuzynko, nie dręcz się tym, co zaszło w nocy – powiedział spokojnie. – Winna temu była ciasnota...

Kiwnęła głową i wyszła z pokoju. Pożegnała się następnie z gospodarzami i wsiadła do karety, bojąc się, że i tutaj będzie panowała niebezpieczna ciasnota. Nathan wskoczył za nią, usiadł obok i oparł się o nią, co jednak jej nie przywróciło spokoju ducha.

– Znajdziemy zaraz keks – oznajmił.

– Nie my, tylko ja go znajdę – poprawiła go łagodnie. – Ty i twój papa powinniście być już od dawna w Dumfries. Wiem, że powtarzam to nie po raz pierwszy, jednak tym razem mówię to naprawdę poważnie.

Nathan spojrzął na nią z miną buntownika, ale milczał. Intuicja podpowiedziała jej, że dzięki takiej minie nieraz wygrywał spory z panią Pritchert. Uznała to za zabawne, jednak była to jedyna zabawna rzecz, jaka przytrafiła się jej tego ranka.

Przez okienko karety zobaczyła, że kapitan Rennie spiera się o coś ze starszym z forysiów, patrząc na niego z takim wyrazem twarzy, z jakim Nathan patrzył przed chwilą na nią. Wyglądało na to, że foryś nie ustąpił mu ani na krok, co jej zaimponowało. W następnej chwili Ross podszedł do karety i otworzył drzwiczki.

– Mary – powiedział – jesteś nieznośna.

Wsiadł i utkwiał wzrok w oknie.

Kiedy ruszali, Mary patrzyła przez drugie okno, a w karecie panowało głuche milczenie, dopóki nie odezwał się Nathan.

– To ja jestem winien, tak? – zagadnął cicho Mary. – Zrobiłem coś, czego robić nie powinienem.

Oboje spojrzeli na chłopca.

– Ależ nie! – zaprzeczyła.

– Oczywiście, że nie, chłopcze – oznajmił niemal równocześnie Ross.

– Powinienem być w nocy zostać na stryszku – westchnął Nathan. – Było wam przeze mnie za ciasno.

– Mnie to nie przeszkadzało – zapewniła go Mary, obejmując ramieniem. – Wszystkim nam było dzięki temu ciepło. Ja jestem nie w humorze, bo... bo muszę... gdy już znajdę pierścione... wracać do Edynburga. Tymczasem Anglia nie jest wcale taka zła.

Ross parsknął na to śmiechem.

– Logika dziesięciolatka – skomentował to cichym głosem, bo komentarz nie był przeznaczony dla uszu Nathana, po czym, już głośniej, zwrócił się do syna: – A ja jestem nie w sosie, bo zmęczyło mnie podróżowanie.

Szczerze powiedziane, pomyślała Mary, po czym spróbowała utwierdzić się w przekonaniu, że przecież nikt Rossa nie zmuszał do ścigania tego przeklętego wędrującego keksu.

Mary doznała nieopisanej ulgi, kiedy, ujechawszy zaledwie milę, zobaczyli stojący dylizans. Foryś zastosował się do jej prośby i ich karetę się zatrzymała. Panna Rennie wysiadła i z pomocą młodszego forysia, który przeniósł jej bagaż, przesiadła się do dylizansu, nie oglądając się za siebie.

Jednak fakt, że się nie obejrzała, nie odniósł pożądanego skutku, bowiem w chwilę później w dylizansie znalazł się Nathan, za którym w ślad w otwartych drzwiczkach pojawił się jego ojciec z miną nachmurzoną i srogą.

– Nathanie – powiedział tylko, lecz jego ton mówił sam za siebie.

Mary poczuła, że cierpie jej skóra.

– Chcę jechać dylizansem razem z Mary. Bo ona będzie sama.

Nathan mówił równie stanowczo jak ojciec.

– W dylizansie nie ma wolnych miejsc – oznajmił Ross, czerwieniejąc na twarzy.

Najwyraźniej do jego umiejętności wychowawczych nie należało dyskusowanie z dzieckiem bez podnoszenia głosu, i to w obecności zupełnie obcych ludzi.

– Mary nie będzie sama. To ja będę sam, jeżeli ty pojedziesz z Mary.

Nathan przytulił się do dziewczyny.

– Pani Pritchert mówi, że kapitanowie są zawsze sami. Więc to, papo, nie powinno ci przeszkadzać. Spotkamy się w Knaresborough.

Mary, zaskoczona, patrzyła na kapitana. Na jego twarzy malował się teraz bezbrzeżny smutek.

– Nathanie, powinienes... – zaczęła, ale kapitan przerwał jej w pół słowa.

– Nie ma potrzeby, panno Rennie – powiedział tonem oficjalnym, próbując zachować godność, pomimo że jego syn głęboko go zranił. – Wkrótce spotkam się z wami – dodał, uchylił kapelusza i się wycofał.

Patrzyła zasmucona, jak daje woźnicy pieniądze, a potem, samotny, wraca do karety. Szedł powoli, z przygarbionymi ramionami. Wyglądał na człowieka, którym był w istocie, to znaczy na starzejącego się, kulawego kapitana.

– Och, Nathanie – powiedziała. – Sądzę, że zraniłeś uczucia swego papy.

– Nie miałem takiego zamiaru – odrzekł chłopiec cicho i tonem, z którego zniknęła wszelka rezolucja. – Pani Pritchert naprawdę tak mówi – dodał jeszcze, jakby na własną

obronę.

– Twój papa chce spędzić święta z tobą, a nie ze mną – uświadomiła jeszcze chłopcu Mary w chwili, gdy woźnica strzelił z bata i kareta ruszyła.

Och Boże, niech ta podróż się już wreszcie skończy, pomyślała, starając się ukryć łzy, bowiem nie chciała płakać przy obcych ludziach. Bolała ją głowa, a serce dokuczało.

A co do przygód, to już absolutnie i całkowicie się z nich wyleczyła.

Ross był sam, ale nie to stanowiło teraz źródło jego utrapienia. Opadły go dręczące myśli, gdy tylko wsiadł do karety. Pani Pritchert trafiła w sedno, dobrze określiła istotę losu kapitana marynarki. Przez ponad dwadzieścia lat nie zaznał praktycznie życia na lądzie, bowiem – na wszystkich morzach świata, w pogodę i niepogodę – służył swemu królowi. Jego okręty niosły śmierć wrogom wszędzie, od Bałtyku po Zatokę Chesapeake. Podczas wielu morskich bitew własnoręcznie pozbawił życia niezliczoną liczbę wrogów. Na Morzu Śródziemnym odjęto mu nogę i wyrzucono ją za burtę. Za burtę wyrzucono także martwe ciała wielu jego ludzi, dokonując ich morskiego pochówku.

Ten urlop, myślał dalej, który z początku miał być dla niego jedynie okazją do odwiedzenia siostry i odnowienia rodzinnych stosunków, okazał się zdecydowanie czymś więcej. Uświadomił mu, że jedyną jego umiejętnością jest dowodzenie załogą na okręcie, tymczasem na lądzie jest tak bezużyteczny jak ci leniwi, tępi majtkowie służący w marynarce tylko dlatego, że tak rozpaczliwie brakuje ludzi na wojnie.

Przez długie lata w skrytości ducha rozkoszował się myślą, że pewnego dnia się ożeni i będzie wiódł życie wiejskiego dżentelmena. Odłożył sobie dość pieniędzy, by taki scenariusz mógł się ziścić. Obraz kobiety o blond włosach i egzotycznym akcencie wrył mu się w pamięć.

Tak, ta kobieta, myślał dalej, przynaj człowieku, stała się twoją obsesją. Nieraz, podczas bitwy, w ferworze niosącej śmierć walki, uruchamiał wyobraźnię i miał przed oczami tę piękność, nie zauważając okaleczonych członków i wyrzucanych za burtę ciał. Tak, ta wyimaginowana kobieta stanowiła dla niego odskocznię, jakąś dziwną ucieczkę od wojennego zniszczenia, które niejednego wpędziłoby w umysłową chorobę.

Wszystko się zmieniło po Carlisle. W ciągu ostatniego tygodnia jego ideałem i ucieleśnieniem kobiecości stała się Mary Rennie. Zastąpiła tamtą blondynkę z czarującym akcentem, zmieniła w jego umyśle obraz przyszłej żony i utwierdziła go w przekonaniu, że będzie kobietą wytworną, ale nie oderwaną od rzeczywistości; inteligentną, ale nie przemądrzałą; ładną, ale nie skłoną do przesiadywania godzinami przed lustrem; dobrą dla dzieci, ale nie nadopiekuńczą, zdolną do kompromisu, ale nie zmienną niczym chorągiewka na wietrze.

Tak, taka teraz miała być jego przyszła żona. A co stało się z pięknnością z jego marzeń i snów? Nie potrafił sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Opatrzność – myślał dalej – miała powód, by postawić na jego drodze taki ideał, tymczasem on, gdzieś w głębi duszy, był przekonany, że wojna się jeszcze nie skończyła... ale kiedy już się wreszcie skończy, on, Ross Rennie, poszuka sobie żony podobnej do Mary. Tak, poszuka sobie kobiety, która osłodzi mu dojrzałe lata i kimkolwiek ona będzie, nie przysporzy mu cierpień ani niepokojów. Po dwudziestu kilku latach wojowania zasługuje na to.

Jednak skoro chce być ze sobą szczery, musi przyznać, że jest wyrachowany i egoistyczny w swoich planach. Wcale nie bierze pod uwagę własnego charakteru i tego, co on może zaoferować kobiecie, a prawda jest taka, że długoletnia służba w marynarce króla Jerzego zamieniła go po prostu w sprawną maszynę do zabijania. Nie nauczył się niczego o życiu na lądzie.

Czuł, że w jakiś niepojęty sposób kobieta z jego listy z biegiem czasu zaczęła z niego szydzić. Znajdowała się zawsze i nieodmiennie poza jego zasięgiem, ponieważ nie istniała.

Czyżby zatem cała ta wojna w końcu doprowadziła go do szaleństwa?

Siedział w karecie samotny i znękany przykrymi myślami, a droga zdawała się wlec w nieskończoność.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Pomimo śnieżycy, dyliżans dowiózł ich do gospody Pod Różą Tudorów, zanim wybiło południe. Mary bolała głowa, choć Nathan działał na nią kojąco. Siedział najpierw oparty o nią, a potem, gdy zmorzył go sen, z głową na jej kolanach. Ciepło jego ciała uspokajało ją. Ona natomiast, czując to, uświadomiła sobie nagle, że żyjąc wśród krewnych w Edynburgu nie zaznała ludzkiego dotyku; że w ogóle cała ta przygoda sprawiła, że stała się niezadowolona z własnego losu.

Zamknęła oczy, zmęczona, przyznając jednocześnie, że nie jest do końca wobec siebie szczerą. Prawda była bowiem taka, że się zakochała w trudnym, czasami irytującym człowieku.

Nie miała co do mężczyzn specjalnych złudzeń. Inaczej niż Dina, nigdy nie idealizowała płci męskiej. Wrodzona intuicja podpowiadała jej, że są prawdopodobnie tak samo niestali i głupi jak kobiety i nie mają więcej od kobiet rozumu. Przecież to nie kobiety powodują wojny, jeżeli oczywiście nie liczyć biednej Heleny Trojańskiej, ale za to winna była jej ładna buzia.

Gdzieś między kielbasą w Carlisle a owsianką u biednych zagrodników Mary doszła do przekonania, że jako kandydat na męża zadowolić ją może tylko i wyłącznie Ross, który uznał pogoń za keksem za rzecz tak interesującą, że poświęcił jej dużą część, pierwszego od lat urlopu.

Zakochała się w nim, ale zaraz jako kobieta praktyczna doszła do wniosku, że to, co do niego czuje, tak czy inaczej przeminie. I powinno przeminąć, powiedziała sobie, zwłaszcza po tym, jak mi poradził jechać do Kanady; bo przecież mężczyzna, który by się mną naprawdę interesował, nigdy by mnie nie wysłał w tak daleką drogę.

Aż do ostatniej nocy, której samo wspomnienie powodowało, że się czerwieniła, nie doświadczyła nigdy w życiu stanu, w którym wprost traci się rozum i wszelkie hamulce. Stanu, który by sprawił, że byłaby gotowa oddać się mężczyźnie, całkowicie i bez żadnego oporu... I pomyśleć, że zdarzyło się to jej, córce pastora, która odebrała bardzo surowe wychowanie. Dzięki Bogu, że Nathan im przeszkodził...

A co by było, gdyby tego nie zrobił? – zastanowiła się. No cóż, jako kobieta dotąd przyzwoita bez żadnych wątpliwości została by skompromitowana i być może kapitan poczułby się w obowiązku jej się oświadczyć. Tak, gdyby się oświadczył, zrobiłby to wyłącznie z poczucia obowiązku, bo przecież nigdy nie wyznał jej miłości. Kilka razy natomiast wymienił tę swoją Madonnę z Listy, jak ją żartobliwie nazywał.

Ale czy rzeczywiście żartował? Czy może raczej myślał o niej poważnie? Bo przecież dama taka jak ona byłaby nie tylko piękna, ale także zamożna. No tak, pomyślała Mary, wszystko zawsze musi się sprowadzać do pieniędzy...

– A niech to! – wyrwało się jej, powodując, że jeden ze współpasażerów oderwał wzrok od książki i spojrzał na nią z ukosa.

Gdy trąbka powożącego dyliżansem wyjątkowo radośnie oznajmiła, że są już na miejscu, w Knaresborough, na twarzy Nathana pojawił się uśmiech. Kareta kapitana czekała już na nich na podwórzu gospody. Starszy z forysiów pomógł Mary wysiąść z dyliżansu.

– Muszę paniące powiedzieć – szepnął do niej – że kapitan jest w okropnie złym humorze.

– Mówiłam mu przecież, żeby jechał z Nathanem do Dumfries. Potrafię sobie doskonale poradzić sama – odrzekła mu na to Mary i ruszyła z uśmiechem na ustach w stronę karety.

Naraz przypomniała sobie, jaka była, zanim w Carlisle spotkała kapitana. Brakowało mi pewności siebie, pomyślała, niczym typowej starej pannie, ale potem to się zmieniło. Tak,

zmieniło się i – musiała to przyznać – tę zmianę zawdzięczała kapitanowi. Więc może teraz, gdy jest już inna – po tym, jak jej ulokowana w banku sumka odpowiednio urośnie – naprawdę będzie miała odwagę wyprawić się do Ameryki Północnej...

A skoro tak, to przed rozstaniem powinna za to podziękować Rossowi.

– Dokąd, panienko? Pan kapitan nie pamięta adresu... – zapytał ją foryś, gdy już wszyscy troje siedzieli w karecie.

– Corydon Circle numer dwadzieścia pięć – odrzekła, mając nadzieję, że to niedaleko.

Nie było daleko, a gdy ozdobione świątecznym wieńcem drzwi domu otworzyły się przed nimi, Mary przedstawiła całą historię kamerdynerowi. Ten jednak nie okazał się skłonny przeszkadzać swemu panu i zgodził się to zrobić dopiero, gdy wyraźnie wymieniła nazwisko pana Tavisha Maxfielda z Yorku.

Pan Bartemus Whitney powitał ich z uśmiechem, lecz nie zaprosił do salonu, bo właśnie miał wyjść z domu.

– Musicie mi, moi drodzy państwo, wybaczyć. Mam umówione spotkanie. No cóż, jest pełnia sezonu – powiedział, a gdy Mary przedstawiła mu sprawę, posłał kamerdynera do kuchni. Ten wkrótce wrócił, niosąc znajome pudełko, wysłane kilka tygodni temu pocztą z Edynburga. Wręczył je też zaraz Mary, która westchnęła z wielką ulgą.

– Dziękuję panu bardzo – powiedziała do gospodarza. – Nie zajmiemy panu już więcej ani minuty drogocennego czasu.

– Miło mi było pomóc – odrzekł pan Whitney, po czym dodał, że zanim cała ich trójka się tu zjawiła, zamierzał wysłać keks dalej, do swojego siostrzeńca służącego w wojsku w Belgii. – Ale, ale, czy sądzicie państwo, że ktokolwiek takie keksy jada? – zapytał na zakończenie.

Ross wybuchnął na to gromkim śmiechem.

– Stanowczo w to wątpię, proszę pana! – zabrzmiała jego odpowiedź. – Ja w każdym razie nigdy tego nie robię. A ty, Mary?

Mary pokręciła głową.

– Pomagam pani Morison piec, ale to wszystko. Ale... Belgia? To przedłużyłoby moją przygodę nie wiadomo na jak długo!

Pan Whitney spojrział na nią zdziwiony, lecz kapitan skierował się już wraz z Nathanem do wyjścia. Mary, nie wdając się w wyjaśnienia, podziękowała jeszcze raz i podążyła za nimi.

Znalazłszy się przy karecie, poprosiła forysia, by jechał do gospody.

– Nie tak prędko, panno Rennie – wtrącił się na to Ross. – Zasłużyliśmy przecież na to, żeby zobaczyć ten pierścionek. Nie sądzisz?

– Zgadzam się – odrzekła, starając się mówić wesołym tonem, by nie dać żadnemu z nich poznać, jak bardzo będzie za nimi tęskniła. – Zatem dokąd pójdziemy, żeby dokonać tej, że się tak wyrażę, ekshumacji?

– Proszę panienki, przed chwilą minęliśmy kościół – odezwał się jeden z forysiów. – Chyba kaplicę Metodystów...

W przedsiönku kościoła nie było nikogo, co bardzo odpowiadało Mary, która nie chciała tłumaczyć się pastorowi. Odłożyła na bok leżące tutaj na stole księgi i rozpostarła na blacie chusteczkę do nosa, a na niej położyła keks, który wyjęła z pudełka. Wyjaśniła swoim towarzyszom, że zamierza go pokroić, a potem każdy kawałek ostrożnie rozkruszyć w dłoni.

– Jestem głodny – powiedział Nathan.

– Jeżeli chcesz, możesz zjeść okruszki – odrzekła, wyjmując z torebki składany nożyk.

– Gotowa? – zapytał kapitan.

Nie, nie jestem gotowa pożegnać się z wami, pomyślała, ale kiwnęła głową.

Następnie podzieliła keks na czworo i zaczęła rozkruszać każdy kawałek po kolei.

W trzech pierwszych nie znalazła pierścionka.

– Zatem... – powiedziała, biorąc czwarty – ...on musi być tutaj.

Bardzo dokładnie – oddzielając orzechy, skórkę pomarańczową i suszone wiśnie oraz krusząc ciasto – sprawdziła czwarty kawałek.

Gdy wbrew jej przewidywaniom ich oczom nie ukazał się drobny klejnocik należący kiedyś do królowej Bess, a potem, po latach, do pana Algernona Page'a, poczuła, że serce jej zaczyna mocniej bić, a twarz palić.

Odetchnąwszy głęboko, sprawdziła jeszcze raz wszystkie cztery kawałki i nic nie znalazła.

Z płonąca twarzą, sfrustrowana i zażenowana, nie miała odwagi spojrzeć żadnemu ze swych towarzyszy w oczy.

– Nie rozumiem... – powiedziała w końcu. – To jest czwarty, ostatni keks, a tamte poprzednie sprawdzałam przecież równie dokładnie...

Cisza w przedsionku kościelnym stała się teraz gęsta, niemal namacalna, a w tej ciszy dawał się słyszeć coraz cięższy oddech kapitana. Gdy Mary w końcu podniosła na niego oczy, przekonała się, że odwraca się do niej tyłem.

– Chodź, Nathanie, powinniśmy już dawno być w Dumfries – powiedział jakimś nieswoim głosem, a Nathan stał i wpatrywał się w niego.

– Zaczekajcie! Przecież nie sądzicie, że ja...

Nie miała pojęcia, co kapitan sądzi, a wypowiedziała te słowa tonem o co najmniej oktawę wyższym niż normalnie.

– Sprawdziłam dokładnie wszystkie trzy poprzednie keksy... Pierścionek powinien być tutaj... Musi tu być!

Kapitan Rennie spiorunował ją wzrokiem. Jego czerwona twarz, zmrużone oczy i szybki oddech świadczyły, że jest wściekły. Mary przestraszyła się jeszcze bardziej, kiedy uświadomiła sobie, co on teraz myśli.

– Nie możesz przecież, kuzynie, myśleć, że was oszuka... – urwała, bowiem ku jej przerażeniu kapitan z ogniem w oczach zrobił krok w jej kierunku i ryknął na nią tak głośno, że aż zakryła uszy.

– Kim pani jest, panno Rennie?! Czyżby znudzoną, samotną starą panną?! W jaką grę pani ze mną grała?!

– W żadną – wyjąkała. – Już mówiłam...

– Tak bardzo usilnie starała się pani nas pozbyć przed przyjazdem tutaj, do Knaresborough – wycedził z wściekłością – bo nigdy nie było żadnego pierścionka, czy tak?

Potoczył wzrokiem wokół siebie, tak jakby nagle przestał zdawać sobie sprawę, gdzie jest. Wyglądał jak kapitan wojennego okrętu zaatakowanego przez wroga. Czyżby całkowicie stracił nad sobą panowanie?

– Po co, na miły Bóg, zostałem zaciągnięty do Yorkshire w pogoni za tym przeklętym nieistniejącym pierścionkiem?! – zawołał jeszcze i z jego ust padło przekleństwo mogące zaszokować całą armię francuską.

Mary zalała się łzami, a w następnej chwili... ogarnęła ją wściekłość. Otarła drżącą dłonią łzy, starając się uspokoić.

– Panno Rennie! Czy możemy pani pomóc?

Kapitan odwrócił się błyskawicznie i zobaczył obu forysiów.

– Zostawcie nas! – syknął i podniósł rękę tak, jakby chciał kogoś uderzyć.

Wycofali się do drzwi, ale nie wyszli z kościelnego przedsionka. Tymczasem kapitan wciąż z podniesioną ręką odwrócił się ku Mary, a w tej samej chwili Nathan wspiął się na palce

i tę rękę chwycił. Objęła chłopca i zasłoniła go własnym ciałem.

Nagle poczuła wielki smutek, widząc, do jakiego stopnia wojna zniszczyła osobowość tego w głębi serca dobrego człowieka.

– Nie waż się – wycodziła, nie mając jednak pojęcia, jak udobruchać człowieka ogarniętego furją.

Chciała wybiec z kościoła, nie oglądając się za siebie. Chwyciła Nathana za rękę, by i jego wyprowadzić, bo przecież nie wiedziała, co teraz zrobi kapitan. Gdy gwałtownie się odwróciła, uderzyła skronią o kant biblioteczki, w której leżały religijne traktaty. Broszury rozsypały się, a Ross wciąż stał z podniesioną ręką, jakby ta nie należała do niego.

– Dobry Boże – wymamrotał.

Mary zachwiała się i oparła o stół. Miała gwiazdy przed oczami. Zamrugła i zobaczyła Nathana, który, blady jak kreda, patrzył na nich oboje z otwartymi ustami. Zaczęła głęboko oddychać, by się uspokoić, a w następnej chwili drżącymi rękami wzięła chusteczkę z rozdrobnionym keksem i wręczyła ją chłopcu, którego tak kochała.

– Na-Na-Nathanie – powiedziała, jękając się z emocji. – Wyrzuć to, proszę, wyjdź i to wyrzuć.

Chłopiec złapał chusteczkę i wybiegł z kościoła, a gdy z zewnątrz dobiegł jego płacz, Mary znowu zatkała sobie uszy. Kiedy się odwróciła i stanęła twarzą w twarz z kapitanem, poczuła jakąś wewnętrzną pustkę i miała wrażenie, że jest całkiem rozbita.

– Właśnie tego będę żałowała aż do śmierci, kapitanie – powiedziała jakimś niskim, całkiem nie swoim głosem. – Chłopiec nie powinien być świadkiem awantury między nami. Wstydzę się za nas oboje. A co do keksu, to widziałam, jak moja kuzynka wrzuca pierścionek do ciasta i wiem, gdzie to ciasto było przechowywane.

Kapitan spojrział na nią z taką pogardą, że aż odwróciła głowę. Lewy policzek ją palił, a pod lewe oko zaczęła podchodzić opuchlizna.

– Nie wierzę w ani jedno pani słowo – powiedział kapitan tonem już spokojniejszym, ale wciąż ogarnięty wielkim, niezrozumiałym dla niej gniewem. Wydawał się jej prawie obłąkany i było tak, jakby cienka niewidzialna granica między sytuacją bitwy morskiej a tym, co działo się tutaj między nimi, całkiem zniknęła. – Ani jedno, do diabła.

Bardzo zabołały ją słowa kapitana.

– Skoro tak, nie ma znaczenia to, co teraz powiem. Jednak sądzę, że to mnie oszukano. Dlaczego? Nie wiem. – Spojrzała w stronę drzwi, przy których stali jakby zahipnotyzowani obaj forysie. – Zawieźcie mnie, proszę, na stację dyliżansów.

Po tych słowach dotknęła dłonią policzka, doznając ulgi, gdy się przekonała, że nie krwawi ani że kość nie jest uszkodzona. Poczuła, że kapitan na nią patrzy, i pozbawiona nadziei podniosła na niego oczy, dostrzegając w nich niepewność. Ani chybi, pomyślała, zastanawia się, skąd to okropne podbite oko.

– To był wypadek. Z pewnością pan, kapitanie, tego nie chciał – zapewniła go, dziwiąc się samej sobie, że go usprawiedliwia.

Jakaż była głupia! – zganiła się zaraz w myślach. Jaka głupia, że dotąd nie zauważyła, że ma do czynienia z człowiekiem o osobowości kompletnie wypaczonej przez wojnę.

– Cokolwiek pan o mnie myśli, kapitanie, nie jestem skłoną do głupich gierek starą panną. Jestem normalną kobietą – oznajmiła, postanawiając powiedzieć mu jeszcze to, co nakazuje jej honor. Następnie zwróciła się do forysiów: – Proszę, idźcie do karety. Zaraz przyjdę.

Zaczekała, aż forysie wyszli, a oni oboje zostali sami w przedsionku kościoła.

– A co do tego – powiedziała – co zaszło w domku zagrodnika, to... sądzę, że każde z nas dwojga potrzebowało jakiejś pociechy.

Kapitan chciał coś na to odpowiedzieć, ale spojrzała na niego tak gniewnie, że zamilkł.

– Proszę mi dać skończyć! Tak, każde z nas potrzebowało pociechy. Którą zapewnić nam mogło jakiegokolwiek towarzystwo. I powiem jeszcze, że pan, kapitanie, znajdzie lepszą pociechę gdzie indziej. Nie mam co do tego wątpliwości. Nie czuję się dumna z tego, że muszę to przyznać. A teraz proszę mi wybaczyć.

Upokorzona do głębi, zdołała spojrzeć na jego twarz i stwierdziła, że on się krzywi, jakby zdziwiony, że tamto wydarzenie zinterpretowała tak błędnie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, bo ich wspólna podróż dobiegła już definitywnie końca.

– Nie jestem pewien, co o tym myśleć, Mary – odpowiedział, teraz już spokojnym głosem.

Odwróciła się, przerażona myślą, że wojna tak wypaczyła mu charakter, i ze zdumieniem stwierdziła, że mu współczuje.

– Sądzę, że to nie ma znaczenia – powiedziała.

Usłyszała, że robi krok w jej stronę i uchyliła się tak, żeby nie mógł jej dotknąć.

– Do diabła z tym wszystkim! – wypalił i gwałtownie odetchnął. – Chciałbym być na morzu!

Mary znowu na niego spojrzała i jej wściekłość ustąpiła miejsca współczuciu.

– Czy to jest pańska odpowiedź na całe zło, jakie można spotkać w życiu? – zapytała.

– Tak – odrzekł opryskliwie. – Jedyne, co potrafię, to dowodzić załogą na okręcie.

– No to, kapitanie, niech pan wraca na okręt – powiedziała cicho.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Gdyby Ross i tak nie był już tego świadomy, jedno spojrzenie na Nathana wystarczyłoby mu, aby się zorientował, że popełnił okropny błąd. Jego syn, dla którego stał się nagle kimś obcym i groźnym, siedział skulony w kącie karety, próbując być od niego jak najdalej.

Na domiar złego starszy z forysiów, odprowadziwszy Mary do stacji dyliżansów, oznajmił Rossowi, że ponieważ zbliża się Boże Narodzenie, a on i jego młodszy towarzysz znajdują się bardzo dłużej w podróży, chcieliby obaj udać się do domu.

– Odwieziemy pana, panie kapitanie do stacji. A potem... jestem pewien, że z łatwością znajdzie pan inną karete, którą będzie pan mógł pojechać dalej.

A więc teraz prości ludzie, których wynająłem, by mi służyli, odmawiają mi swoich usług, pomyślał Ross z wściekłością. Gdyby któryś dał mu w twarz, nie czułby się bardziej upokorzony. Nie chcąc wdawać się w żadną dyskusję, kiwnął tylko głową.

Na stacji rozliczył się z forysiami, chcąc dodać sowity napiwek, jednak starszy z woźniców, patrząc na monety, pokręcił tylko głową i odwrócił się na pięcie.

– Wiecie przecież, że bym jej nie uderzył – zawołał za nimi Ross, gdy się oddalali. – To na was byłem zły!

Te słowa, nawet w jego własnych uszach, zabrzmiały pusto i fałszywie. Forysie oddalili się w milczeniu. Na szczęście Ross szybko znalazł kolejną karete i w ciągu godziny kapitan z Nathanem mogli ruszyć w podróż do Dumfries. Nathan aż do tej chwili nie odezwał się do ojca ani słowem, a gdy wyjeżdżali z Knaresborough, zamknął oczy i udając, że śpi, odwrócił się do niego plecami.

– Proszę cię, synu – powiedział Ross. – Bardzo cię proszę, posłuchaj! Wiesz przecież, że nigdy nie zrobiłbym krzywdy Mary. Ona się uderzyła o półkę z książkami. To był wypadek. Nawet... nawet ona sama tak powiedziała.

– Powinieneś być widzieć swoją twarz, papo. Byłem przerażony. – Tu chłopiec skrzywił się i zaczął płakać. – A Mary... jak strasznie ona się bała! Papo, ja ją kocham, a ty... ty ją przepędziłeś.

Ross bez słowa otworzył ramiona, doprowadzony prawie do rozpaczony tym, że chłopiec tak długo nie chciał dać mu się przytulić. A Nathan, gdy już się w nich znalazł, płakał dalej.

Zasnął dopiero po dłuższej chwili.

Ross przez całą noc, aż do świtu, wyglądał przez okienko karety i zastanawiał się, co za demon go opętał w przedsionku kościoła. Musiał przyznać, że Mary, stwierdziwszy, że pierścienka nie ma w keksie, była tak samo jak on zaskoczona. Ktoś rzeczywiście ją oszukał... Tak czy inaczej... dla jego nieracjonalnego gniewu nie było żadnego usprawiedliwienia. Mary w końcu była kobietą, a nie zaprawionym w bojach i przyzwyczajonym do brutalnego traktowania marynarzem.

Więc może ja... rzeczywiście nie nadaję się do życia na lądzie?

To przypuszczenie zmroziło Rossowi krew w żyłach, jednak nie potrafił mu zaprzeczyć. Przecież przez dwadzieścia cztery lata był w sensie przenośnym na służbie króla Jerzego i jego los całkowicie zależał od dwóch potężnych ludzi. Z drugiej strony na okręcie był dla swoich podkomendnych pierwszym po Bogu. Gdy trzeba było, wymierzał im kary albo wspólnie z nimi głodował. Oni natomiast ślepo mu ufali i byli mu ślepo posłuszni. No i walczył ramię w ramię z nimi na wszystkich morzach świata. Wielki błąd popełniłby ten, kto by powiedział, że jego życie było lekkie.

Jednak podczas tej nocnej podróży pomyślał, że kobiety podobne do Mary też nie mają lekkiego życia. Doświadczyła przecież zawodu miłosnego, a także zapewne innych rozczarowań.

Wstydz się, Rossie Rennie, wstydz się takich myśli, powiedział sobie.

Zanim dotarli do Dumfries, spędzili jeszcze jeden dzień w podróży, a Ross w karecie wspominał przez cały czas Mary; jej opiekuńczość w stosunku do Nathana i słodką łagodność. Ale także wewnętrzną siłę – bo przecież, gdyby nie była kobietą silną, to nie dawałaby sobie bez zmrużenia oka rady z jego drewnianą nogą ani nie walczyłaby tak dzielnie o to, by w Ovenshine, gdy znalazł się za kratkami, uratować mu skórę. A po nocy spędzonej w sypialni w domku zagrodnika instynkt podpowiadał mu także, że Mary jest kobietą namiętną, potrafiącą pod tym względem dorównać jego tak dawno utraconej Inez.

Tak, pomyślał, gdybym związał się z Mary, nie brakowałoby mi niczego.

Kiedy Ross oddawał się rozmyśleniom, Nathan tymczasem siedział przez cały czas nieruchomy i milczący. Tylko jeden raz, gdy mijali jakiś dyliżans, wstrzymał oddech i przywarł do okienka, wypatrując Mary. Potem zaczął płakać, a gdy Ross chciał go przytulić, pokręcił gwałtownie głową.

Kiedy na dwa dni przed świętami znaleźli się w Dumfries, wpadli od razu obaj w serdeczne objęcia Alice Mae, która, rzadko ich widując, nie mogła zauważyć, że Nathan wciąż jest nieufny w stosunku do ojca i znacznie cichszy niż zwykle. Rossa bardzo to bolało i martwiło. Choć z drugiej strony żywił nieśmiałą nadzieję, że w radosnym świątecznym zamieszaniu, zajadając przysmaki i ciesząc się prezentami, chłopiec zapomni o uroczej Mary, która miała do niego tak doskonale podejście.

Zanim dotarła do Edynburga, Mary obmyśliła sobie przydatne kłamstwo, żeby móc wytłumaczyć, skąd się wzięło jej podbite oko. Zrobiła użytek z tej historyjki, gdy tylko znalazła się w holu na Wapping Street, gdzie powitała ją cała rodzina. Wyraz zaniepokojenia na twarzach wujostwa, Diny i pulchnego jegomościa o podwójnym podbródku, którym zapewne był pan Page, zastąpiły uśmiechy, kiedy im opowiedziała, jak zderzyła się z okropnie szpiczastym łokciem pewnego chudego pastora, gdy dyliżans wpadł w poślizg na oblodzonej drodze koło Knaresborough.

– Oto co mi się przydarzyło – zakończyła i powiodła z niepokojem wzrokiem po ich twarzach.

Wyglądało na to, że wszyscy jej uwierzyli. Przyjęła to z ulgą, myśląc, że to dobrze, że się uśmiechają, bo przecież zaraz usłyszą złą nowinę.

– Jednak niestety, pomimo moich wysiłków i ran, jakie przy okazji odniosłam, nie przywożę pierścionka – powiedziała. – Więc... bardzo się boję, że sprawiam wam zawód.

Ku jej zdumieniu wszyscy wybuchnęli na to śmiechem, po czym podbiegła do niej Dina, ciągnąc za sobą narzeczonego, i pomachała jej ręką przed nosem. Na palcu kuzynki Mary zobaczyła pierścionek. Ten sam, który kiedyś na jej oczach wpadł do ciasta.

– Nabraliśmy cię, a ty dałaś się nabrać! – wołała Dina, podskakując i klaszcząc w dłonie.

Mary opadła na jedno ze stojących w holu krzeseł i złapała się za głowę. Czuła, jak ogarnia ją wielkie przygnębienie. Kiedy uniosła wzrok, wszyscy umilkli z wyjątkiem Diny, która paplała dalej:

– Pani Morison chciała, żeby spotkało cię coś niezwykłego, głuptasie, bo zaczynałaś się stawać taką starą dziwaczką. Tak mi powiedziała, oddając mi pierścionek po twoim wyjeździe. Będiesz musiała jej opowiedzieć o swoich przygodach. A także nam wszystkim bez wyjątku. Powiesz nam, jak było, gdy uganiałaś się za pierścionkiem od miejscowości do miejscowości w Szkocji i północnej Anglii. Jackson – zwróciła się do kamerdynera. – Proszę pójść po panią Morison.

– Nie!

Z całą godnością, na jaką się mogła zdobyć, Mary chwyciła swoją torbę podróżną i ruszyła ku schodom. Ich stopnie wydawały jej się teraz okropnie wysokie, a podest pierwszego piętra strasznie daleko.

A więc to była dziecięca zabawa! – nie dowierzała i ze szlochaniem, którego nie potrafiła ukryć, zostawiła ich wszystkich osłupiałych w holu.

Ross nie zaprotestował, gdy jego siostra zaczęła nalegać, by pojechali do Kirkbean i obejrzeni posiadłość, o której nieraz pisała do niego w listach. Gdy się tam znaleźli, uznał, że jest piękna. Dom był duży, miał sześć sypialni i dwa salony.

– Ten mniejszy będzie salonikiem twojej żony, gdybyś, bracie, zdecydował się kiedyś ożenić – powiedziała Alice Mae.

Kominki w całym domu dobrze ciągnęły i znajdowały się tu jeszcze: gabinet ze ścianami wykładanymi boazerią, biblioteka oraz pokój bilardowy. Z okna największej sypialni był widok na ocean, jednak ten bynajmniej Rossa nie zadowolił. Poza tym zrobiło mu się już wszystko jedno. Obojętne, ten dom czy inny, pomyślał. I zapragnął ruszyć zaraz pieszo w drogę, by iść przed siebie, dopóki nie dojdzie do brzegu morza i nie znajdzie statku kursującego wzdłuż wybrzeża, który zabierze go na południe, tam, gdzie są angielskie porty pełne okrętów wojennych.

Gdy Alice Mae wyrwała go z zamyślenia, pytając, co sądzi o posiadłości, odrzekł krótko:

– Daj mi trochę czasu, siostrze. Wojna się jeszcze nie skończyła, choć wszyscy tak myślą...

Tak, wojna się jeszcze nie skończyła, a on był wciąż sam jak palec. I na tym polegał jego problem albo jeden z problemów, które przed nim stały. Myślał o tym, gdy po świętach zaczął odbywać codzienne, coraz dalsze spacerunki. Samotne, bo Nathan, zajęty zabawami z kuzynkami, nie miał chęci, by mu towarzyszył.

A on chodził, choć ciągle bolała go noga. Po prostu nie mógł się od chodzenia powstrzymać. Chodził coraz dalej, tak jakby chciał uciec od samego siebie, osiągnąć coś, co było przecież niemożliwością. Zaczął także nosić ze sobą swój pistolet, schowany w wewnętrznej kieszeni mundurowej kurtki. Trzeciego dnia usiadł na głazi na urwisku, skąd był widok na ocean. Wyjął pistolet.

Nic prostszego, pomyślał, ale w następnej chwili schował pistolet z powrotem do kieszeni.

Kolejnego dnia przyszedł do niego Nathan i oznajmił, że zamierza napisać do Mary.

– To bardzo dobrze, synu, i sądzę, że powinienesz to zrobić – odrzekł mu na to po prostu. – A znasz adres?

– Wiem tylko, że Mary mieszka na Wapping Street – powiedział chłopiec.

– No to spróbuj, może list do niej dojdzie – zachęcił go Ross, a Nathan po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnął się do niego i zaraz, już poważniejszym tonem, poinformował go.

– Ja, papo... bardzo ją lubię.

– A co takiego w niej lubisz? – zapytał Ross.

Był ciekawy odpowiedzi syna, sam bowiem w Mary lubił inteligencję i energię, a także jej wewnętrzny spokój. Cenił jej zaradność i odwagę...

Gdy czekał na odpowiedź Nathana, zaczął się znowu zastanawiać, jak – sam jak palec – da sobie radę w dalszym swoim życiu.

– Lubię sposób, w jaki ona na mnie patrzy, w jaki mnie dotyka i w jaki mnie słucha – powiedział w końcu Nathan.

– Ja przecież też na ciebie patrzę, a także słucham ciebie i dotykam – przypomniał mu

Ross, użalając się nad sobą w duchu i czując nagłą zazdrość o Mary.

– Wiem, papo, ale ty to musisz robić – odrzekł chłopiec ze swoją dziecięcą logiką. –

A Mary nie musi. Robi to, bo jestem dla niej kimś wyjątkowym.

– Skąd o tym wiesz, synu? – zapytał Ross i uśmiechnął się nagle, niespodziewanie nawet dla samego siebie.

– Po prostu wiem – odpowiedział Nathan. – Niepotrzebne mi słowa.

W przeddzień wyjazdu do Plymouth Ross, chcąc pocieszyć Nathana, powiedział mu, że jeżeli chce, to mogą pojechać dyliżansem. Chłopiec posmutniał i pokręcił głową.

– Dlaczego nie chcesz? Przecież lubisz jazdę dyliżansem.

– Nie, papo – westchnął Nathan. – Nie chcę, bo na każdym przystanku szukałbym Mary.

Po tej rozmowie Ross ponownie poszedł na urwisko z pistoletem w kieszeni.

Tego dnia rankiem po bezsennej nocy wstał i napisał kodycył do testamentu, w którym zapisywał Mary Rennie z Wapping Street w Edynburgu ładną sumkę, pozwalającą na wyjazd do Kanady lub Stanów Zjednoczonych. Następnie Ross złożył testament we czworo, napisał na nim nazwisko Alice i zostawił go na biurku w swoim pokoju.

Znalazłszy się na urwisku, wyjął z kieszeni pistolet, który był naładowany. Zanim zrobił z niego użytek, zaczął się po raz ostatni zadrećczać myślą, że przez tyle lat błędził, traktując wojnę jako wymówkę i – inaczej niż wielu jego towarzyszy broni – nie szukając żony. Wskutek tego z biegiem lat, będąc wciąż świadkiem aktów przemocy i licznych przypadków śmierci – które przecież stepiły jego wrażliwość – stał się najżałośniejszym z ludzi, człowiekiem pozbawionym nadziei. Człowiekiem, który do ostatniego tchnienia będzie miał przed oczami twarz Mary, przerażonej jego oskarżeniami o oszustwo. Nawet jeśli rzeczywiście go okłamała, to nie znaczyło nic wobec tego, że ją kocha i nigdy jej swojej miłości nie wyznał...

Oddychając miarowo, Ross przyłożył sobie do ucha lufę pistoletu. Skrzywił się, czując dotknięcie zimnej stali, i cofnął pistolet. Z ironicznym uśmiechem pomyślał, że strzał w głowę nie zda się na nic. Przecież to, co stało się w przedsionku kościelnym, dowodzi, że jest pozbawiony mózgu, ma pustą głowę... Więc strzał w taką pustkę nic nie da.

Doszedłszy do takiego wniosku, rozpiął mundurową kurtkę, po czym wsunął lufę pistoletu za koszulę, celując w serce. To się odbędzie bardzo szybko – pomyślał, ale zaraz zaprzeczył samemu sobie.

– Przecież ja nie mam serca – wyszeptał. – Więc co da strzelanie w to miejsce?

Cisnął pistolet w dół z urwiska i postanowił skoczyć. To najlepszy sposób, aby ze sobą skończyć. Jeżeli spadnie na nogi, ich kości zmiżdżą ciało, powodując szybką śmierć. Jeżeli wyląduje głową do dołu, skręci kark. Tylko spadanie nie będzie przyjemne, natomiast śmierć szybka, znacznie lepsza niż powolna agonía z powodu ropiejącej, zakażonej rany, od jakiej zmarł Dale Everett. Ów chłopiec skonał w męczarniach właśnie taką śmiercią po tym, jak ranił go odłamek armatniej kuli. Ross nie miał odwagi powiedzieć o tym jego rodzicom i z powodu tego tchórzostwa nękały go teraz wyrzuty sumienia.

Ross zdjął pelerynę i włożył rękę do kieszeni, szukając kawałka papieru i ołówka. Pomyślał bowiem, że dobrze będzie napisać na karteczce swoje nazwisko na wypadek, gdyby po upadku w przepaść okazał się zmasakrowany nie do poznania. Zaraz jednak przyszło mu do głowy, że to całkiem zbyteczne – rozpoznają go po drewnianej nodze.

Wyjął rękę z kieszeni, wyciągając przy okazji listę, tę diabelną listę, za sprawą której poznał w Carlisle Mary. Przecież gdyby tej listy nie było, nigdy nie doszłoby do ich spotkania. Rozłożył ją, żeby spojrzeć na nią po raz ostatni i... osłupiał.

Do listy dopisał się Nathan: „Kuchnia pani Pritchert: marynarska owsianka dla papy i dorsz z porami dla mnie”, głosił jego wpis.

Ross, wściekły na siebie i okropnie upokorzony, podarł listę i rzucił ją w przepaść. Wiatr porwał kawałki papieru i cisnął mu nimi w twarz, niczym oskarżenie.

– Ty przecież masz syna, idioto – ryknął Ross głosem takim, jakiego używał na pokładzie.

Włożył pelerynę, żałując, że wyrzucił całkiem dobry pistolet. Czas było wracać do Plymouth, dorsza z porami i marynarskiej owsianki.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ponieważ dzieci cechuje dobroć i skłonność do współczucia większa niż dorosłych, Nathan podczas podróży do Plymouth siedział blisko Rossa. Wyglądało na to, że jest znowu w dobrym humorze, bo śmiał się i żartował. Tak było za dnia, bowiem nocami chłopiec okazywał niepokój.

Ostatniej nocy w podróży Rossa obudził płacz.

– O co chodzi? – zapytał, tuląc syna do siebie.

– Papo – powiedział Nathan, zapewne w półśnie, bo inaczej nie zdobyłby się zapewne na taką szczerość – zrobiłeś coś bardzo złego...

– Wiem. I proszę cię, wybac mi to.

– Ja ci wybaczam. Ale... co z Mary? – dodał Nathan, po czym ziewnął i ponownie zasnął.

Rano nic nie wskazywało na to, że pamięta swoje pytanie. Tymczasem Ross, wprost przeciwnie, nie był w stanie go zapomnieć. „Ale... co z Mary?” – dźwięczało mu głowie i nie dawało spokoju.

W Plymouth pani Pritchert przywitała ich jak zwykle serdecznie i z otwartymi ramionami. Natychmiast też zaczęła strofować Nathana – za to, że nie zapiął się pod szyję i nie zawiązał porządnie szalika. Ross słuchał z początku tych jej utyskiwań z uśmiechem, po chwili jednak uśmiech zniknął z jego twarzy. Przypomniawszy sobie, jak w podobnych okolicznościach – spokojnie i łagodnie – upominała chłopca Mary.

Zostawiwszy Nathana pod dobrą opieką pani Pritchert, Ross udał się do admiralicji w Londynie po dalsze rozkazy. Tam okazało się, że teraz jego obowiązkiem będzie jedynie patrolowanie kanału La Manche. Podczas tego rekonesansu – od czasu do czasu – będzie mógł zawijać do wybranego przez siebie portu. Zanosilo się zatem na to, że służba w czasie pokoju będzie niczym w porównaniu ze służbą podczas wojny, gdy Królewska Marynarka Wojenna tak dzielnie strzegła kraju przed Napoleonem. Ross przy tym przewidywał, że będzie ona nudna i nie był z tych rozkazów szczególnie zadowolony.

Wróciwszy do Plymouth, zatrzymał się na krótko na stacji dylizansów, bijąc się z myślami. Szybko się zdecydował, że jednak odwiedzi ów dyskretny przybytek, gdzie obsługuje się tylko oficerów. Gdy się tam znalazł, przekonał się, że znajome dziewczyny są równie ładne jak kiedyś, ale wybrał sobie całkiem nową. Dopiero po chwili zrozumiał dlaczego. Otóż miała piegi na nosku, całkiem dobrze widoczne spod pudru, pod którym usiłowała je ukryć.

Muszę przestać wszędzie, gdziekolwiek spojrzę, dostrzegać Mary. A zwłaszcza tutaj, skarcił sam siebie, oburzony. Dałaby mi za to porządną reprimendę, dodał jeszcze w duchu. A w następnej chwili, na myśl o tym, że więcej jej nie zobaczy, ogarnął go wielki smutek.

Wtedy pachnąca silnie różami Belinda – czy może Marcella – zamknęła już drzwi, pocałowała go i zapytała, jakie ma życzenia.

– Czy mogłabyś najpierw zdjąć mi protezę? – zapytał ku własnemu zaskoczeniu.

Dziewczyna z miną pełną obrzydzenia cofnęła się, by zaraz jednak rozpiąć mu kurtkę i spodnie, wodząc rękami jak najdalej od kikuta. Pamiętając, jakiej opieki udzieliła mu Mary, przerwał dziewczynie i wstał.

– Muszę już iść – powiedział Ross do zaskoczonej kobiety, po czym położył na łóżku kilka monet i wyszedł z pokoju.

Gdy znalazł się już na dole koło drzwi, usłyszał jeszcze, jak jego dzisiejsza wybranka opowiada koleżankom o gościu, który chciał, żeby mu „zdjęła tę jego cholerną protezę”.

Nie doznawszy ukojenia i pełen wstydu, Ross poszedł na Flora Street, żeby pożegnać się z Nathanem. Miał nadzieję, że syn powita go z dawnym entuzjazmem. I tak się też stało. Z tym że Nathan wymachiwał trzymanym w dłoni listem, a jego entuzjazm nie był spowodowany faktem, że widzi ojca.

– Papo, papo, ona napisała! Naprawdę! – wołał, rzucając się Rossowi na szyję, i zaraz zmarszczył nos.

– Pachniesz różami – powiedział.

– Zdaje ci się – mruknął Ross, czerwieniąc się, bowiem nie potrafił wymyślić innej odpowiedzi i miał nadzieję, że pani Pritchert nic nie zauważy. – Skąd Mary знаła twój adres w Plymouth?

– Ciocia Alice kazała mi go jej podać, bo inaczej ona napisałaby do Dumfries – odrzekł Nathan, po czym wręczył ojcu list.

Ross już miał zaprotestować i powiedzieć, że nie czyta się cudzych listów, jednak nie zrobił tego, bo rozpaczliwie pragnął wiedzieć, co do jego syna pisze Mary. Wziął list i zaczął czytać:

*Kochany Nathanie,  
wyobraź sobie moje zdumienie i rozgoryczenie (zapytaj ojca, co znaczy to słowo), gdy po przyjeździe do Edynburga zobaczyłam pierścionek na palcu Diny. Wygląda na to, że pani Morison wyjęła go z ciasta, gdy mnie nie było w kuchni, a potem wysłała mnie na poszukiwanie, bo chciała, żebym przeżyła przygodę. Możliwe, że bała się, że gdy zostawi pierścionek w cieście, ja po odzyskaniu keksu i rozdrobnieniu go pierścionka jednak nie odnajdę. No i... dość na tym, że ja aż do tej chwili nie byłam w pomieszczeniach dla służby i nie zamieniłam z nią ani słowa...  
I pewnie nigdy już się do niej nie odezwę.*

Ross ponad listem spojrzął na syna.

– Ja – powiedział – zostawiłbym pierścionek w cieście, pozwalając, by Mary go znalazła, a wtedy, dodał w myśli, Mary nie zostałaby upokorzona przez brutala, który jej nie uwierzył.

– Ja też – powiedział Nathan, a Ross czytał dalej:

*Jednak okazuje się, że moja podróż na coś się przydała. A to że się przydała, zawdzięczam twojemu papie.*

– Zrobiłem coś dobrego? Miło to słyszeć.

– Czytaj dalej, papo.

Ross kontynuował:

*Poinformowałam mego wujka Sama, że zamierzam pracować w jego biurze, i pragnę, żeby mi za to płacił. Nie chciał o tym słyszeć, ale ja przez cały tydzień, dzień w dzień, przesiadywałam u niego w biurowej poczekalni. I w końcu zmienił zdanie.*

Brawo, Mary, pomyślał z podziwem Ross. I czytał dalej z coraz szerszym uśmiechem na ustach.

*Zamierzam odkładać swoją pensję, aż do chwili, gdy uzbieram dość pieniędzy, by móc wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Pojadę pewnie do Savannah albo do Charlestonu, bo tam jest ciepło, a ja mam dość tutaj, w Edynburgu, słoty i chłodu.*

A więc wyjeżdża... Cóż, nie mogę mieć do niej o to pretensji. A poza tym to był przecież mój pomysł! Nie ma chyba w tym kraju większego głupca ode mnie, pomyślał Ross zgnębiony.

– Papo, czy mogę jej odpisać?

– Co? Co takiego? A, tak. Tak, chłopcze. Odpisz i pozdrów ją ode mnie.

Ross oddał Nathanowi list, a ten natychmiast zabrał się do ponownego czytania.

– Wyjeżdżam – oświadczył Ross. – Będę teraz pełnił służbę na kanale La Manche.

Nathan nie odrywając oczu od listu, kiwnął mu tylko głową, a potem, wciąż czytając,

wyszedł powoli z kuchni i poszedł do siebie na górę. Pani Pritchert spojrzała na Rossa ze współczuciem, a on pożegnał się z nią i wyszedł z domu.

Przez dłuższą chwilę stał jeszcze na ulicy, patrząc w okno sypialni swego syna i czekając, aż Nathan pomacha mu ręką i pośle całusa. W oknie jednak nikt się nie pojawił. Odwrócił się i powoli poszedł do portu.

Mary nie przyszło z łatwością zatrudnić się w biurze rachunkowym wuja, bowiem z początku nie chciał nawet o tym słyszeć. Kiedy jeszcze usłyszał, że ona planuje wyjazd do Stanów Zjednoczonych, powiedział krótko:

– Po moim trupie.

Mary jednak była równie stanowcza jak on, a nawet bardziej, bowiem dopięła swego. Po tygodniu wysiadania w poczekalni, doczekała się tego, że wuj zrobił jej miejsce w biurze i, położywszy przed nią księgi rachunkowe, kazał jej dodawać kolumny cyfr. Mary wywiązała się z zadania, i to szybciej niż inni pracownicy. W czwartek w drugim tygodniu obliczała już procenty, w piątek natomiast dostała wypłatę.

Znalazszy się wieczorem w swojej sypialni, zaniósła dziękczynną modlitwę do Boga.

Dzień w dzień chodziła do biura, snując plany wyjazdu i opisując wszystko w listach Nathanowi. Perspektywa zostania kobietą niezależną, podejmującą samodzielnie wszystkie decyzje, bardzo ją cieszyła, lecz równocześnie jej serce smuciło się na myśl, że utraciła Rossa, który, nawiasem mówiąc, nigdy do niej nie należał. Należał bowiem, sercem i duszą, do Królewskiej Marynarki Wojennej, z którą nie mogła rywalizować, pomimo że kochała go szczerą, choć beznadziejną miłością.

Co wieczór powtarzała: „Będę cię kochała aż do śmierci”, stojąc w oknie wychodzącym na ulicę, i wiedziała, że będzie te słowa powtarzać, stojąc w innych oknach, gdziekolwiek w przyszłości zamieszka. Tak, wiedziała, że będzie to refren jej serca aż do chwili, gdy dowiedzie prawdziwości tych słów, wydając ostatnie tchnienie.

Dwudziestego szóstego lutego, w dniu, w którym Napoleon uciekł z Elby i rozpoczął swój marsz na Paryż, kuzynka Dina poślubiła pana Algernona Page'a, po czym młoda para, zamiast odbyć podróż do Paryża, jak to było zaplanowane, pojechała w góry.

Wróciła z odmrożeniami i zapaleniem gardła, a biedny pan Page zmalretowany i z obawą patrzący w przyszłość.

Tymczasem Mary wciąż nie mogła przestać myśleć o kapitanie Rossie. Zdarzało się, że w pracy podczas przerwy na lunch zamykała się w schowku na szczołki i płakała, modląc się o to, by nic złego mu się nie stało. Nikt o tym nie wiedział prócz Nathana, który wyznawał w listach, że także się modli za swego papę. Pisywali do siebie codziennie i te listy przynosiły im pociechę. Całym swoim zranionym sercem Mary tęskniła za Nathanem i nieopatrznie wyznała mu to w jednym z listów, w momencie, gdy cała Anglia czekała na wieści o bitwie, która toczyła się w Belgii.

Oboje wiedzieli, że okręt kapitana eskortuje teraz wojenne transporty i że nie może być inaczej. Wiedzieli także – bo pisali o tym oboje w niejednym liście – że bardzo są wojną zmęczeni.

A potem Nathan przestał pisywać.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Pod koniec czerwca krótki, pełen niepokoju list od pani Pritchert dotarł do kapitana, gdy ten w Londynie świętował zwycięstwo odniesione przez Wellingtona nad Napoleonem w bitwie stoczonyj w Belgii na polu pszenicy. Kapitan, odtransportowawszy rannych do Portsmouth, był teraz pewien, że ta przeklęta wojna się już skończyła. Zaczął planować nawet, że wkrótce, pewnie pod koniec lata, zrezygnowawszy ze służby, będzie wreszcie wolnym człowiekiem. Jednak miał jeszcze jedno zadanie w admiralicji i to właśnie tutaj dopadł go portier z jego ulubionego hotelu, przynosząc mu list od pani Pritchert.

Ross dał posłańcowi napiwek, patrząc z niepokojem na koślawe pismo pani Pritchert, która bardzo rzadko do niego pisywała. Wszedł do jednego z pustych pokoi i, rozdarłszy papier, pospiesznie przebiegł list wzrokiem.

– Dobry Boże – wyszeptał i przeczytał go jeszcze raz, a potem się uśmiechnął. – Oj, Nathan, Nathan, ty nicponiu.

Pokręcił głową, a potem zjawił się przed obliczem lorda Melville'a.

– Milordzie – oznajmił – stawiam się z dziennikami pokładowymi i innymi papierami dla sekretarza milorda. I chcę prosić o pozwolenie na natychmiastową podróż do Edynburga. Skłania mnie do niej nagła, pilna potrzeba.

– Czy tak, kapitanie Rennie? Chce pan być wyjątkiem?

– Milordzie, pokażę coś waszej lordowskiej mości, ponieważ wiem, że wasza lordowska mość ma synów – odrzekł kapitan, wręczając lordowi Melville'owi list od pani Pritchert.

Lord Melville przeczytał go i kąciki ust mu zadrgały, co Ross przyjął z ulgą.

– Zgadzam się – powiedział. – Tylko... dlaczego, kapitanie, chcecie jechać do Edynburga? W liście nic nie ma o tym mieście.

Ross ponownie zajrzał do listu.

– Pani Pritchert napisała: „Powiedział tylko, że Mary go potrzebuje”.

– A Mary jest...

– W Edynburgu, milordzie. Mary to kobieta, z którą chcę się ożenić. Jeżeli oczywiście mnie przyjmie, co do czego nie mam pewności i z tego powodu się niepokoję.

– Nie dziwię się wam, kapitanie. Wojna z ludźmi takimi jak wy nie obesła się łaskawie... Ale spróbujcie. A kiedy odnajdziecie syna i uda się wam połączyć z panną... Mary, wróćcie tutaj.

– Tak jest, milordzie.

Ross uklonił się i opuścił gabinet lorda Melville'a.

Pod wieczór tego samego dnia Ross znajdował się już w drodze, a w czterdzieści godzin później jego zbryzgana błotem karetka pocztowa zatrzymała się przed domem na Wapping Street pięćdziesiąt sześć.

Jego mundur, choć sfatygowany po podróży, zrobił wrażenie i starszy wiekiem kamerdyner natychmiast wprowadził go do salonu. Oczekując, zaczął niecierpliwie chodzić od ściany do ściany.

Niestety, po dłuższej chwili zamiast Mary, do pokoju weszła, tonąc we łzach niemłoda już kobieta, a wraz z nią zmartwiony starszy wiekiem mężczyzna. Byli to ciotka Martha i wuj Samuel Rennie.

Ross z ukłonem przedstawił się im, po czym niecierpliwie zapytał:

– Gdzie Mary? Gdzie jest mój syn?

– Proszę usiąść, panie kapitanie – powiedział wuj Samuel, po czym wyjaśnił: – Mary kilka dni temu po otrzymaniu listu od pańskiego syna zrezygnowała z pracy w moim biurze i wyjechała... Niestety nie wiemy gdzie.

Po tych słowach pan Samuel Rennie wręczył Rossowi list, a Ross, rozłożywszy go, poznał od razu pismo Nathana. List był krótki:

*Mary, jadę się z tobą zobaczyć. Nie mam zbyt dużo pieniędzy, ale wystarczy, by dojechać do Yorku. Twój przyjaciel, Nathan.*

– Zatem są w Yorku – powiedział kapitan, zwracając list. – No, no...

– Dziękuję. Do widzenia państwu.

Dzień później w małym miasteczku, które pamiętał ze swojej listy, i po objedzeniu się cheddarem, dotarł na Apollo Street. A tu przyjęli go pan Tavish Maxfield i jego uroczą, leciwą już, niedawno poślubioną żoną, która dawniej nosiła nazwisko Bruce. Gdy ich zapytał o swego syna i o Mary, odpowiedzieli mu, że oboje byli tutaj i pojechali dalej. Przynękli wyznać gdzie, jeśli da się ugościć obiadem.

Kapitan, chcąc nie chcąc, zasiadł do stołu.

– Sądźmy oboje – powiedział pan Maxfield, gdy Ross już się zdążył posilić – że pan, panie kapitanie, powinien się ożenić z tą uroczą panną Mary, której zawdzięczamy nasze szczęście.

– Ja, proszę państwa, chcę dokładnie właśnie to zrobić. Ale niech mnie diabli, jeżeli wiem, jak ją teraz znaleźć. A także Nathana...

– Niech pan sobie pozwoli zasugerować – powiedziała na to uroczą pani Maxfield – by zjadł pan deser nie tutaj, w naszym domu, tylko zupełnie gdzie indziej.

Kapitan był w pierwszej chwili zaskoczony. Zaraz jednak uderzył dłonią w stół tak mocno, że aż podskoczył słoik z dżemem.

– Aha! – zawołał olśniony. – Już wiem! Pudding z cytrynową polewą!

Podróż z Yorku do Skowcroft trwała półtora dnia, a gdy tam zajechali, Ross ze zmęczenia prawie nie był w stanie prosto siedzieć. Karetą zatrzymała się przed domem pastorstwa Everettów, foryś opuścił stopień, ale kapitan nie wysiadł, tylko siedział zgięty wpół z głową na kolanach.

Drzwi domu otworzyły się, a w następnej chwili delikatne dłonie spoczęły na jego ramieniu.

– Mary? – zapytał, nie podnosząc głowy.

– We własnej osobie, kapitanie. Nathanie, weź papę pod drugie ramię.

Był tak zmęczony i noga go tak bolała, że upadł na ścieżce. Mary i Nathan nie mieli siły go podnieść. Musiał więc to zrobić foryś, który zaraz też pomógł mu dojść do domu, gdzie już na niego czekali zatroskani, ale uśmiechnięci państwo Everettowie.

– Wszyscy tu są tacy cholernie ucieszeni – wymamrotał Ross, po czym zamknął oczy.

Kiedy się obudził, miał na sobie koszulę nocną, a jego proteza stała oparta o krzesło w drugim końcu pokoju.

Mary siedziała na krześle koło łóżka z nogami na jego kołdrze. Czytała książkę. Obok niej siedział Nathan.

Zaśmiała się, kiedy Ross połaskotał ją w stopę.

– Witamy wśród żywych? – zapytała, po czym zwróciła się do chłopca: – Nathanie, przynieś pudding.

Kiedy Nathan wybiegł z pokoju, powiedziała, wstając:

– Od godziny mamrociesz coś o puddingu z cytrynową polewą.

– Pocałuj mnie – rozkazał, a ona ten rozkaz wykonała, sprawiając, że obudziło się jego

zmęczone podróżą ciało.

– Mary – wyszeptał, odsuwając ją od siebie. – Jestem ci winien przeprosiny.

Pokręciła głową, a potem, słysząc, że nadchodzi Nathan, wróciła na krzesło. Chłopiec przyniósł dużą misę puddingu i trzy łyżki. Zabrali się więc wszyscy troje do jedzenia.

Po kilku chwilach Nathan przyznał się, że ukradł pani Pritchert pieniądze przeznaczone na prowadzenie domu, po czym, zamiast przeprosić, powiedział:

– Myślę, papo, że powinienesz pani Pritchert zostawiać więcej pieniędzy, bo co będzie, jeżeli ja znowu zechcę pojechać do Edynburga?

– To tak wyglądają twoje przeprosiny? – zawołała Mary, rozburzając chłopcu włosy. – Straszny z ciebie nicpoń, Nathanie! – dodała z serdecznym uśmiechem, na co Nathan roześmiał się głośno.

Mary obejmując chłopca, zaczęła wyjaśniać:

– Znalazłam go w Yorku, a tutaj zajechaliśmy, bo mieliśmy po drodze, jadąc do Edynburga. Sądziliśmy, że zjawisz się na Wapping Street.

Ross kiwnął na to głową i poczuł, że zamykają mu się oczy.

– Ach... – zaczął – ...pojedziecie ze mną oboje do Plymouth?

Na chwilę zapanowała cisza.

– Nathan na pewno... – padła odpowiedź.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Prosił ją przez cały dzień, lecz nie zmieniła zdania. Obiecała jednak, że się zastanowi. Ross wiedział, że nie robi tego dla zabawy, tylko dlatego że rzeczywiście nie jest pewna, i nie mógł jej o to winić, bowiem równie dobrze jak ona zdawał sobie sprawę, że wojna wypaczyła mu charakter.

Mimo to próbował jeszcze perswazji, mówiąc, że ma przy sobie potrzebne dokumenty, i chce, żeby pastor Everett udzielił im natychmiast ślubu. Ona jednak obstawała przy swoim zdaniu, sugerując, że powinien jeszcze trochę zaczekać.

– Powiedz przynajmniej, czy to robisz po to, żeby odegrać się na mnie za to, co zaszło w przedśionku kościoła w Knarsborough? – zapytał w końcu wzburzony.

Mary pokręciła głową.

– Nie jestem tak małostkowa – odrzekła.

– A czy ty przynajmniej mnie kochasz?

– Bardziej, niż potrafię wyrazić słowami – zapewniła. – Pozostaje mi tylko pokazać ci, jak wielka jest moja miłość, jednak będziesz musiał trochę poczekać. Najpierw muszę przeprosić pewną kucharkę w Edynburgu i załatwić kilka spraw – dodała, odwracając wzrok.

– Czy wciąż myślisz o wyjeździe do Stanów Zjednoczonych?

– Jeszcze nie podjęłam decyzji – odrzekła, patrząc na niego z czułością. – I... powiem ci, że nie musisz się martwić, bo, moim zdaniem, wojna tak do końca nie wypaczyła ci charakteru.

Mary wyjechała do Edynburga wczesnym rankiem, zanim Ross z Nathanem skończyli się pakować. Gdy siedziała już w dyliżansie, Nathan wskoczył do środka i przytulił się do niej. Uściskawszy go serdecznie, oderwała się po chwili od niego i z cierpiącym wyrazem twarzy powiedziała mu „do zobaczenia”. Gdy ponad jego głowę spojrzała na Rossa, w jej oczach zabłyśły łzy. Nathan wyskoczył z dyliżansu, a Ross, w chwili gdy pojazd ruszał, zdążył jeszcze zawołać:

– Mam dosyć tych ciągłych powitań i pożegnań!

Potem wraz z Nathanem ruszyli w drogę na południe, po raz kolejny poznając się na nowo. Po dwóch dniach byli już w doskonałej komitywie, a trzeciego dnia Ross, obejmując syna, udzielił mu dobrotliwej nagany za ucieczkę z domu i zdenerwowanie pani Pritchert. Następnie opowiedział mu wszystko, co pamiętał o jego pięknej portugalskiej matce, i obiecał, że postara się odpowiedzieć na każde jego pytanie. Nathan kiwnął na to głową i westchnął.

– Była taka piękna – powiedział – ale... ja jej nie poznałem.

– To prawda, chłopcze, była piękna. A ja ją kochałem – dodał Ross, tuląc syna. –

A teraz... Kocham Mary Rennie.

– A co będzie, papo, jeżeli Mary cię nie zechce?

Na to pytanie Ross nie znał odpowiedzi.

Kiedy przybyli do Londynu, Ross zabrał ze sobą Nathana do gmachu admiralicji. Poleciwszy mu siedzieć spokojnie w poczekalni, sam udał się przed oblicze lorda Melville'a. Nie był zbyt zaskoczony, kiedy jego lordowska mość zaproponował mu posadę w Londynie.

– Nie będziecie już pływać, kapitanie, ale pozostaniecie na służbie.

– To honor dla mnie, milordzie – odrzekł na to Ross po chwili zastanowienia. – Ale przyszedłem tutaj, żeby złożyć rezygnację. Moja wojna się skończyła, a ja wciąż nie wiem, czy ją wygrałem, czy przegrałem.

Lord Melville spojrział na niego pytająco, jakby nie rozumiał.

– Powinniście się nad tym jeszcze zastanowić, kapitanie – polecił.  
– Moja odpowiedź pozostanie taka sama – odrzekł Ross i się uklonił, po czym ruszył ku drzwiom.

Lord Melville, odprowadzając go, poinformował jeszcze, że kapitan Maitland na okręcie „Billy Ruffian” odwozi Korsykanina na wyspę Świętej Heleny.

– Boże Wszchemogący – powiedział na to Ross. – A toż to zwykły kawał skały na samym środku oceanu.

– Właśnie, kapitanie, i o to chodzi. Życzę panu pomyślnych wiatrów i szczęścia w nowym życiu.

Kiedy zajechali na Flora Street, Ross z przyzwyczajenia spojrzął w górę, w okno sypialni Nathana, po czym, trochę zawstydzony, powiedział do syna:

– Wiem, chłopcze, że jesteś tutaj, obok mnie, jednak trudno jest się pozbyć dawnych nawyków.

– Patrz! – zawołał Nathan.

Ross spojrzął i zabrakło mu tchu. Oto w oknie stała Mary Rennie i patrzyła na nich z góry. Kapitan zamrugał, a Mary zniknęła. Czy to tylko moja wyobraźnia? – zastanowił się.

Porażony, stał jeszcze przez chwilę bez ruchu, słysząc, jak ktoś lekkim krokiem zbiega po schodach. Nathan odsunął się od niego o krok. Naraz drzwi się otworzyły i stanęła w nich Mary, która w następnej chwili podbiegła do niego z otwartymi ramionami i objęła go za szyję.

– Zmieniłaś decyzję? – zapytał, gdy tylko zdołała złapać oddech.

– Nie. Przecież wiesz, że cię kocham. Decyzję podjęłam już przedtem. Kocham cię i będę kochała aż do śmierci.

*Plymouth, tydzień później*

– Ufam, droga żono, że nie zawiodłem pani nadziei – szepnął Ross, dotykając ustami nagiego ramienia Mary. – Pani w żadnym wypadku nie zawiodła moich. – Wypuścił ją z ciasnego uścisku i pocałował w wilgotne od potu włosy. – Żeby się upewnić, będziemy musieli powtórzyć to kilka razy.

– Tylko tyle? Kilka?

– No... może więcej niż kilka – poprawił się.

Leżeli razem w sypialni znajdującej się w tylnej części domu pani Pritchert. Byli już po ślubie, którego udzielił im pastor Everett. Przyjechał do Plymouth razem z żoną, a w tej chwili, wraz z Nathanem i panią Pritchert, zwiedzali oboje to ładne portowe niewielkie miasto.

– Muszę cię o coś zapytać, Mary... – przerwał ciszę Ross, a ona, nieco zniecierpliwiona i tonem typowym dla żony, powiedziała:

– Więc pytaj. I... bierz się z powrotem do rzeczy.

– Czy... wciąż chcesz wyjechać do Stanów Zjednoczonych? Może zatem popłyniemy do Baltimore?

– Sądzę, że tak – odrzekła po dłuższej chwili. – Chcę zacząć wszystko od nowa, w nowym kraju.

– Tak myślałem. I naprawdę chcesz zacząć wszystko ze mną u swojego boku?

– Tak – powiedziała miękko i go pocałowała. – Masz coś przeciwko temu?

– Nie – odrzekł. – Myślałem już nawet o portowym mieście... Mógłbym w Baltimore zbudować stocznię... tam albo w Annapolis... Budowałbym jachty.

– Boże drogi. A mamy tyle pieniędzy?

– Mamy! Wyszłaś przecież za bogatego człowieka. Będę projektował jachty, wynajmowałem Jankesów do roboty i nakłaniałem przyszłych klientów, żeby zapomnieli o tym, że spaliliśmy im stolicę. Może zacznę nawet tak mówić jak oni, przeciągając samogłoski... A jeżeli

ty poprowadzisz mi rachunki, z pewnością zaoszczędzimy sporą sumkę. Tak, będziesz moją księgową... ale tylko dopóty, dopóki nie znajdą się dla ciebie ważniejsze obowiązki.

Dotknął jej piersi i zauważył na niej pieprzyk. Jakże świetną zabawą, pomyślał, będzie odkrywanie tajemnic jej ciała...

– I tylko jedno muszę sobie zastrzec. Nigdy, przenigdy żadnych keksów, droga żono! – powiedział, na co ona dała mu w bok kuksańca.

– A tak w ogóle – odezwał się znowu, patrząc na nią z czułością – to będę cię kochał aż do śmierci.

– Tak myślałam – odrzekła miękko i pocałowała go w usta.